

Nr 4-6

ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 4/415**

**1982**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. NOWAKOWSKI : **ZAPISKI NA GORĄCO**

P. GUZY : **WIELKIE NIESZCZĘCIE**

M. POLESKI : **NASZA WIELKA STABILIZACJA**

# SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	3
Bronisław Wildstein:	<i>Nowa lewica na Zachodzie</i> .....	14
◆		
Marek Nowakowski:	<i>Zapiski na gorąco</i> .....	24
Piotr Guzy:	<i>Wielkie nieszczęście</i> .....	45
Kazimierz Zamorski:	<i>Pod anteną (dok.)</i> .....	64
WIERSZE		
Leszek Szaruga:	<i>Czas morowy</i> .....	80
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Tomasz Mianowicz:	<i>Wynik trzeciej wojny światowej</i> ....	86
K R A J		
Maciej Poleski:	<i>Nasza wielka stabilizacja</i> .....	96
Janusz Rakowski:	<i>Reformy gospodarcze Jaruzelskiego</i> ..	106
—	<i>W oczach „Narodowca”</i> .....	118
—	<i>Korespondencja Johna Darntona z Kra-</i> <i>kowa</i> .....	119
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i> .....	120
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	121
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	126
B. H.:	<i>Kronika ukraińska</i> .....	130
KRONIKA KULTURALNA		
Czesław Miłosz:	<i>Nowe zadania poezji polskiej</i> .....	132
Michał Heller:	<i>Śmierć Szałamowa</i> .....	135
—	<i>O poezji polskiej w Paryżu</i> .....	138
kaj:	<i>Polski numer „La Quinzaine Litté-</i> <i>raire”</i> .....	140
—	<i>Norweskie wyróżnienie dla Lecha Wa-</i> <i>łęsy</i> .....	141
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki</i> <i>amerykańska, australijska, austriac-</i> <i>ka, duńska i kanadyjska</i> .....	142
◆		
Czesław Miłosz:	<i>Dwa wyjaśnienia</i> .....	152
Z. Przetakiewicz, W. Wy-	<i>Listy do Redakcji</i> .....	152
twyckij:	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	154
—	<i>Sprostowania Redakcji</i> .....	154
DOKUMENTY		
—	<i>Wywiad z Z. Bujakiem i W. Kulerskim</i>	155

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Kwiecień - Avril 1982

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

**ZARZĄDZENIE PREZESA GŁÓWNEGO URZĘDU  
KONTROLI PUBLIKACJI I WIDOWISK  
z dnia 29 stycznia 1982 r.  
w sprawie pozbawienia debitu komunikacyjnego\***

Na podstawie art. 16 ust. 2 ustawy z dnia 31 lipca 1981 r. o kontroli publikacji i widowisk (D.U. Nr 20, poz. 99) zarządza się, co następuje.

§ 1. Pozbawia się debitu na obszarze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej miesięcznik „Kultura”, wydawany przez Instytut Literacki w Paryżu.

§ 2. Pozbawienie debitu obowiązuje przez okres pięciu lat.

§ 3. Zarządzenie wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Prezes Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk.

S. Kosicki

\* Monitor Polski nr 5, I. II. 1982.

**WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »**

Bogdana Carpenter, Seattle, VA (USA), po raz 3-ci — \$ 33,25	F. 200,00
Jadwiga Juchniewicz, Lugano (Szwajcaria), po raz 14-ty ....	F. 160,00
Tadeusz Lisicki, Charleston, S.C. (USA), po raz 3-ci — \$ 8,00	F. 40,00
B. Obuchowski, Bankstown, NSW (Australia) — wpłacone za pośrednictwem <i>Wiadomości Polskich</i> w Sydney — \$ A. 12,00	F. 78,00
Tad. de Laurent, Bielefeld (RFN) .....	F. 50,00
Stanisław Piotrowski, Włochy .....	F. 100,00
Jerzy Rachwał, Caracas .....	F. 40,00
Beziemiennie z USA, po raz 16-ty .....	F. 2.171,500

DZIĘKUJEMY!

**WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU  
ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ**

Beziemiennie z Bois-Colombes (Francja) .....	F. 3.000,00
Beziemiennie Lally-en-Val (Francja) .....	F. 100,00
Beziemiennie z Manchesteru — na pomoc dla internowanych i ich rodzin — £ 100,00 .....	F. 1.050,00
Beziemiennie z Northridge, CA (USA) — \$ 25,00 .....	F. 150,00
Beziemiennie z Paryża .....	F. 400,00
Beziemiennie z Rouen — dla rodzin uwięzionych w Polsce ..	F. 100,00
K. Bielska, K. Herzlich, A. Lovell, I. Pleszczyńska, P. Pujdakowa, Rancho Palos Verdes, CA (USA) — zamiast prezentów dla Ewy Małolepszej — na pomoc dla rodzin aresztowanych członków „Solidarności” — \$ 100,00 .....	F. 600,00
pp. R. Biemel, Le Mesnil-Saint-Denis (Francja) .....	F. 300,00
H. Czajkowski, Hamilton, Ont. (Kanada) — \$ c. 50,00 .....	F. 250,00
Dochód ze spotkania czytelników <i>Kultury</i> z dr. Zdzisławem Najderem w Sztokholmie (po potrąceniu wydatków Krs 666,00) — Krs 380,00 .....	F. 390,00
E. M. z Kalifornii w imieniu A. Pleszczyńskiego — \$ 20,00 ..	F. 120,00
Czesław M. Foksovicz, Edmonton, Alta (Kanada) — \$ c. 120,00	F. 600,00
Rozalia Hornbough, New Britain, Conn. (USA) — na ruch oporu w Kraju — \$ 5,00 .....	F. 30,00
Christian Jacob, Wettingen (Szwajcaria) — sumę otrzymaną przez dr. D. Kruze z Zurychu w nagrodę za zwrot znalezionego portfela .....	F. 633,92
Stanisława Jaklicz, Paryż .....	F. 225,00
M. D. Z., Feijó (Portugalia) — honorarium z <i>Literatury</i> (Hollywood, CA) — \$ 50,00 .....	F. 300,00
K. R. z Florydy — \$ 20,00 .....	F. 120,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 151)

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 14 lutego 1982

Uderzyło mnie ostatnio, od czasu sowieckiej operacji „autoinwazyjnej” w Polsce, że w artykułach zachodnich publicystów o ZSSR (zwłaszcza lewicowych) stał się modny Golem.

Według praskiej legendy Golem był robotem, stworzonym przez rabina Löwa: wykonującym posłuszenie rozkazy, dopóki ma w zębach kartkę z magiczną formułą swego stwórcy; niszczącym na oślep wszystko dokoła, gdy kartka wypada mu z zębów.

Skojarzenie publicystyczne działa zapewne tak: odkąd sowieckiemu Golemowi wypadły z zębów pisma Marksa, rośnie stale i niepowstrzymanie (co wyjątkowo jaskrawo, z różnych względów, ukazał przykład Polski) jako mechanizm nagiej siły destrukcyjnej, gigantyczny Robot o żelaznych stopach zdolnych tylko do zadeptywania wszelkich przejawów autentycznego i swobodnego życia. Skojarzenie o tyle sugestywne, że pismom Marksa nie brak cech magicznej formułki...

Golem pojawia się również przelotnie w wydanej świeżo historii ZSSR Michała Hellera i Aleksandra Niekricza *L'Utopie au pouvoir*. Wspomina o nim Heller, pisząc o „zdumiewającym wyznaniu” Lenina na XI zjeździe partii, w rok po inauguracji Nepu. Lenin porównał wówczas nowonarodzoną „ojczyznę socjalizmu” do samochodu, odmawiającego posłuszeństwa kierowcy, posuwającego się w niezamierzonym kierunku, jakby prowadziła go czyjaś „ukryta ręka”. Heller nazywa to „tragedią” Lenina, powołuje się na legendę o Golemie i konkluduje: „Twórca Golema zniszczył swoje dzieło, Lenin postanowił wzmocnić rękę kierowcy”.



P.9786 Chr. Arch.

Raczej niż o tragedii kierowcy porewolucyjnego państwa, należałoby tu chyba mówić o nieludzkiej bezdusznosci utopistów, o szaleństwie i okrucieństwie każdej utopii, nawet takiej która nie zdążyła jeszcze uzbroić i nakręcić w pełni swego Golema z magiczną formułą w zębach. Heller przytacza w tym samym rozdziale nieznaną mi wypowiedź Gorkiego z lat głodu 1921-1922: „Przypuszczam, że większość trzydziestu pięciu milionów zagłodzonych umrze. Umrą półdzygi, idioci, trudni mieszkańcy wsi rosyjskich. Zastąpi ich nowa rasa ludzi wykształconych, rozsądnych, energicznych”. Miliony „zbędnych” ludzi odpisywał tak z absolutną beztróską nie utopista u władzy, lecz piewca utopii, humanistyczny rzecznik jej sumienia. Przemawiał głosem innego utopisty nie u władzy, Wierchowienieńskiego, zwolennika „ścięcia stu milionów głów i przeskoczenia rowu”. Ale Wierchowienieński wiedział przynajmniej kim jest naprawdę: „Jakież ze mnie socjalista! Jestem po prostu oszustem i łajdakiem”.

15 lutego

Książkę Krzysztofa Pomiana *Pologne: Défi à l'impossible?* zamyka „szkic do portretu” „Solidarności”, napisany w październiku 1981. Czytać go teraz — choć porządkuje tylko i analizuje wzorowo, na użytek czytelników francuskich, rzeczy na ogół Polakom znane — jest zabiegiem orzeźwiającym. Gdy dniem i nocą myśli się ciągle o tym samym, gdy byle drobna dystrakcja wywołuje rozdrażnienie zamiast przynosić ulgę, gdy trudno się jednak obronić przed okresowymi przyływami depresji (jakkolwiek silne byłyby argumenty przeciw), dobrze jest uprzytomnić sobie raz jeszcze czym stała się „Solidarność” podczas szesnastu miesięcy swego istnienia; i czym nie przestanie być, mimo zechnięcia do konspiracji pod okupacją jaruzelską.

Pomian używa wymiennie zwrotów „przebudzenie narodu”, „powstanie pokojowe”, „rewolucja obywatelska” (ten ostatni zapożyczony od Mazowieckiego). Była tym wszystkim. I była elementarnym, głębokim aktem samowiedzy społeczeństwa w systemie totalitarnym; powszechnym sięgnięciem po najprostsze prawa należne człowiekowi w życiu zrzeszonym. Jak można liczyć że taki proces, który w niespełna półtora roku przekreślił trzydziestopięcioletnie dzieło zniewalania i nijaczenia narodu, da się odwrócić i pokonać za pomocą wojska wyprowadzonego z koszar dla „zapędzenia znarowionego konia do stajni”? Nonsens. Tytuł książki Pomiana ma dziś inny jakby wydźwięk: słowa *défi à l'impossible?* określały łańcuch ogniw historycznych od rewolty poznańskiej do powstania „Solidarności”; dziś określają, już bez

znaku zapytania, rodzaj wyzwania rzuconego społeczeństwu polskiemu przez juntę generalską, *niemożliwość* cofnięcia historii Polski do zgody na status okiełznanej i „znormalizowanej” prowincji imperium.

Wspominam obrazy zgromadzeń i debat „Solidarności”, jej prasę i wydawnictwa; wspominam wspaniały film *Robotnicy 80*; wspominam wreszcie działaczy „Solidarności”, których miałem okazję osobiście poznać. Gdyby przez chwilę bodaj uwierzyć że był to jedynie półtoraroczny sen, musiałoby się także uwierzyć że Polakom zostało na zawsze odebrane dekretem wojskowym życie na jawie. „Solidarność” była (i jest) owocem śmiałości dostatecznie młodej, by nie przegądać się co krok w czarnych lustrach 1944 i 1945. Ma teraz przed sobą lustro 13 grudnia 1981. Widzi w nim klęskę, zatrząskującą historyczny ciąg 1956-1968-1970-1976-1980? Nie sądzę. Widzi w nim chwilową porażkę „narowu” wolności i godności ludzkiej w historycznym ciągu otwartym w przyszłość.

18 lutego

Kartka bez podpisu od mojego wrocławskiego znajomego (poznaję go dobrze po charakterze pisma), przywieziona przez anonimowego podróżnego i wrzucona do skrzynki pocztowej w Wenecji. Jedno tylko zdanie: „Stała się aktualna książeczka Tomasza Łubieńskiego?”. Podwójny tu właściwie znak zapytania, skoro tomik Łubieńskiego o powstaniach polskich od Insurekcji Kościuszkowskiej do roku 1863 zatytułowany był *Bić się czy nie bić?*

Zajrzałem do mojego zapisu w dzienniku o książeczce Łubieńskiego, z maja 1979. „Podobno zdeorientowała recenzentów. Apoteoza powstań? Ich krytyka? Na miejscu autora byłbym z takiej reakcji zadowolony. W sedno trafia tytuł: pytanie (o czym Łubieński nigdy nie zapomina), którego najgłębszy sens tkwił w tym że ciągle, na przekór klęskom, trwało. Odpowiadał na nie jednoznacznie Worcell. Mógł na nie jednoznacznie odpowiadać, gdyż nie przestawano go sobie zadawać. W roku 1910 odpowiedź Worcella posłużyła za motto do rozdziału o okresie 1864-1904 w *Sprawie polskiej* Studnickiego”. Odpowiedź brzmiała tak: „Zadna klęska, żadne nieudanie się powstania nie będzie śmiercią, dopóki wspomnienie każdego drugie wywoływać będzie”.

W moim zapisie istotne jest zakończenie: „Tragedia 1944 roku powściągnęła polski impuls powstańczy, ale go nie zabiła.

Zgadzam się z diagnozą Jana Nowaka w epilogu do *Kuriera z Warszawy*: to że powściągnęła, zwiększyła ostrożność Polaków; to że nie zabiła, zwiększyło ostrożność Moskwy. Ten splot ma w sobie coś z zawieszenia broni. I pozwala tymczasem pracować nad ograniczaniem polskiej podległości”.

„Pod łagodnym obcym panowaniem — pisał Mochnacki — Polacy powstają, bo mogą; pod surowym, bo muszą”. Pierwszą część zdania można odnieść do „pokojowego powstania” czy bezkrwawej „rewolucji obywatelskiej” w sierpniu 1980. Druga zawisła nad Polską od 13 grudnia 1981. Nie ulega wątpliwości, że sierpień 1980 naruszył potencjalnie, gwałtowniej niż kiedykolwiek po wojnie, owo swoiste zawieszenie broni. 13 grudnia 1981 nastąpiło gwałtowne naderwanie splotu obu ostrożności, ale jeszcze nie jego zerwanie. Jeżeli stan wojenny nie zostanie szybko odwołany, jeżeli nie zostaną przywrócone podstawowe zdobycze „powstania pokojowego”, sprawdzi się prędzej czy później druga część zdania Mochnackiego.

Odezwą się teraz pewnie głosiciele „politycznego realizmu” i „przykazań geopolityki”, dowodząc że wobec pęknięcia kręgosłupa „ideologicznego” PRL, i nikłych widoków usztywnienia go w gorszej wojskowym, należy przekonać Moskwę o konieczności rozmów z innymi Polakami (nie kwestionującymi ani jałtańskiego podziału Europy, ani głównych zrębów „socjalizmu”) w imię zachowania spokoju i porządku na zachód od Bugu. Znaczyłoby to mniej więcej tyle, co spodziewać się że argumenty (powiedzmy) profesora Stommy okażą się w Moskwie bardziej przekonujące od argumentu, jakim była i jest nadal identyfikacja znakomitej większości Polaków z „Solidarnością”. Czyli znaczyłoby brać dziecinne rojenia i umysłowe igraszki „geopolityczne” (wcale nie takie niewinne jakby się mogło zdawać) za „zmysł rzeczywistości”. Prawdziwy zmysł rzeczywistości daje o sobie znać w pytaniu mojego wrocławskiego znajomego.

20 lutego

Dwadzieścia lat temu Leonardo Sciascia zrekonstruował w *Morte dell'Inquisitore* na podstawie archiwów i aktów sądowych historię Fra Diego La Matina, braciszka z zakonu augustianów, który w roku 1657 zabił w lochach więzienia Inkwizycji w Palermo hiszpańskiego Inkwizytora nazwiskiem Juan Lopez de Cisneros. Opowieść pisarza sycylijskiego zrobiła na mnie ogromne wrażenie, napisałem o niej artykuł, jakiś czas nosiłem się nawet z zamiarem przetłumaczenia jej na polski. Wczoraj w nocy, szukając na półkach czegoś do czytania, czegoś możliwie oder-

wanego od chwili bieżącej, trafiłem na zakurzoną, rozprutą od kilku lektur, pokreśloną i upstrzoną notatkami *Śmierć Inkwizytora*. Sto stronnic zaledwie, połknąłem je w dwie godziny. Z uczuciem — jak to określić? — uchylenia wieka trumny i zobaczenia w niej twarzy umarłego niezmiętej po latach, niezmiennie wyrazistej, lecz o rysach zaostzonych, piękniejszych, żywszych, jak gdyby z otwartych ust dochodził szept: „Umarłem by nie umrzeć”. A więc tak bliski pozostał mi braciszek z sycylijskiego klasztoru w Ragalmuto! Tak bardzo bliski, że czas wydobył na jego martwą i zbiełałą twarz rumieniec życia!

Był młody, silny, porywczy. Zanim zakuto go w kajdany i wtrącono do palermitańskich lochów, był kilkakrotnie wzywany z wolnej stopy przed oblicze Trybunału Świętej Inkwizycji. Wracął do Ragalmuto podejrzany, za każdym razem poważniej, ale z definitywnym obwinieniem ciągle zwlekano. O co go podejrzewano? Z ocalałych aktów sprawy zdaje się wynikać, że o herezję raczej społeczną niż teologiczną. Albo łączną, bo ze skąpych poszlak Fra Diego wyłania się niekiedy jako coś w rodzaju ewangelicznego buntownika, podburzającego uciskanych i krzywdzonych do oporu z Pismem Świętym w rękę. Nie był z pewnością bezbożnikiem ukrytym w mnisim habitcie. Gdyby nim był, nie marnowano by w Trybunale czasu na perswadowanie mu że myli się i błądzi.

W roku 1650 — miał wówczas dwadzieścia osiem lat — trybunalscy uczeni w piśmie uznali ostatecznie jego omyłki, błędy i grzechy myśli za karygodne. Skazano go na dożywotnie zamurowanie w celi. Uciekł stamtąd po sześciu latach za pomocą „postronka używanego do tortur”. Błąkał się na wolności krótko, parę dni. Odtąd, po schwytaniu, Święta Inkwizycja zabrała się do niego na serio. Ale, jak głosi przekaz, „ani bolesne tortury, ani kajdany, ani łańcuchy zdolne do zmiękczenia żelaza nie potrafiły ugiąć ducha w tym hultaju”. Zaiste nie potrafiły, o czym przekonał się pierwszy Inkwizytor, *monsignor* Cottoner, którego z rąk torturowanego wyrwali cudem w ostatniej chwili oprawcy. Miejsce rannego Cottonera zajął wikariusz generalny Juan Lopez de Cisneros, siedemdziesięcioletni *inquisidor apostolico en este reyno de Sicilia*. Historyk twierdzi, że do zwykłych swoich upartych wywodów o „słuszności i konieczności rewolty uciskanych i krzywdzonych” Fra Diego dołączył teraz napiętnowanie „obcego panowania hiszpańskiego na Sycylii”, którego „Święta Inkwizycja jest jednym z płodów”. Inkwizytor podwyższał stopniowo i umiejętnie ból zadawany torturowanemu. Nie zachowały się w kronikach, archiwach i zdekompletowanych aktach szczegóły historycznego dnia 4 kwietnia 1657 roku. Wiadomo tylko, że Fra Diego ugodził starca w głowę kajdanami.

Od dnia mordu miał upływać prawie rok do Aktu Wiary i publicznego spalenia zabójcy na stosie; wyznaczono go na 17 marca 1658 roku. O tym roku mówi kronikarz: „Przytwierdzono zabójcę do zrobionego specjalnie, mocnego krzesła łańcuchami i żelaznymi cęgami, które krępowały wszystkie członki jego ciała; bano się jego nieposkromionej woli, która co chwila wybuchała strasznymi groźbami”. Gdy siedział nocą bez ruchu na swym krześle tortur, zmieniali się jego rozmówcy ze Świętego Uficcjum. Chodziło (wyjaśnia kronikarz) o to, „by ustawicznie spędzać mu sen z powiek” i „jego umysł piekielny powstrzymać od pograżenia się w letargu”.

Nie okazał skruchy i żalu za grzechy w dniu Aktu Wiary. Przeciwnie, odpowiadał śmiało, „zuchwały i twardy jak głaz, z bezwstydnym czołem, mnożąc przekleństwa i złorzeczenia, potwierdzając herezje”. Nie przestraszył się również widoku stosu, ani jego upozorowanego dwukrotnie podpalenia. Ale naraz, u samego już progu śmierci, zaszła w nim błyskawiczna zmiana. Nachylił się do towarzyszącego mu księdza: „Poddam się Kościołowi, jeśli mi życie cielesne darujecie”. Na co ksiądz: „Wyrok jest nienaruszalny”. Na co on: „Czemuż tedy powiedziano: *nolo mortem peccatoris, sed ut magis convertatur, et vivat?*”. Na co ksiądz: „Powiedziano tak o życiu duszy, nie zaś o życiu ciała”. Na co on: „A więc Bóg jest niesprawiedliwy”.

Właśnie dzięki tej nagłej (i daremnej) zmianie Fra Diego jest mi tak bliski. Bo moje zapatrzenie w niego nie jest zapatrzeniem w oleodruk męczennika bez skazy, lecz miłością do człowieka z krwi i kości, który broniąc do upadłego swej ludzkiej godności, potyka się po ludzku i ugina na słabnących nogach by natychmiast wyprostować się nie dotknąwszy kolanami ziemi. Umiera by nie umrzeć.

22 lutego

Kiedyś wyrwało się Felicji Bauer, narzeczonej Kafki: „Chciałabym być przy tobie, kiedy piszesz”. Odpowiedział długim listem. „Pisać znaczy otwierać się aż do nadmiaru... Dlatego gdy się pisze nie można być nigdy dostatecznie samotnym, nie można mieć nigdy wokół siebie dość milczenia, noc jest jeszcze za mało nocą”. Marzyła mu się najdalej położona komórka w rozległej piwnicy. Pisałby tam przy świetle lampy naftowej, posiłki stawiano by mu u progu drzwi wejściowych do piwnicy, chodziłby po nie o oznaczonych godzinach. Byłyby to jego jedyne spacerki pod sklepieniem ciemnego korytarza podziemnego. „Jakież bym tam pisał rzeczy, z jakich wydobywałbym je głębi!”.

Wolno ten list z roku 1913 uważać za manifest literatury „piwnicznej”. Było to coś zupełnie innego niż „wieża z kości słoniowej”, dom „samotnika z Croisset”, czy obity korkiem pokój Prousta; coś spokrewnionego raczej z *podpoljem* Dostojewskiego. Przesycona obrazem świata widzialnego „w całej okazałości”, coraz bardziej wobec niego nieufna, literatura zatęskniła do jego niewidzialnych źródeł i korzeni. Dziś świat widzialny zasługuje nierzadko na przydomek „kafkowskiego”, toteż wyznawcy, naśladowcy i admirałowie Kafki snują nowe marzenia o głębszych, wciąż głębszych piwnicach. Ale tam gdzie pragnęliby dotrzeć nie ma już żadnych w ogóle korzeni, jest tylko ciemność: bez granic i bez jądra. A Kafka był pisarzem religijnym, szukał rozpaczliwie w swoich piwnicach ukrytego przed ludzkim wzrokiem źródła światła.

23 lutego

*Miazgę* przeczytałem jakieś dziesięć lat temu w rękopisie w Maisons-Laffitte, Jerzy Andrzejewski zamierzał ją wtedy wydać w Bibliotece *Kultury*. Zmienił jednak szybko zamiar, dał się wciągnąć w pertraktacje z cenzurą, powieść obcinano po plasterku dla zyskania na czasie i w końcu „załatwiono odmownie” argumentem „braku papieru”. Tak okrojona przez cenzurę, *Miazga* wróciła raz jeszcze do *Kultury* z autorską propozycją wydania: wypadek unikalny w annałach stosunków literackich kraj-emigracja. Oczywiście Jerzy G. wzruszył ramionami. Powieść w wersji integralnej ukazała się niedawno w NOW-iej i w Londynie.

Powtórna lektura utwierdziła mnie w pierwszym wrażeniu sprzed dziesięciu lat. Jest w *Miazdze* część, którą uważałem za *sui generis* małe arcydzieło: *Życiorysy Polaków*. Nie do wiary prawie, że kilkadziesiąt suchych rysów biograficznych zdołało tyle powiedzieć o współczesnym społeczeństwie polskim. Ma rację Andrzejewski zapewniając, że „nikt, kto w tym kraju się nie urodził i nie wychował, nie jest w stanie zrozumieć i przyjąć różnych szczegółów oraz odcieni językowo-historycznych, z których te *Życiorysy* zostały zredagowane”. A reszta *Miazgi*? Można (i bodaj należy) potraktować *Życiorysy* jako trzon, wokół którego kręci się karuzela nieśmiertelnego polskiego wesela (tym razem odwołanego pięć minut przed dwunastą i opisanego w czasie przyszyłem, w formie inscenizacji niespełnionej). Wirują karuzelowe łódeczki, koniki na biegunach, ławeczki, postacie przesiadają się w biegu z jednych na drugie, dialogują, uczują, kuszą, intrygują, zwierają się i zgrywają, wspominają, mizdrzą się i krygują, mówią prawdę i blagują, karuzelarz stoi z drzącą

ręką na szajbie i w dość egotycznym dzienniku usiłuje bez skutku zapanować nad swoją rozkręconą karuzelą, chwilami bywa to wszystko w miarę zabawne i nawet bystre, częściej niestety nudnawe, płaskie i płytkie, domyślamy się że chodzi o kolejną wersję polskiej „nierzeczywistości” i „Polski czyli nigdzie”, pamiętając równocześnie że istnieje jednak wbrew pozorom polska „rzeczywistość” z którą proza polska potrafi się zmierzyć tylko stylem słownika biograficznego Polaków... Smutne wyznanie polskiej niemocy powieściopisarskiej, słaba rekompensata „realizmu rozkręconego” za grzechy „realizmu kierowanego” *Popiołu i diamentu*.

25 lutego

Po Golemie kolej na Frankensteina. „Operacja Frankenstein”, tak w korespondencji z Warszawy dziennikarz włoski nazywa próbę „ożywienia trupa partii”. Niezupełnie ściśle jest to „ożyczenie”, legenda nakazywałaby mówić o „uduchowieniu”. Legendarny Frankenstein z powieści Mary Shelley został przez obłąkanego lekarza sklecony i zszuty, na ludzkie podobieństwo, z organów ciała dobranych odpowiednio na cmentarzach i w trupiarniach. Twórca tchnął w niego życie vegetatywne, naturalnie bez „duszy”, bez „iskry Bożej”. Potwór zamordował rodzinę lekarza i uciekł. Twórca dopadł go z zamiarem zniszczenia swego dzieła, sam jednak zginął z jego ręki. Warszawska operacja zatem, jeżeli dobrze rozumiem dziennikarza włoskiego, ma polegać na zaszczepieniu trupiemu monstrum gruczołów inteligencji i elementarnego rozeznania moralnego. Impreza beznadziejna, orzeka dziennikarz, kończąc swoją korespondencję popularnym w Warszawie dowcipem o rozmowie Jaruzelski - Deng. „Ilu macie w Chinach przeciwników ustroju?” — pyta generał. „Okolo trzydziestu pięciu milionów” — odpowiada Deng. „Tyle samo co u nas w Polsce” — kiwa głową Jaruzelski.

Ten dowcip nie oburzyłyby już dzisiaj komunistów włoskich, którzy po pół-zerwaniu z Moskwą weszli na drogę rewelacyjnych odkryć. Giancarlo Pajetta, „minister spraw zagranicznych” włoskiej partii, odkrywa że „żaden z powojennych rządów polskich nie umiał się zdobyć na jakie takie funkcjonowanie”. Dlaczego? „Dlatego że od roku 1945 polska partia komunistyczna odmówiła uznania społeczeństwa polskiego za to czym ono naprawdę jest... Stąd na nic się nie zdały, niczemu nie służyły, periodyczne zmiany kierownictwa partii i rządu, wszystkie rozwiązania okazywały się błędne, wszystkie były nie na miarę Polaków”.

Jest to opis stanu wojny przeciw społeczeństwu, trwającego

od roku 1945, chociaż proklamowano go otwarcie dopiero w grudniu 1981. Opis, który w ustach polityka „reakcyjnego” miałby posmak zużytego i nie wartego powtarzania komunału.

Z wywiadu Johna Milligana ze Zbigniewem Bujakiem: „Dowiedzieliśmy się, że ministrowi spraw zagranicznych Czyrkowi obiecano ostatnio w Moskwie pomoc w postawieniu na nogi gospodarki naszego kraju w ciągu dwóch-trzech lat w zamian za: czystkę w partii i w środkach informacji, likwidację „Solidarności”, kolektywizację rolnictwa, usztywnienie stosunku do Kościoła”. Bardzo zbliżone do mojego „scenariusza” w zapisie z 8 stycznia.

Z każdym dniem natarczywsze staje się wrażenie, że Kościół (lub przynajmniej część jego hierarchii) chce odegrać rolę „mediatora”. W mechanizmie sowieckiej „autoinwazji” nie jest i nie będzie „mediatorem”. Jest — czy mu się to podoba bez zastrzeżeń, czy nie — *stroną*; obok „Solidarności” reprezentującej społeczeństwo. Może być tylko, jeżeli się na to zgodzi nie dostrzegając własnego zagrożenia, narzędziem podmywania i podcinania oporu. Czyli porzucać stopniowo postawę, której wyrazem było piękne kazanie księdza Mirosława Drzewieckiego w Wrocławiu.

28 lutego

Kto jak ja lubi amerykańskie filmy o gangsterach, wie że występuje w nich często „adwokat” czy „doradca” szajki, żałona figura, oblatany i wyszczekany kauzypierda, któremu daje się kopniaka w tyłek i parę razy w szczękę, jeśli nie potrafił „załatwić sprawy”; albo wtyka do ręki zwitek banknotów z łaskawym poklepaniem po ramieniu, jeśli „sprawę załatwił”, tzn. zagadał kogo wypada i zamydlił mu oczy manipulując zręcznie „dowodami”. Podczas „załatwiania sprawy” mecenas szajki posługuje się obficie okrzykiem *believe me*, w tonie błagalnego zaklinalania się na wszystkie świętości.

W rozmowie z Orianą Fallaci szafuje owym *believe me* Mieczysław Rakowski, urzędowy mecenas „grupy wojskowej” (tak właśnie ją nazywa), specjalista od „załatwiania spraw”, człowiek który usprawiedliwił pucz z 13 grudnia „koniecznością zapędzenia znarowionego konia do stajni”. W co ma uwierzyć Oriana Fallaci? W szereg rzeczy: że Breżniew kocha i rozumie Polskę; że w październiku 1980 niczego Kani nie narzucał, nie żądał

zdławienia „Solidarności”, domagał się jedynie większej kontroli nad sytuacją; że Susłow przyjechał do Warszawy tylko po to, by podzielić się z towarzyszami polskimi swymi krytycznymi uwagami (do czego jako ideolog miał pełne prawo), natomiast powstrzymał się od wszelkich rad i wskazań; że pod koniec listopada 1981 Kulikow przyjechał do Warszawy wyłącznie w celu przypomnienia zainteresowanym, zwłaszcza „Solidarności”, kto dowodzi wojskami Paktu Warszawskiego; że Jaruzelski jest humanistą; że plany wprowadzenia stanu wojennego w Polsce leżały w kasie ogniotrwałej od lipca 1944, a wyciągnięto je stamtąd dopiero na dwa tygodnie przed puczem; że gdyby do puczu nie doszło, Polska spłynęłaby potokami krwi najechana przez wojska całego Paktu Warszawskiego; że w polityce życie poszczególnego człowieka (to w związku z zabitymi w grudniu) nic nie znaczy; że Berlinguerowi wywietrzała widać z głowy lekcja historycznego materializmu; że partia polska znajduje się co prawda w przejściowym stadium rozkładu, ale należy pamiętać jak krótko trwa budowa socjalizmu w Polsce, zaledwie trzydzieści siedem lat; że dość już ustawicznego polskiego bredzenia o wolności; że żadnego oporu nie będzie. Niestety, Oriana Fallaci nie może jakoś temu wszystkiemu uwierzyć. Rakowski więc, z nutą bolesnego zawodu i jakby zniecierpliwienia w głosie, nazywa ją „anarchistką”. Nie powiodła się próba „załatwienia sprawy”, jak groch o ścianę odbiła się seria adwokackich *believe me, please, believe me*.

Ale mecenas, o czym również wiadomo z amerykańskich filmów o gangsterach, ma zawsze w rękawie kartę odwodową; i rzuca ją na stół, gdy błagalne zaklinanie się na wszystkie świętości nie odnosi spodziewanego skutku. Ta karta jest w rozmowie Rakowskiego ze sławną dziennikarką najciekawsza, odsłania bowiem na co liczy reprezentowana przez niego „grupa wojskowa” w panującym nadal „stanie zero”. Otóż Wałęsa, który nie słucha obecnie Glempa jak słuchał niegdyś Wyszyńskiego, jeszcze się waha, jeszcze się nie zdecydował, czy pozostać przywódcą współpracujących z „grupą wojskową” związków zawodowych (a w ciągu półtora roku zdążył zasmakować w roli „wodza”), czy też zaciąć się w uporze poczciwego i skazanego na niebyt muła. Chodzą słuchy — przymruża oczko mecenas, — że Kościół ma go już dosyć, powoli dojrzewa do pozbycia się swego ogłuchłego nagle pupila. Bo Kościół, trzeba pani wiedzieć, musi pójść na kompromis, jeśli chce odzyskać status sprzed 13 grudnia. Bardzo było interesujące pod tym względem kazanie Glempa w Rzymie, każde jego słowo przenikał duch kompromisu. A Wojtyła? Nno tak, upiera się jeszcze mimo stałych wyjaśnień ze strony „grupy wojskowej”, prawdopodobnie jest pod wpły-

wem przebywających na Zachodzie członków „Solidarności”, ale to się może zmienić po wizycie Glempa.

„Grupa wojskowa”, ustami swego mecenasa, stawia na jedną kartę; marząc o uroczystej, przy biciu w dzwony kościołów, procesji dziękczynnej z okazji odwołania stanu wojennego i wyjścia ze „stanu zero”.

5 marca

U schyłku trzeciego miesiąca wojny (w Polsce, opowiadał mi wczoraj E. po powrocie z Warszawy, słowo „wojna” wyparło całkowicie słowa „stan wojenny”) głównodowodzący polski stał się w Moskwie do raportu przed Najwyższym Dowództwem. Zgotowano mu przyjęcie „pierwszej klasy” w gradacji protokołu „wspólnoty socjalistycznej”: takie jak Husakowi po roku 1968, czyli z większą pompą niż Kadarowi po roku 1956. Znaczy to, według znawców kremlońskiego języka przyjąć i powitalnych całusów, że i „model normalizacyjny” przydzielono Polsce bardziej zaszczytny: prostolinijski husakowski, a nie ambiwalentny kadarowski. W toaście Breżniew mówił o imperatywie „oczyszczenia socjalizmu z obcych wtretów”, Jaruzelski o obowiązku „obrony socjalizmu” przed wrogą agresją. Polskiemu głównodowodzącemu przedłużono kredyt zaufania i otworzono nowy kredyt gospodarczy. W tym drugim zabrzmiała niemal nuta kupna zaprzyjaźnionej firmy na skraj bankructwa, z zamiarem jej lepszego spożytkowania w ramach imperialnego koncernu. Komentator jugosłowiański Frane Barbieri nie ukrywa swego „współczucia dla generała wciąganego w wir logiki pétainowskiej, której chciał za wszelką cenę uniknąć”.

Zdumiewające jak szybko wypływają w myśleniu politycznym na wierzch łatwe schematy, modele, analogie. Nie tak dawno pisało się aż do znudzenia (słusznie zresztą), że Polski Sierpień jest nieporównywalny z Praską Wiosną i rewolucją węgierską. Teraz czyta się wciąż o „dylemacie polskiej normalizacji: model czeski czy węgierski?”. Jak gdyby w ciągu półtora roku nie powstało w Polsce, nie rozwinęło się i nie zakorzeniło coś, do czego nie mogło jeszcze czy nie zdążyło dojść na Węgrzech i w Czechosłowacji. Jak gdyby dość było trzech miesięcy na wykarczowanie bagnetami powszechnego, wielomilionowego ruchu społecznego. Przed trzema miesiącami rządzący rozpoczęli w Polsce przeciw rządzonemu jawną wojnę, która trwa i długo potrwa; tyle wolno powiedzieć o „polskim modelu normalizacji”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI



## Nowa lewica na Zachodzie

Źródłem myślenia lewicowego jest impuls moralny. Ale myślenie nowej radykalnej lewicy na Zachodzie jest pochodną absolutyzmu moralnego. Wychodząc od impulsu moralnego walczy się z wyzyskiem, krzywdą, przemocą. Wychodząc od postawy absolutyzmu etycznego nie można zgodzić się na żadną formę krzywdy, a przyjmując tę postawę trzeba odnaleźć sposób na radykalną przemianę. Jakościowy skok. Zbawienie świata. Trzeba uwierzyć w przyszłą doskonałość ludzkiego bytowania. Wtedy fundamentem nowego, odmiennego świata stanie się rewolucja.

Czy wyznawców takich zasad mogą zadowolić reformy? Wizja stopniowego postępu, łagodzenia coraz nowych konfliktów? Czy wykorzeni to krzywdę i cierpienie na ziemi? Przecież to półśrodki, oportunizm, zgoda na zło! Trzeba zbawić świat, bowiem nie można zgodzić się na krzywdę i musi istnieć taka możliwość, gdyż nie można zaakceptować jej braku. Ta tautologia to jeden z zasadniczych punktów wyznania wiary radykalnej lewicy.

Najczęściej argumentem moich lewicowych przeciwników na Zachodzie było pytanie: czy możesz zgodzić się na krzywdę? Nędzę w krajach trzeciego świata? Urzeczowienie relacji międzyludzkich? Co masz do zaproponowania? Filantropię?! Czy tym nakarmisz wszystkich głodnych?! Konsekwencją tego typu myślenia była rezygnacja z prób nakarmienia tych, w stosunku do których było to możliwe. W imię rewolucji rozwiązującej automatycznie wszystkie problemy.

Przy takiej radykalnej postawie lewicowej nie można zaakceptować demokracji parlamentarnej („burżuazyjnej demokracji”), z zasady opierającej się na kompromisach. Kompromis to śmierć czystej wartości, to rezygnacja z idei w klasycznym tego słowa znaczeniu. Zgoda na istnienie krzywdy. Zasady radykalnej lewicy i zasady parlamentaryzmu prowadzą do dwóch zasadniczo odmiennych wizji życia społecznego i polityki. U podstaw parlamentaryzmu leży założenie głębi i wielości życia społecznego, roz-

maitość pragnień, dążeń i grup interesów, które w każdym wypadku są w stanie tylko częściowo określać ludzkie zbiorowe potrzeby; to szacunek dla realności człowieka. Uzgadnianie rozmaitych dążeń, utrwalanie dzięki kompromisom niepewnej równowagi wewnętrznej to zadanie parlamentaryzmu, z założenia niedoskonałego, poddającego się reformom i przybierającego coraz nowy kształt wraz z nowymi kontekstami społecznymi. Radykalna lewica to koncepcja zbawienia świata raz i na zawsze, uszczęśliwienia ludzkości poprzez jeden apokaliptyczny akt; to sprowadzenie wszystkich konfliktów, całej złożoności życia do jednego mechanizmu, całej rzeczywistości społecznej do jednego, kluczowego zjawiska, wyparcie realności przez potencjalność. W koncepcjach politycznych akceptujących demokrację parlamentarną — jak np. w liberalizmie — polityka jest tylko pewną formą społecznego istnienia, wprawdzie konieczną, ale nie zasadniczą i im jest jej mniej tym lepiej. W radykalnie lewicowej postawie jest wręcz odwrotnie: polityka jest alfą i omegą, istotą antropologii.

Ekstremiści etyczni i polityczni, wyznawcy ideologii rewolucyjnych odwracają zasadę Iwana Karamazowa. Iwan nie zgadzał się za zbawienie świata za cenę jednej łzy, oni nie zgadzają się na istnienie świata za cenę jednej krzywdy. Po czym następuje szereg rozumowań, aż po przewartościowanie wartości w fazie końcowej. Nowa etyka determinizmu akceptuje dwa porządki moralne. Jeden ponadhistoryczny, określający zespół wartości, do którego zrealizowania dąży w toku rozwoju cywilizacji gatunek ludzki; drugi historyczny, relatywny, w którym dobro określa się ze względu na jego udział w realizowaniu się celu ostatecznego. W imię człowieka przyszłości, pełnego i zrealizowanego, można odrzucić konkretnych ludzi, nie zrealizowanych, nie pełnych, a wręcz przeciwnie, zdeformowanych przez zły ustrój (należałoby rzecz raczej uformowanych, bowiem człowiek to nic innego jak wypadkowa kilku napięć społecznych, ale nie jest zadaniem tego tekstu śledzenie paradoksów tej myśli, tylko przeciwie — uchwycenie jej logiki).

Konsekwentnie wcielony w życie absolutyzm moralny może albo opierać się na metafizyce (w szerokim tego słowa znaczeniu, tzn. założeniu wielości porządków rzeczywistości), albo być ideologią tragiczną i heroiczną, albo doprowadzić do zaprzeczenia swojego punktu wyjścia, czyli do akceptacji spotęgowanego zła i krzywdy w imię realizacji ideału. Świadomość metafizyczna została wyrugowana z naszej cywilizacji, wybory heroiczne (tzn. wybór ciężaru pełnej wolności i odpowiedzialności) nigdy nie stają się udziałem społecznym; lewicowe ruchy ekstremistyczne odrzucają konkretnego człowieka i świat.

W konsekwencji pojawia się pogarda przedstawicieli ideologii rewolucyjnych dla zwykłego człowieka: mieszczucha, burżuja, filistra nie realizującego wzniosłego, rewolucyjnego ethosu. Połączone jest to z nienawiścią do politycznych przeciwników. Są to:

„świnie”, „faszyści”, a sformułowanie „nienawidzę ich” spotykałem nawet u najbardziej gołębiego serca rzeczników lewicowych ideologii. Jeżeli ma się przed oczami zrealizowanie szczęścia ludzkości, przestają obowiązywać mieszczańskie opory moralne. W imię przyszłej doskonałości społecznej, w której rozplynie się indywidualny podmiot, można przekreślić tymczasowe, chybione projekty ludzkie.

W świecie uproszczonego i zsekularyzowanego manicheizmu barwy rozłożone są wyraźnie. System powodujący zło — świat Arymana strzeżony przez demony; duchy Ahuramazdy czyli lewicy walcząca z systemem i bezwładna masa — ludzie którzy uwięźli w systemie, skażeni przez grzech i zło, tych należy uwolnić. Ponieważ zbawienie jest kolektywne, a tradycyjna etyka to przesąd, więc w celu zrealizowania projektu eschatologicznego spokojnie można abstrahować od istniejących tu i teraz widmowych postaci ludzkich; przecież i tak nie można liczyć się z ich zniekształconą przez kapitalistyczne pranie mózgów świadomością.

Nie znaczy to, że w skali masowej akceptowane jest przez nową lewicę hasło „cel uświęca środki” czy rozmaite warianty kodeksu Nieczajewa. Formuły te uległy powszechnej kompromitacji szczególnie dzięki bolszewickiej praktyce. Pomimo tego, nie aprobowane w dosłownej wersji, muszą one być milcząco założone przy wszelkiego typu rewolucyjnych ideologiach.

Kiedy polityka jest esencją rzeczywistości, a porządek społeczny nośnikiem całego zła, musimy albo walczyć z nim i być rzecznikami wartości, albo służyć jego utrwaleniu. Nie ma innego wyjścia. Nie ma zjawisk ani światów niepodporządkowanych tej regule, wszystko determinowane jest przez politykę, która da się zdefiniować przez antynomię kapitalizm - socjalizm. Kapitalizm aktualny, socjalizm potencjalny. Rewolucja ma się rozprawić ze starym światem w imię nowego. Właściwie wiadomo, że cała cywilizacja, cała kultura jest funkcją struktury społecznych opartych na wyzysku i krzywdzie. Służy ich umacnianiu i sankcjonowaniu (wyjąwszy pojedyncze zjawiska krytyki starego i antycypacji nowego świata). Służy utrwalaniu zła. Jest skażona i rodzi zło. A więc skazana jest na zniszczenie, aby mógł narodzić się nowy świat.

Co jest konsekwencją tego typu ideologii rewolucyjnych, wykazały rozliczne przykłady z ostatnimi „rewolucjami kulturalnymi” i koszmarnym eksperymentem Kambodży na czele. Ideologie te i przykłady podlegały wielokrotnym analizom, a Leszek Kołakowski odsłonił ostateczne konsekwencje takiego rozumowania, które musi doprowadzić do odrzucenia języka i powrotu do stadium zwierzęcości. Ale wiary nie podlegają weryfikacji.

Przy deterministycznych założeniach wyjściowych, ideologie lewicowe dokonują przewartościowania najbardziej podstawowych pojęć naszej kultury. Tak dzieje się z kategorią wolności. W najbardziej klasycznym ujęciu wolność to możliwość wyboru, zasadniczo między dobrem a złem. Marksisci, a za nimi współ-

czesna nowa lewica, odwracają takie pojęcie, które jest tylko złudzeniem, owocem zmistyfikowanej świadomości. Negatywna wolność (wolność od...) to iluzja w zdeterminowanym świecie, gdzie człowiek kształtowany jest jako całość przez socjalne warunki, a jego świadomość to jedynie (w konsekwencji) funkcja przystosowawcza. W społecznej rzeczywistości prowadzi to ku odrzuceniu liberalnej zasady obrony praw człowieka. Cóż z tego, że można być wolnym od prawnego nakazu, skoro jest się uzależnionym od warunków. Różnice są tylko formalne. Wolność w nowym ujęciu to zgodność warunków społecznych z „autentycznymi potrzebami ludzkimi”. Człowiekowi należy stworzyć odpowiednią rzeczywistość, dać mu możliwość wyboru jedynie dobra. Będzie to wolność pozytywna. Winny zniknąć zjawiska takie jak prostytutka i pornografia. Sztuka winna być kontrolowana pod kątem eliminacji wszelkich szkodliwych społecznie treści. Nie będzie wolno lansować konsumpcyjnego modelu życia i handlowych stosunków międzyludzkich, i tak dalej i tak dalej. Przykłady wybrałem na chybił trafił, kierowany szlachetnymi oburzeniami lewicowców. Już nawet abstrahując od pytania: kto będzie ustalał co jest dobrem, dochodzimy w efekcie do zaprzeczenia samej treści pojęcia.

W koncepcjach lewicowych dominuje idea równości, a jej aktualizacje mogą wykazywać jak od obrony autentycznych wartości dochodzi się do czystej abstrakcji. Tak zresztą jak w wypadku wszystkich maksymalistycznych ideologii, które absolutyzują pewien zespół wartości i w związku z tym negują złożoność życia społecznego, jego nieprzezroczystość, względność naszej wiedzy i sądów oraz zasadnicze antynomie zakorzenione w historycznym, zbiorowym istnieniu.

Jak już zaznaczyłem, u źródeł myśli lewicowej tkwi impuls natury moralnej. Jest to odpowiedź na krzywdę społeczną. W odczuciu zbiorowym krzywda ta sprowadza się do problemu nierówności, wyzysku człowieka przez człowieka. Wprawdzie w myśli Marksa współistnieje z nim inny, istotniejszy wątek: ucłowieczenie procesu produkcji, opanowania świata społecznego, ujęcia w swoje ręce losów ludzkich, ale w kontynuacji tej koncepcji zlały się one w jedną kwestię. Skoro człowiek ma być nie tylko niezapisaną tablicą, ale wręcz niedookreśloną formą kształtowaną przez rzeczywistość społeczną, jasne jest, że wszelkie różnicowanie międzyludzkie jest sprawą warunków egzystencji. Postulat równości stał się dezyderatem natury moralnej (oczywiście moralności w tradycyjnym tego słowa znaczeniu). Był to już nie osiemnastowieczny postulat równości w sensie liberalnym — czyli równości potencjalnej, równości przyrodzonej, równości wobec prawa — ale równości totalnej, zrównania. Od reakcji na autentyczną krzywdę, która jest wynikiem nierówności, od oburzenia na widok z jednej strony głodu z drugiej przesyty, przechodzi się do absurdałnej koncepcji totalnego egalitaryzmu. Skrajnym pomysłem w tej dziedzinie były maostowskie działania zmierzające do likwidacji hierarchii wiedzy,

która podobno służyć miała utrwalaniu nierówności społecznej. Jaki przebieg miały akcje wymierzone w naukę i sztukę, a szerzej w kulturę w Chinach — żeby już nie przypominać Kambodży, jest rzeczą powszechnie wiadomą, ale nawet w Europie i Ameryce pod koniec lat sześćdziesiątych działania kontestatorów przybierały niepokojące rozmiary. Od poczucia autentycznej krzywdy przebiega prosta droga do resentymentu, od impulsu moralnego do zawiści. Pełny egalitaryzm musi stać się absolutną kontrolą państwa w stosunku do obywateli. W naszych czasach szigalewszczyzna została zrealizowana w wymiarze, którego nie przewidywał Dostojewski; równość w niewolnictwie, destrukcja kultury zostały wzbogacone milionami ofiar.

Chciałbym zaznaczyć, że nie przedstawiam tu poglądów kontestatorów i ich następców. Usiłuję tylko prześledzić logikę myślenia ekstremistów ideologicznych; obok najautentyczniejszego moralnego niepokojenia i oburzenia, są oni nieodrodnymi dziećmi rzeczywistości, której zaprzeczają. Rzeczywistości spłaszczonej do wymiaru prostych determinant ekonomicznych, i człowieka zreifikowanego, sprowadzonego wyłącznie do miejsca w procesie produkcji (mitologia klasy robotniczej), zredukowanego do prostych układów społecznych.

Tego typu lewicowa krańcowość prowadzi w uspokojonym świecie do potrzeby heroizmu. Jest to heroizm jednoznacznie pojętej walki. Wiadomo kto wróg kto przyjaciel, wiadomo, że zwycięży się bo takie są wyroki historii. Pomimo to wielokrotnie z tonu moich rozmówców przebijała nuta tęsknoty za naszą wschodnią sytuacją, gdzie system represyjny jest tak jednoznacznie prosty, że wszyscy widzą go jak na dłoni; nie zmienia to faktu, że swój wybór widzieli oni w kategoriach jednoznacznych. W świecie pustki potrzebne jest takie właśnie samozadowolenie, poczucie walki o wartości, świadomość heroicznego uczestnictwa w realizowaniu się dziejów i wtedy wszystko staje się jasne, rzeczywistość oferuje same pewniki. W tej sytuacji pojawia się silne poczucie więzi wewnątrz grupy. Służy temu cała symbolika akcentująca wspólnotę towarzyszy walki wobec wrogiego im systemu. Mechanizmy stosunków i wartościowania tak wewnątrz jak i na zewnątrz tego typu grup analizowane były już wielokrotnie, warto tylko raz jeszcze wspomnieć, że wszelkie uniwersalne zasady zostają zastąpione specyficzną solidarnością czy raczej nacjonalizmem grupy. Grunt pod to zjawisko został przygotowany przez marksistowski nacjonalizm klasowy wraz z ideą mesjanizmu klasy robotniczej, oraz zrelatywizowanie tradycyjnej etyki. Nietolerancja ujawnia się jako prosty efekt wszystkich tych rozumowań. Kiedy ma się pewność prawdy ostatecznej i jedynej oraz świadomość uczestnictwa w „boju ostatecznym” o zbawienie świata, tolerancja wobec czyichś poglądów czy nawet osób staje się śmiesznym przeżytkiem. Szczególnie przy założeniu takiego właśnie manicheizmu społecznego w myśl zasady: kto nie z nami ten przeciw nam. Zjawiska nie mieszczące się w tych jasno sprecyzowanych kate-

goriach politycznych muszą być albo wręcz wrogie bo mistyfikujące rzeczywistość, albo co najwyżej opatrzone epitetem pięknotuchostwa, co w efekcie wychodzi na jedno.

Klasykzna taktyka partii komunistycznych przed zdobyciem władzy była taktyką obłożonych twierdzy. Na zewnątrz znajdowali się wrogowie. Na zewnątrz znajdowało się społeczeństwo i system, który miał ulec destrukcji. Postawa ta przeniknęła do świadomości lewicy. W ogromnej większości dzielą oni świat na lewicę i prawicę, progres i regres, postępowość i wstecznicstwo. Wspólnota lewicowa to nie tylko jedność punktu wyjścia, sposobu rozumowania, zespołu wartości, wokół których organizuje się ta formacja — to przede wszystkim wspólnota symboliki i mitologii ruchów robotniczo-rewolucyjnych. To wspólny ethos, który stał się zespołem stereotypów. Nic w tym dziwnego, jeżeli pamiętamy, że głównym zadaniem tych ruchów jest rozsadzenie systemu, doprowadzenie do rewolucji; przy takim założeniu wszyscy dążący do zniszczenia zachodniej demokracji deklarujący swoją lewicowość stają się towarzyszami broni, choćby dzieliły ich plany działania, metody, wizja rzeczywistości czy model społeczny, który proponują do realizacji po zwycięstwie. Stąd dziwaczne na pierwszy rzut oka sojusze między maoistami, anarchistami, lewymi komunistami; między feministkami a trockistami etc. Kłótnie lewicowe to kłótnie w rodzinie, przy świadomości wspólnoty z towarzyszami chcącymi dobrze, choć może mylącymi się radykalnie w ocenie rzeczywistości i projektach działania; strona przeciwna to rzecznicy zła. Oczywiście zdarzają się wyjątki przede wszystkim w rozłamujących się grupach trockistów oskarżających się wzajemnie o współpracę z KGB i CIA łącznie, ale takie wypadki mogą się zdarzyć w każdej rodzinie.

Jaskrawym przykładem takiej sytuacji są stosunki pomiędzy terrorystycznymi grupami — jak RAF czy Czerwone Brygady — a resztą radykalnej lewicy, wielokrotnie wydawałoby się odległej od stosowania zbrojnej przemocy, nie mówiąc już o obłąkanych akcjach wymienionych organizacji. Otóż o ile pojawia się krytyka tego typu działania z tej właśnie strony, przeważnie dotyczy ona nieskuteczności metod, a jednocześnie próbuje usprawiedliwić personalnie ludzi w to zaangażowanych, dokonuje się analiz właściwie słusznych postaw i motywów terrorystów oraz mechanizmów, które zepchnęły ich na manowce rewolucyjnych akcji. Wyjaśnienie jest jedno: to presja zachodniego, odczłowieczonego systemu i brak dróg wyjścia doprowadzają do odruchów rozpacz i postępującej spirali gwałtu; to ukryty totalitaryzm, który oswaja każdy protest, wywołuje potrzebę przemocy, a wtedy cały represyjny mechanizm zostaje uruchomiony, zło odśladania kły i niszczy szlachetnych buntowników; to beznadziejność sytuacji wywołuje odruchy samobójcze, związane z ideą samopoświęcenia. Wszystkie te analizy dotyczą swoich, chociaż zbłąkanych. Swoi są to osoby, tamci po drugiej stronie to zdepersonalizowane zło o wymiennych twarzach. Jest

jeszcze bierny tłum, interesujący jedynie jako obiekt do przetworzenia w społeczeństwo jutra. Uderza jeszcze jedno zjawisko: ciepło, jakim obdarzani są ponurzy fanatycy terroru, należy się nie tylko zbłąkanym braciom; to również rozważanie nad możliwością, którą inni lewicowcy rozpoznają jako potencjalnie swoją. Nad ofiarami nie zastanawia się nikt, są po drugiej stronie — prawdziwymi ofiarami są zbłąkani bojownicy z bombą i rewolwerem.

Mitologia lewicowa to również zestaw stereotypów na temat rzeczywistości politycznej naszego globu. Twierdzą broniącą kapitalizmu, bastionem imperializmu są Stany Zjednoczone. Nic więc dziwnego, że wyznacznikiem lewicowości jest antyamerykanizm. We wszelkich konfliktach politycznych lewica popiera siły antyamerykańskie. Oficjalnie cała ta formacja polityczna deklaruje swoją niechęć do ZSSR, ale nie wyciąga z tego faktu żadnych wniosków. Problem ZSSR jest skomplikowany: jest to kraj „zdradzonej rewolucji”, ale jednak kraj rewolucji zwycięskiej, dla wielu więc grup (szczególnie trockistów) jest to krok naprzód w stosunku do starego świata. Dla innych to równoważnik USA na wschodzie, z tym, że oni żyją na zachodzie, a ich zadaniem jest rozprawienie się ze swoim systemem. Fakt istnienia rywalizacji, ba walki o świat zbyt by skomplikował sytuację, lepiej nie dopuszczać tego do świadomości. Zagrożenie ze strony rosyjskiego imperializmu to amerykańska propaganda, której nie można wierzyć. W ostateczności używa się argumentacji moralnej. Jak powiedziała mi młoda pacyfistka: „Czy fakt, że nie jest to możliwe na wschodzie, ma powstrzymać mnie od realizowania moich zasad tutaj?”. Cóż można odpowiedzieć? Że jeśli chce się działać społecznie, to trzeba brać pod uwagę konsekwencje swoich działań; sam nagi, szlachetny impuls nie wystarczy. Że czyste wartości można realizować w inny sposób. Przecież nie widzi ona innej możliwości realizacji swoich idei, ani innego miejsca na ich uprzedmiotowienie.

W międzynarodowych konfliktach politycznych, w których po jednej stronie zaangażowani są Amerykanie, a po drugiej Rosjanie, lewicowcy nie dostrzegają istnienia tych drugich. W efekcie sprowadza się to do popierania wszystkich antyamerykańskich przedsięwzięć politycznych, bez względu na ich orientację i proveniencję. Może wyglądać to paradoksalnie: sojusz tak zwanego postępu z ruchami skrajnie nacjonalistycznymi i fanatycznymi. Ale chodzi przecież o destrukcję światowego imperializmu i kapitalizmu, czyli o rzecz najważniejszą, reszta jest wtórna i mało znacząca. Zresztą nacjonalistyczne ruchy i reżymy trzeciego świata nauczyły się już używać lewicowych frazeologii: obecnie okazała się ona najlepszą dla usprawiedliwiania gwałtu i dyktatury.

W jednoznacznym świecie ze złem można tylko walczyć, współpraca czy pomoc amerykańska dyskwalifikuje. Jest to z pewnością jeden z zasadniczych powodów antyizraelskiej orien-

tacji lewicy zachodu. Wartości zostały ustalone raz na zawsze. Wszelkie działania arabskie są usprawiedliwione: i terror, i święta wojna wydana Izraelowi. Jak zwykle w takich wypadkach, kłopotliwa sprawa fanatyzmu religijnego połączonego ze skrajnym nacjonalizmem zostaje przemilczana. Dla swoich i wrogów stosuje się odmienne miary. Cóż, tradycyjna etyka została zawieszona, a nowa zrelatywizowana jest ze względu na cele. Skoro my wypełniamy ostateczne zadania historii i zbawiamy świat, przestają nas obowiązywać stare miary, co nie przeszkadza nam w odwoływaniu się do nich, jeśli sami zostajemy zagrożeni. Przestają więc dziwić ci sami ludzie, którzy akceptują IRA wydające wyrok na Londyn i wołający „fasyzm” na widok usuwania ludzi z okupowanych domów; rozpaczający nad nieludzką dołą uwieczonych terrorystów i bez mrugnienia oka przyjmujący wiadomość o kolejnym zamordowanym, przypadkowo wziętym zakładniku; atakujący gromko rasizm, który polega na niejednakowym statusie świeżo przybyłych gastarbeiterów i przyklaskujący ekscesom murzyńskiego rasizmu w wydaniu „czarnych panter”. Nie ma co mnożyć przykładów i przytaczać następnych objawów lewicowych mitów, jak poczucie winy i nowa wersja sentymentalnego kultu „dobrego dzikusa”, którym będzie Murzyn, Arab, Latynos z zasady posiadający monopol na rację. Może tylko warto uzmysłowić sobie tragedię afgańską jako dobry próbiez sposobu rozumowania lewicy radykalnej. Nie ma sensu analizować postaw krańcowych (większość ugrupowań trockistowskich), które akceptują podbój Afganistanu dokonywany przez Rosjan jako obiektywny krok naprzód na drodze postępu; to, że nie będzie już na kim wcielać w życie owego postępu, niespecjalnie ich interesuje; oczywiście traktują tę wojnę jako „prewencyjną”: ... „w innym wypadku kraj uległby wpływom amerykańskim”. Ale większość moralistów z oburzeniem piętnujących ucisk narodowościowy Basków w Hiszpanii czy Irlandczyków w Anglii i organizujących akcje przeciwko tym zjawiskom jakoś na boku pozostawia jedną z okrutniejszych wojen współczesności (oczywiście nie zgadzając się na nią), gdzie uzbrojona po zęby armia największej militarnej potęgi świata dokonuje akcji eksterminacyjnej cywilnej ludności, stosując taktykę spalonej ziemi i traktując kraj ten jako poligon doświadczalny dla nowych rodzajów broni chemicznej i biologicznej, a przeciw niej walczą partyzanci uzbrojeni co najwyżej w stare karabiny. Na moje nagabywania w tej sprawie otrzymałem odpowiedzi, które odsłaniają dwie zasadnicze przyczyny bierności moich lewicowych rozmówców. Po pierwsze, wydarzenia te rozgrywają się daleko i właściwie ich nie dotyczą, gdyż nie biorą w nich udziału wrogowie ludzkości czyli imperializm amerykański i kapitał międzynarodowy. Po drugie, nie mogą przyłączyć się do działań protestacyjnych organizowanych czy popieranych przez ich rządy i prawicę.

Lewicowość to moda, trend, język, mitologia. W określonym intelektualnym środowisku nie można być nie postępowym, nie

na lewo. Jeżeli nawet nie czuje się związku z lewicowym zespołem wierzeń, to ani nie wypada, ani nawet nie można się do tego przyznać. Dobre towarzystwo nigdy by tego nie zaakceptowało. Bowiem lewicowość to również zespół konwencji, obejmujących wszystkie aspekty życia. To schematy myślowe i językowe, maniery i dobry ton. Zresztą w obiegowym wydaniu lewicowości traci aspekt jakiegokolwiek ideologii, jest już czystą mitologią. Trochę tak jak w książce „Kościół, lewica, dialog” zdefiniował ją w swoim wypadku Adam Michnik (trywializując nieco): jestem za tym, żeby ludziom było dobrze i w tym sensie jestem lewicowcem. Czyli lewica to ci, którzy chcą dobra.

Na zakończenie chciałbym wyjaśnić, czym miał być ten tekst. Otóż nie miał on być analizą politycznego programu lewicy zachodniej, nie podejmowałem rozważań nad całością politycznego aspektu ich działania. Mówiąc o lewicy, miałem na myśli przede wszystkim nową lewicę, przedstawicieli i spadkobierców kontrkultury z końca lat sześćdziesiątych. Przedstawiciele grup ekstremalnych, odrzucających parlamentarny model realizowania demokracji. Spoistość tego ruchu jest coraz mniejsza, wyznacza ją raczej pewien *ethos* niż program polityczny, jak również określona logika myślenia i działania, której parę aspektów chciałem naszkicować. Moja krytyka wymierzona jest w postawę, styl myślenia wyprzedzający nie tylko kontestację, ale i marksizm; to co dzieje się obecnie z przedstawicielami tego ruchu uważam za pocieszające, co nie znaczy zaraz napawające optymizmem. Z jednej strony postępuje dezintegracja tych grup, utrata, a częściowo rezygnacja z rygorystycznych politycznych programów, ograniczenie się do partykularnych działań i zadań, wielokrotnie bardzo sensownych (jak np. rozwój ruchu samorządnościowego) — z drugiej zasadniczo ta sama postawa myślowa, o której pisałem wyżej. Moja krytyka odnosi się do ukrytych totalitarnych tendencji, tkwiących w ekstremizmach politycznych, do skończonych i zamkniętych ideologii, ulegających automatycznie alienacji i spychających człowieka do roli instrumentalnej. To, że wypisują one na swoich sztandarach dobro ludzkie zmienia niewiele. Dobro człowieka realizuje się w nich na jeden konkretny sposób. Ideologie i systemy totalitarne nie lubią pewnych słów, takich jak wolność, demokracja. Słowa te mogą jedynie egzystować z dopełnieniami takimi jak „prawdziwa wolność”, czy „socjalistyczna demokracja”. Znaczy to, że wszelkie inne rodzaje wolności nie są wolnościami prawdziwymi; że tylko przy zrealizowanej ideologii demokracja nie jest pustym dźwiękiem. Wielokrotnie wskazuje się w nich na abstrakcyjność i zmistyfikowanie pojęć takich jak wolność. Argumentem jest to, że nie można uzyskać ich pełnej realizacji, ale zapomina się, że są one horyzontem. Pewną nieosiągalną granicą, do której zdąża jednostka i społeczeństwo. Są one potrzebą i koniecznością bytowania człowieka, a dotyczą wszelkich sfer jego istnienia. I nie można dać na nie całościowych przepisów, ani określić możliwości ich realizacji.

Bowiem posiadają one nieskończoną wielość postaci, tak jak nieskończoną wielość postaci posiada egzystencja ludzka. Są one jednym z podstawowych imperatywów działania człowieka i stanowią warunek konieczny (choć nie zawsze uświadomiany) wszelkich autentycznych i wartościowych przedsięwzięć ludzkich. Jak pisze Stanisław Barańczak:

„Wszelkie utopie, które chcą zamknąć złożone i nieobliczalne 'życie nie do pojęcia' w ramy niewzruszonych i nietykalnych dogmatów, kłócą się z najbardziej podstawowymi właściwościami ludzkiego gatunku — ciągłym niezaspokojeniem i ciągłym dążeniem do wolności”.

Ideologie krańcowe, postawy ultralewicowe, absolutyzowanie polityki i sprowadzenie moralności jedynie do jej funkcji — to pochodne określonego stanu świadomości zbiorowej. To efekty reifikacji świata i człowieka, sprowadzenie wszystkich zjawisk rzeczywistości do jednego wymiaru. W tej sytuacji wszelkie religijne postawy i tęsknoty przesunięte zostają w sferę socjologii; każdy maksymalizm pragnie konkretyzacji w układach socjalnych, polityka staje się metafizyką, a świat jednowymiarowy i uproszczony może jedynie zaprzeczać wartościom.

Bronisław WILDSTEIN

### STYPENDIA INSTYTUTU J. PIŁSUDSKIEGO W NOWYM JORKU

Instytut J. Piłsudskiego w Ameryce zamierza w ciągu roku 1982 udzielić kilku stypendiów dla naukowców polskich prowadzących badania naukowe z zakresu najnowszej historii Polski, przebywających poza Krajem, bez względu na miejsce zamieszkania.

Stypendia te będą przyznawane bezzwrotnie w gotówce na jeden do trzech miesięcy przez Zarząd Instytutu. Podania w tej sprawie z wymiennym tematu i planu zamierzonej pracy należy kierować na adres Instytutu.

Blizsze informacje są do otrzymania w Instytucie po osobistym lub pisemnym zgłoszeniu.

**PIŁSUDSKI INSTITUTE OF AMERICA**

381 Park Avenue South  
New York, N.Y., — U.S.A.  
Tel.: (212) 683-4342.

## Zapiski na gorąco

### STAN WOJNY

Zapadła ciemność. Mróz tężał. To przedmieście opustoszało przedwcześnie. Tylko stamtąd, gdzie forticznym masywem czerniała huta, dochodził nieustający chrzęst. To czołgi i transportery na gaśnicach zbliżały się do zabarykadowanych bram kombinatu. Wojsko otaczało hutę. Również w tamtym kierunku podążała kolumna żołnierzy z karabinami opatrzonymi w bagnety. W światłach nielicznych latarni pobłyskiwała nieoczekiwanie. Bił od niej zimny blask. Drogę do huty zagradzały betonowe zapory. Przy nich stali dwaj wartownicy w uszatyh czapkach. Przytupywali nogami i zabijali dłonie. Przez piersi mieli przewieszony pistolety maszynowe. Po przeciwnej stronie przegrodzonej drogi żarzył się koks w piecyku. Trzeci z trzymających straż żołnierzy grał się przy nim. Rozgarniał prętem czerwone węgle.

Długie, ostre jak sztylety sople lodu zwisały z okapu kamienicy. Wartownik odsunął się trochę od ściany domu, niebezpiecznie najeżonej u góry. Nieliczni przechodnie omijali żołnierza z daleka. Odprowadzał ich czujnym spojrzeniem. Wtedy jego dłonie opuszczały strefę ciepła nad ogniem i spoczywały na maszynowej broni. Ludzie szybkim krokiem przechodzili ulicę. Nie patrzyli w jego stronę. Okna kamienic były ciemne, wygaszone. Mijał trzeci dzień stanu wojny i zbliżała się już godzina policyjna.

Z bocznej uliczki wyjechała taksówka. Zbliżyła się do zablokowanej drogi. Zatrzymała się przed betonowymi kozłami na jezdni. Wartownicy podeszli do samochodu. Broń trzymali w pogotowiu. Kontrola dokumentów. Otworzyli bagażnik. Długo w nim przetrząsali. Taksówka zawróciła.

Zapanowała cisza. Chrzęst pancernych pojazdów w pobliżu huty zacichł zupełnie. Długo nikt się nie pokazywał. Toteż

nagły odgłos kroków zabrzmiał bardzo hałaśliwie. Ktoś powolnie i ciężko przesuwiał stopami. Zgarbiona, niekształtna sylwetka zamajaczyła w bramie. Przykuśtykała do koksowego piecyka. Była to stara kobieta z workiem przewieszonym przez ramię. Młody żołnierz popatrzył na nią uważnie. Zrzuciła swój ciężar z pleców. Twarz miała chudą, pełną zapadłisk i bruzd. Spod chustki opadały na czoło kosmyki siwych włosów. Zaczęła grać ręce nad żarem.

— Zimno ci, żołnierzyku — powiedziała i przykuliła się nad piecykiem. Przymknęła oczy.

Od strony huty rozległ się przenikliwy dźwięk syreny. Rozdarł mroźną ciszę. Wartownicy przy drodze poruszyli się niespokojnie. Młody żołnierz też zapatrzył się w tamtym kierunku. Stara kobieta nie poruszyła się nawet. Wyglądała jak martwy kształt. Trzymała nad żarem dłonie. Reumatyczne i wykrzywione palce drżały nieustannie. Młody żołnierz poruszył się niecierpliwie. Ciężyc mu zaczęła obecność starej kobiety. Chrząknął i spojrział wymownie na swój ręczny zegarek. Wtedy ta stara ociężale uniosła głowę.

— Żal... Żal wszystkich... — powiedziała cichym, zdartym głosem. — Żal i ciebie... — wlepiła w żołnierza oczy starej matki. Były to zarazem oczy jastrzębia, wyjedzone i przenikliwe. — Krew na śniegu... Patrz, żołnierzyku!

Młody żołnierz, wyraźnie zaskoczony, rozejrzał się wokół siebie. Śnieg tutaj skrzył się mroźną bielą. Nieskałanie biały śnieg. Wzdrygnął się. Mróz potęgował się. A te słowa starej były jeszcze bardziej lodowate. I tak wpatrywała się w niego uparcie.

— Co wy, babko! — odezwał się wreszcie i bezwiednym gestem przesunął pistolet maszynowy przewieszony przez piersi. Był to młody chłopak o pucułowanej, wiejskiej twarzy. Opuścił głowę i czubkiem buta zaczął żłobić śnieg.

Stara kobieta zarzuciła swój żebraczy worek na plecy. Poczłapała powolnie. Zaraz zniknęła w ciemności. Tylko śnieg chrzęścił pod jej nogami.

— Kto tam?! — zawołał jeden z wartowników pilnujących drogi do huty.

— Głupia jakaś! — odrzyknął po chwili wahania młody żołnierz. Kucnął przy piecyku. Koks potrzaskiwał. Dym, ogień...

1 stycznia 1982 r.

BOŻE, ZMIŁUJ SIĘ NAD WILNEM!

Zaczęli ich tłuc. A te pały takie mieli! Wielkie, grube

maczugi. Specjalne. Bo te, które zazwyczaj widzimy, to są pałeczki-laleczki w porównaniu z tymi drągami. Otoczyli gro madkę wyrostków i zaczęli ich obrabiać.

— Dokumenty, dokumenty! — powtarzali i wcale nie czekając, jak ci chłopcy pokażą swoje dowody, okładali ich po plecach, nerach tymi pałami. Chłopcy łamali się jak łądygi. Niejeden padał. Taki łomot było słycać i stękanie.

To działo się 17 grudnia wieczorem. Czwartego dnia stanu wojny. Cały Plac Zwycięstwa został zablokowany. Mimo to wygarnęli sporo młodzieży.

Jestem człowiekiem przedwojennym. Okupację przeżyłem jako młodzieniec. Toteż dla mnie był to szczególnie przykry widok. Te budy... Te watahy milicyjne z pałami... Ta oprawiana przez nich młodzież... Okupacyjne wspomnienia. I tak mnie zamurowało. Stałem i patrzyłem. Akurat dwaj milicjanci, byki takie, zaczęli obrabiać wątlęgo chłopaczka w okularach. Istny studenciak z wyglądu.

— Dokumenty! — ryczeli. A w żaden sposób nie dawali mi możliwości okazania dowodu. Co rękę chciał do kieszeni, to oni go pałą prask! Osłaniał się i płakał. Uciec nie mógł. Przyparł do muru biedaka. Uwijali się przy nim jak wściekłe psy.

— Wolnego, panowie! — zawołałem. — Pozwólcie mi wygitymować się!

Nie wytrzymałem.

Jeden z milicjantów zbliżył się do mnie. Oczy miał dziwne. Błyszczące, nienaturalnie rozszerzone. Musieli ich nafaszerować środkami podniecającymi. Są takie. Wyglądał jakby był w transie. Więc tak spojrział i chwycił za kłapy jesionki.

— Do budy dziada! — krzyknął.

Już drugi ułapił mnie za kołnierz. Powlekli do stojącej w pobliżu budy. Pomagali sobie kopniakami. Ta buda wyładowana po brzegi. Młodzież, trochę starszych, no i ja... Powieźli nas miastem. Pełnym gazem, na sygnale. Ulice puste, wymiecione. Tylko tu i ówdzie żołnierze z bronią w pogotowiu, a na skrzyżowaniach czołgi. Okupacja.

— Boże, zmiłuj się nad Wilnem! — powiedziałem. I to dosyć głośno, bo ci obok popatrzeli na mnie ze zdziwieniem. Nie wiem, czemu mi się tak powiedziało. Te słowa! Skąd one się wzięły. Jestem rodem z Wilna. Wilniuk, jak to mówią. Kiedy Hitler rozpoczął wojnę i było też wiadome, że z drugiej strony rusza na nas wschodni sąsiad, to w jednej z wileńskich gazet ukazał się artykuł wstępny, który kończył się tymi właśnie słowami: „Boże, zmiłuj się nad Wilnem!”. Pustą miałem zupełnie głowę i tylko te słowa obijały się pod czaszką. W której to gazecie mogło być? Wydawali wtedy *Kuriera*, *Słowo* i jeszcze...

Nawet niedługo ta jazda trwała i znaleźliśmy się na podwórzu komendy. Milicjanci ustawili się szpalerem. Wszyscy z tymi pałami w łapach. Myślałem, że wezmą nas w obroty i wymłócą. Na wszelki wypadek głowę wcisnąłem w ramiona i przymknąłem oczy. Nic takiego jednak nie nastąpiło, tylko popędzili nas schodami na dół do piwnicy. Tu wtłoczeni zostaliśmy do niewielkiego pomieszczenia z okratowanym okienkiem pod sufitem. Było nas kilkudziesięciu i tak staliśmy jeden przy drugim w tej ciemnej, dusznej celi. Ludzie z łapanki. Tkwiłem ściśnięty, że nawet ruszyć się nie mogłem i pocić się zacząłem obficie. Nasłuchiwałem szybkich, energicznych kroków na korytarzu. Biegali tam i z powrotem, pokrzykiwali.

Zakotłowało mi się w głowie. To Wilno sprzed tylu lat. *Czerwony Sztandar*. Tam orkiestra pośrodku na podwyższeniu miała swoje miejsce. Ten skrzypek-garbus... Cmentarz na Rossie. Tam chodziłem z ojcem. Babka moja leżała. Obok aniołek z granitu. Odłupane miał skrzydło. Wiliła w górę do Werek. Łaziłem jej brzegiem. Na Antokol szło się zawsze koło przystani... Takie i inne sielskie obrazki!

Stłoczeni byliśmy okropnie. Jeden na drugim. Młodzież. Paru nieźle pobitych. Jeden płacze. Drugi przeklina. Co z nimi robią? Ja też kiedyś tak samo. Lata minęły, tyle lat. Zmagłowali człowieka. Sprasowali. Wyschnięty taki, kurczy się i rozsypuje. Oni po prostu siły nam odbierają. Wysysają swoimi sposobami. Energię, moc ducha, wszystko! Boże, zmiłuj się nad Wilnem!

Już wiem! To był artykuł wstępny w *Słowie*. Zapewne Cat-Mackiewicz napisał. On był filarem tego pisma.

Na korytarzu ciągle ta bieranina. Raz po raz zgrzyta klucz w zamku. Podniesione głosy. Z nagła narodził się w mojej głowie pewien concept, fortel, czy jak to nazwać. Jeszcze sprawdziłem w górnej kieszonce marynarki. Były! Nawet dwie. Nie wiele myśląc przepchnąłem się jakoś do drzwi i zacząłem walić, kopać w te masywne, obite blachą drzwi. Po dłuższej chwili uniosła się klapka judasza i zobaczyłem oko.

— Ja w pilnej sprawie do oficera dyżurnego! — powiedziałem bardzo głośno i stanowczo.

Strażnik otworzył drzwi. Popatrzył na mnie badawczo. Mruknąłem jednym okiem.

— Chodźcie — zdecydował.

Moi towarzysze niedoli tak na mnie popatrzeli. Wszyscy. Cóż mogłem im powiedzieć? Odczytałem doskonale wymowę tych spojrzeń. Strażnik poprowadził na górę do oficera.

Ten oficer nieprzyjemny, suchy. Długo nie zwracał na moją obecność żadnej uwagi. Grzebał w jakichś papierach.

— Co chcecie? — warknął wreszcie.

— Jestem chory na serce. Po zawale. — I na dowód prawdy wyciągnąłem nitroglicerynę z kieszonki. Dwie pigułki.

Oficer wziął w palce jedną pigułkę. Długo oglądał. Potem na mnie popatrzył. Wiercił mnie swoim wodnistym, przenikliwym okiem.

— Wzięty zostałem — powiedziałem szybko — nie wiem za co...

— Dobra! — przerwał gniewnie. — Starczy!

Wykręcił jakiś numer na tarczy telefonu. Bez skutku. Po słyszeniu zajęty sygnał. Odłożył słuchawkę.

— Urodzony w ZSRR — zajął w mój dowód. — Wilno... — zrobił pauzę. — Zwalniam was. Tylko pamiętajcie! — pogroził palcem — nie wolno wam mieszać się do niczego.

Oddał mi dowód. Wartownik odprowadził do bramy. Byłem wolny. Chyłkiem pod murem popędziłem do domu. Tylko kwadrans do godziny policyjnej!

## OPOWIEŚĆ TAKSÓWKARZA

Jeżeli zamek zamarnie, to najlepszy jest płyn hamulcowy. Kilka kropel wlać do środka i kręcić kluczykiem. Można też podgrzać. Dziś rano miałem takie ćwiczenie z zamkiem. Ale silnik zapalił od razu. Kursy były niezłe. Niewiele jeździ taksówek. Przydziały benzyny dla prywatnych taksiarzy są ograniczone. Na lewo od wojska kupiłem kanister. Stoją w lesie zaraz za naszym osiedlem. Cała kolumna transporterów. Pilnują fabryki. Zmarznięci, głodni. Wpadli do cukierni na naszym osiedlu i w kilka minut wszystkie ciastka wyjedli. Pasażerowie małomówni raczej. Boi się człowiek człowieka. Kapusie wyjdą na wierzch. Zaczną węszyć i premię za czujność pobierać. Wiozłem jednego takiego. Futrzana czapa, morda czerwona, nabita. Mongoł. W lusterku go widziałem. Sprawdzić mnie chciał taki syn.

— Wreszcie — powiada — będzie spokój i porządek.

— Co, proszę? — ja mu na to.

— No jak to? — pyta. — Pan jest odmiennego zdania?

— Co, proszę? — powtarzam. — Słabo słyszę, bębni w uszach mi popękały.

Minę zrobił głupią. Tak na mnie popatrzył wilkiem. Skończyła się rozmowa. Wysiadł na Puławskiej w pobliżu tego rezerwatu bezpieczeństwa. Być może na służbę śpieszył. Tam posterunek za posterunkiem. Zatrzymują wozy, sprawdzają. Centrala stanu wojennego.

A z pasażerami rozmaicie. Jeden mówi: milicja miała dostawę na świąteczny stół, wie pan? Ze stawu w Łazienkach wyławiali dla nich karpia. Z pół tony nocą wybrali. Najlepszy gatunek. Królewski karp. Coś pan myślał! — dodał widząc moje zdziwienie. — Napracowały się chłopaki!

To nie był prowokator. Wyczułem go. Swojak. Kaszel taki miał. Długi, rżęzący. Z nadmiaru gorzały.

— I łabędzie będą tłuc — powiedział i sporta przełamał na dwie połówki. Jedną osadził w szklanej łufce.

Palacze kiepsko mają. Przydział kartkowy dla nich nie wystarcza. I tacy jeżdżą. Mówią jak mówili. Nie zamurowało im ust. Przeważnie jednak ludzie milczą. Nie mają humoru. Siedzą tak, łby zwieszane, i jak zderzy się taki z moim spojrzeniem w lusterku, to odwraca oczy. Przeżycia, kłopoty. Może ktoś z bliskich aresztowany, internowany. Wiozłem pewne starsze małżeństwo. Ona mówiła cały czas, że była internowana. Obóz, druty, baraki, apel. Starszy do niej: cicho, cicho, kochanie... — I głaskał ją po ręce. A mnie na boku wyjaśnił, że nerwy jego żonie wysiadły. Wiozł ją do Głupiejewa na Nowowiejską. Różnie ta wojna na ludzi podziała. Taka starsza osoba. Pamięta okupację. Łapanie, egzekucje. Odbiło jej. Czemu nie? Paru takich wiozłem, co opaski czarne nosili na rękawach. Na znak żałoby z powodu tego stanu wojennego. Młodzi jeszcze najlepiej się trzymają. Taki jeden po amerykańsku ubrany, w kurtkę z napisem US Army, mówi na koniec kursu: zna pan to? Wrona orła nie pokona! — I w śmiech. Dobrze, że młodzi nie pękają. Nadzieja jakaś, przyszłość. Bo złe myśli we łbie jednak buszują. Odpędzam, odpędzam, mózg wietrze. Przyczepiły się, cholera jasna, jak rzep psiego ogona! Mróz ścisła. Starzy ludzie umierają. Dużo pogrzebów. Telefonów nie ma, nim zawiadomią pogotowie... Te czołgi, budy i inne militarne wozy przetaczają się ulicami. Watahy milicjantów łążą, węszą. Można tym się zatruć! Zwalczać to w sobie trzeba. Tylko jak? Dziś to kilka razy mnie zatrzymywali. Prawo jazdy, stan licznika, wóz rewidowali. Najbardziej zdenerwowałem się to ostatnią kontrolą. Już do domu zjeżdżałem. Wolno tak. Myślałem, że jeszcze jakiegoś pasażera zabiorę w swoim kierunku. Halt! Zatrzymują. Żołnierze w waciakach, uszate czapki, automaty w pogotowiu. Zmarznięci, przytupują. Od spodu ich obuli marniutko, w gumiaki.

— Dokumenty! — paluchy im zgrabiwały, ledwo kartki w dowodzie przerzucają.

— Zimne te gumiaki — mówię.

— W środku mają ocieplenie — jeden odpowiada. — Ale zimne.



— Bo ci z ZOMO — zauważyłem — przyzwoite wojski mają.

Nic nie odpowiedział.

Ten z drugiej strony wozu, kapral, odzywa się:

— Niech pan tylne drzwi otworzy.

Otworzyłem. Pod siedzeniem zaczął grzebać. Dynamitu czy petardy szukał? Nie znalazł. Zapalam silnik.

— Zaraz — mówi — od spodu zobaczmy. — Klęka i łeb pod wóz pakuje. Bach! Oberwał się zlodziały śnieg. Czapka mu spadła. Wylazł. Nos smarem ubrudzony. Z trudem śmiech hamuje. — Jeszcze bagażnik — warczy.

Przycisnąłem guzik. Otworzył. Tam zapasowe koło, narzędzia i nic więcej. Czekaj wężycielu! Popracujesz jeszcze na tym mrozie! Tak pomyślałem. Zamknął bagażnik. I ledwo to zrobił, wieko znów odskoczyło. Powtórzył. To samo. Bagażnik w moim wozie trzeba umieć zamknąć. Tylko sposobem. I tak zaczął tym wiekiem tłuc. Co przycisnął, to mu odskakiwało. Aż sapać zaczął. Walił coraz mocniej.

— Uwaga! — papierosa zapaliłem. I tak mówię: — Popsucie mi pokrywę, obywatelu kapralu!

Popatrzył na mnie i nic nie powiedział.

A ja ręce sobie na kierownicy opieram i czekam spokojnie. Radio włączyłem i muzyka płynie.

Załamał się wreszcie gorliwy żołnierz. Poprosił, żeby mu pomóc.

— No właśnie! — powiedziałem. — I po co ci to było, kolego?

— A co?! — wybuchnął. — Ja to wymyśliłem?

Już mu się pomału zaczyna przejaśniać w głowie.

## CO MAM ZROBIĆ?

Kawiarnia szumiała jak ul. Szatnia już była zapchana zimowymi paltotami i kożuchami. Szatniarz-rencista nie mógł się nadziwić, że tak nagle w samo południe zrobił się taki tłok. Kobiety i mężczyźni ciasnymi kręgami obsiedli stoliki. Byli to dziennikarze z rozmaitych gazet. Dziś bowiem w pobliżu kawiarni odbywała się weryfikacja. Nawet z okien kawiarni można było zobaczyć ten budynek, w którym mieściły się biura wydawnictwa prasowego. Panował nastrój podniecenia i gorączki. Atmosfera przypominała wyczekiwanie na korytarzach wyższej uczelni podczas sesji egzaminacyjnej. Tym charakterystycznym „czy już jesteś po?” albo „o co pytali?” witano każdego, kto przybywał teraz do kawiarni. Ale nie tylko z egzaminami można to było

kojarzyć. Wkradły się tu również silne akcenty z biura przepustek milicyjnej komendy, gdzie wezwani na przesłuchanie dzwonią pod wskazany numer telefonu i oczekują na oficera śledczego, który poprowadzi delikwenta w głąb gmachu.

Zmienna gra uczuć malowała się na twarzach zebranych w kawiarni dziennikarzy. Jedni popijając kawę i zarzucając nerwowo nogę na nogę wazyli swoją decyzję raz w jedną, a raz w drugą stronę. Ta huśtawka nastrojów wyraźna na ich twarzach. Inni już zdecydowani, skupieni i małowówni, patrzyli w jeden wybrany przypadkiem punkt na ścianie czy suficie. Byli samotni w tłumie. Wsłuchani w swój wewnętrzny głos. Inni jeszcze nie ukrywali zadowolenia i satysfakcji, które wyrażały się w nieco sztucznej pewności siebie i nadmiernej skłonności do żarcików. Wiek tu również odgrywał pewną rolę. Najmłodszy z zebranych przed najtrudniejszą stanęli decyzją. Oni pierwsi przecież z całą ochotą zaangażowali się w „Solidarność”, która teraz będzie językiem u wagi dla weryfikatorów. Więc ich przede wszystkim nękało uporczywe pytanie, czy stanąć przed komisją, czy odmówić jakiegokolwiek rozmowy. Przebieg tej rozmowy stanowić będzie niewątpliwą formę szantażu i jeżeli tak, to nie należy wdawać się z nimi w żadną merytoryczną dyskusję. To przekonanie umacniały relacje z dotychczasowych rozmów. Wymagano przecież od ludzi samokrytycznego rozprawienia się z dotychczasową działalnością w życiu społecznym i pokornego podporządkowania się nowym, brutalnym racjom.

— Czyli napłuć sobie w gębę! — zawołał ktoś z pasją. — Tak?

Jedni przytaknęli skwapliwie. Inni milczeli ponuro.

Może jeszcze jeden akcent stanowił o nastroju w tej kawiarni. Inkwizycja. Przybrać tamtych za komisyjnym stołem w habity. Zmienić scenerię i ta reminiscencja ze średniowiecza będzie zupełnie na miejscu.

Pierwsi z zebranych szykowali się już do wyjścia. Zbliżał się wyznaczony im czas. Ci z pierwszego rzutu, jak krążyła opinia, byli to podobno ludzie, co do których wysuwano najmniej zarzutów. Oni stworzą zdrowy rdzeń przyszłych redakcji. Przeważnie byli to mężczyźni w średnim wieku oraz kobiety zadbane i umalowane o nieco fałszywych uśmiechach. Takimi się w tej chwili ci ludzie wydali zebranim. I już wkradła się obcość i brak zaufania. Już mimo woli szeptem wymieniano uwagi. Już tylko w najbliższym gronie pozwalano sobie na szczerłość.

— Ja wracam do dawnego zawodu — oświadczył brodaty człowiek o stanowczej twarzy.

— Jeżeli znajdziesz robotę — wtrącił jego redakcyjny kolega.

— Co mam zrobić? — powtarzała po raz któryś ładna dziewczyna we włóczkowej czapce z pomponem i po raz któryś dusiła gwałtownie w popielniczce niedopałek papierosa. Zaraz zapalała następnego.

## LANCET

Doktor Mozolski znał go tylko z widzenia. Sąsiad z klatki schodowej. Wymieniali ukłony. To znaczy tamten kłaniał się zawsze pierwszy. Młody, dobrze wychowany człowiek. Brodaty i wąsaty. Jak wielu teraz współczesnych młodzieńców. Przed Sierpniem wiedział o nim jedynie tyle, że pracuje jako kierowca w MZK. Był jeszcze kawalerem i mieszkał z matką. Kiedyś na schodach poprosił go, żeby zbadał matkę. Miała kłopoty z ciśnieniem. Zbadał ją doktor Mozolski i zapisał tej postarzałej przedwcześnie kobiecie właściwe leki. Młody człowiek poczerwieniał i zacinając się zapytał, ile ma zapłacić.

— Przysługa sąsiedzka — odparł doktor Mozolski.

I to wszystko. Zapamiętał jego zażenowanie w sprawie honorarium. Spodobało mu się to nawet.

Po Sierpniu doktor Mozolski doznał nieoczekiwanej przyjemności, kiedy w telewizji pokazywano komisję zakładową strajkujących MZK. Wśród nich był ten brodac, sąsiad z klatki schodowej. Wszyscy ci młodzi pokazani w telewizji wyglądali jak rewolucjoniści z dawnych rycin i dagerotypów. Brodaci przeważali i długowłosi. Rewolucjoniści z 1905 roku. Bojowcy z PPS. Tak ten telewizyjny obraz skojarzył się doktorowi Mozolskiemu z odległą przeszłością. Jak inni w tym czasie, interesował się żywo losami „Solidarności”, pierwszego wolnego związku w tym kraju. Wyczekiwał przed sądem, kiedy odbywała się jego rejestracja. Jak inni oklaskiwał wąsatego trybuna ludowego, Wałęsę. Ale był sceptykiem, a nawet pesymistą. Pochodził przecież z pokolenia ciężko doświadczzonego historią i poczynając od wojny losy narodu układały się w same niepowodzenia, żeby nie powiedzieć klęski. Doktor Mozolski był żołnierzem AK, pseudonim „Lancet” (to aluzja do jego rozpoczętych tuż przed wojną studiów medycznych) i po wyzwoleniu odsiedział kilka lat jako „zapłuty karzeł reakcji”. Nie znaczy to jednak wcale, że te doświadczenia uczyniły z niego złamanego, poharatanego człowieka. Nigdy nie uczynił nic, co by kolidowało z jego poglądami. Jak to mówił z rzadka po alkoholu, nie był mięczakiem ani nie miał duszy kolaboranta. Jedynie chłodno kalkulując i opierając się na naukach przeszłości, również dla tego wspaniałego

zrywu ujarzmiętego narodu nie przewidywał optymistycznych widoków. Czarno jawiła mu się przyszłość. Oczywiście nie mówił o tym zbyt chętnie. Nie chciał być defetystą. A już szczególnie wstrzymywał się od wypowiadania swych diagnoz w obecności młodych ludzi.

W szpitalu ci młodzi byli naprawdę świetni. Przypominali to wytracone, wojenne pokolenie, tych chłopców z konspiracji o pseudonimach rodem z Sienkiewicza, tych przeróżnych Zagończyków, Kmiciców, Kołczanów, Bohunów i innych. Zaangażowanie, odwaga i talenty organizacyjne. I tak z nagłą objawili się ci działacze! Na tej pustyni, gdzie dotychczas cynizm i obłuda walczyły o prymat z czynowniczym podporządkowaniem. Ten szpitalny aktyw „Solidarności” imponował mu niezwykle i ranił nawet boleśnie, przypominając młode lata.

— Już jestem wypalony — powiadał wtedy doktor Mozolski.

Ci lekarze, pielęgniarki, personel techniczny... Też został członkiem tego związku, ale raczej biernym.

Od czasu tego reportażu w telewizji innymi oczyma zaczął spoglądać na młodego sąsiada z klatki schodowej. Raz dłużej sobie porozmawiali. Brodac opowiadał swoje wrażenia ze zjazdu „Solidarności”. Był delegatem. Doktor Mozolski przestrzegał przed zbytnim maksymalizmem. Brodac przyznał mu rację.

Ogłoszenie stanu wojennego było jak przystawiony łom również dla doktora Mozolskiego. Szok, ogłuszenie. Tak to przeżył. Ten nastrój na mieście. Mroźna, zmilitaryzowana zima. Wojenna zima. I równocześnie ta lawina brudnej, prymitywnej propagandy z telewizji. Twarze ludzi, którzy tam się pojawili.

U niego w szpitalu obyło się na razie bez pacyfikacji. Jednego tylko zabrali. Choć zaczęto już mówić o brutalnych naciągach na członków „Solidarności”. O szantażach przeróżnych. Z ukrycia wylażyły męty i gnidy. Żerować zaczęły bezkarnie.

Doktor Mozolski opancerzył się szczelnie jak za dawnych lat stalinizmu. Mało co mówił z ludźmi. Unikał. Ponadto jako chirurg miał ciągle pełne ręce roboty, a wolny czas spędzał słuchając zagranicznych rozgłośni. Tego młodego brodacza nie spotkał ani razu na schodach. Myślał czasem o nim. Co się z nim stało? Internowali go, aresztowali? Nie wiedział więc nic o nim, a jego matki, tej schorowanej kobiety, nie chciał niepokoić.

Dziś po nocnym dyżurze wybrał się do domów handlowych Centrum. Szukał ciepłej pidżamy, bielizny, gdyż zima nadal trzyma tęga. Schodami w dół skierował się do podziemnego przejścia, żeby dostać się na drugą stronę Marszałkowskiej. To przejście podziemne nazywał na własny użytek Hadesem i zawsze tam błędził. Dziś także. Przystanął i nie wiedział w którą iść stronę. I wtedy zobaczył go nagle. Na pewno on. Sąsiad z klatki

schodowej. Tylko bez brody. Ogolony i ostrzyżony. Również przystanął przed sklepem z kosmetykami. Czyżby się ukrywał? Bez brody. Doktor Mozolski powoli zbliżył się do niego. Nie chciał go zaskakiwać. Pragnął, żeby tamten poznał go pierwszy. Człowiek, który się ukrywa, nie powinien być zaskakiwany. Denerwuje się niepotrzebnie. Cały czas się uśmiechał. Szukał jego spojrzenia.

Młodzieniec dostrzegł go wreszcie. Przez chwilę nie poznał. Patrzył intensywnie i coś jak czujny, nieufny namysł pojało się na jego twarzy.

— Panie sąsiedzie! — powiedział z naciskiem doktor Mozolski.

— Aa! — wyraźna ulga w głosie tamtego. — Pan doktor!

Doktor Mozolski nie pytał o nic. Był jak za dawnych, konspiracyjnych lat, skupiony i rzeczowy.

— Gdyby coś... — powiedział ścisłym głosem — ...jakiś kłopot... pan albo ktoś z pana przyjaciół... to u mnie na chirurgii można poczuć się absolutnie bezpiecznie. Obandażuję... Nawet zabieg mogę pozorować i sam diabeł nie dojdzie. Więc... — doktor Mozolski wyrwał karteczkę z notesu i zapisał swoje telefony, domowy i szpitalny. Dopisał jeszcze adres szpitala i wewnętrzny telefon z portierni.

Młodzieniec złożył starannie karteczkę. Ucisnęli sobie mocno dłonie. Rozstali się bez słów.

Doktor Mozolski jeszcze stał i patrzył za oddalającym się młodzieńcem. Tłum kłębiący się w podziemnym przejściu pochłoniął go zaraz.

## SEKRETNE OBLICZE

Przybył komisarz, czy jak go nazwać, i ogłosił decyzję o zawieszeniu naszego związku. Sam nazwał się kuratorem. Mały, szary, oczy jak woda, i równie bezbarwny głos. Z wiadomego resortu. Pałił Carmeny. Zaczął łączyć z kierownikiem naszego biura po pokojach. Mówił, co będzie opieczetowane, a co jeszcze czynne. Czynna będzie kasa i stołówka. Zapomogi, stypendia dawniej już przyznane, no i ta związkowa zupka oraz ruskie pierogi. Ostatnio ruskimi pierogami przeważnie nas karmili. Jeszcze lekarz może nadal przyjmować w swoim pokoiku. Niektóre urzędniczki popłakiwały. Szczególnie te od lat zatrudnione u nas. Jedna zażyła swoje kropelki. Nigdy dotąd nie był nasz związek zawieszany. Od wojny nieprzerwanie funkcjonował przecież. Więc one czuły, że to koniec naszego związku. Kurator

z pokoju do pokoju. One jak zmkłe kury za nim. Przystawały zbitą gromadką z tyłu i popatrywały ogłupiałymi oczyma na niego. Tak jakby nie wierzyły własnym oczom. Ale wystarczyło wyrzucić przez okno. Pod kościołem stał czołg. Od wojny nie było takiego widoku. Lufa jego działa skierowana w wieżę zamkową z zegarem. Na rogu od strony przeciwnej posterunek wojskowy. Broń w pogotowiu, zatrzymują samochody.

— No proszę — powiedział kierowca związkowy, Felek. — Sprawne to wojsko. Ciach, mach, i są wszędzie!

Nie wiadomo, z jaką intencją to mówił. Bo to głupol. Niedawno odbył służbę wojskową. Jeszcze taką panterkę polową nosił.

— A gdzie są protokoły zebrania? — zapytał kurator.

Kierownik biura udał głęboki namysł. Urzędniczki też nic. Wszyscy nabrali wody w usta. Ale nie przeszedł ten numer. Natychmiast Piotrowska przejęła inicjatywę. Lula kazała na siebie mówić. Zatrudniona została rok temu i z każdym brudzia: „Mów mi Lula!”. I język wpychała w usta.

— Tam! — pokazała tę małą szafę w kącie pod obrazem pierwszego prezesa.

— Acha! — mruknął kurator. Zaraz zażądał klucza.

Kierownik zaczął szukać po kieszeniach. Nie miał. Inni też nie mieli. Jednak koleżanka Piotrowska wiedziała, gdzie są klucze. Następnie udała się z kuratorem na sekretną rozmowę do pokoju dotychczasowego kierownika biura.

— Papiery „Solidarności” zabierzcie w diabły! — zdążył szepnąć kierownik.

Bożenka, która prowadziła naszą biurową „Solidarność”, zakrzatnęła się jak fryga i w koszu od śmieci wyniosła teczkę z papierami koła. Szatniarka miała takie swoje schowki.

— Tygodniami mogą szukać — powiedziała ta bystra starowinka.

Chociaż to zdążyliśmy zabezpieczyć. W kilka minut potem z pokoju kierownika wyszła Piotrowska z kuratorem. Już była między nimi mocna więź. To się wyczuwało. Wzajemne zaufanie. Jeszcze jakieś szeptki na boku. Potakuje gorliwie kuratorowi. Zalotna wyraźnie. Otrzymała zadanie inwentaryzacji archiwum.

— Podyktuj ci — poleciła pisanie na maszynie Bożence.

I tak na nas spojrziała. Wyzwanie w jej oczach, wyższość. Nie ta sama osoba. Ujawniła się po prostu. Nawet kierownik biura zachnął się z obrzydzenia. A przecież wiadomo było powszechnie, że mieli coś ze sobą. Raz goniec wpadł do pokoju kierownika i cofnął się od razu. Oni przy biurku. Kotłowali się. Kierownik miętosił ją za te wielkie cycki.

— Na dywanie będzie teges! — chichotał wtedy goniec i ręką zgiętą w łokciu wykonał charakterystyczny manewr.

No i widać! Odeszła mięta kierownikowi raptownie. Jak dobrze pójdzie, to ona z kuratorem może niebawem. Czyżby taką przyszłość zobaczył oczyma wyobraźni kierownik biura? Dywan przy jego biurku i oni tam we dwoje...

W tej ciszy, kiedy każdy przeżywał to przeistoczenie się Piotrowskiej, nasz księgowy zabrał głos. Jemu już gówno zrobić, ma wiek emerytalny. Tak wyprostował się jak świeca. To kawał chłopca, były kawalerzysta. Więc tak wyprostował się i tym swoim sznaps barytonem do Piotrowskiej:

— No to widzę, że pani koleżanka jest osobą zaufaną, nieprawdaż?

Na to Piotrowska, rozłożysta klempa, piersi jak dynie, nawet apetyczna, wypięła się jeszcze bardziej i mówi:

— A co? Nie podoba się panu?

— Skąd! — odpowiada księgowy. — Nic takiego nie miałem na myśli. Tylko... — zadumał się. — Czy nie za wcześniej się pani ujawniła, droga Lulu? Kto wie?... — zawiesił głos. Podszedł do okna. Ten wojskowy widok pod kościołem zaczął kontemplować.

Stropił babę. Dacie wiarę? Stała tak chwilę, usta gapowato rozdziawiła i nic. Myśl jakaś błędziła jej po głowie.

Tam z ulicy słychać było charakterystyczny chrzęst gąsienic i warkot. Księgowy nasycił się już wojskowym widokiem i odwrócił głowę. Tak łagodnie, z dystansu na nas wszystkich popatrzył.

— Aliści później to niejeden odkryje swe sekretne oblicze — powoli wycedził ten drań.

Wtedy mimowolnie też popatrzyliśmy po sobie. Posiał za trute ziarno.

Kierownik skłonił się sprężysto kuratorowi i opuścił pokój.

## NOCNY RONT

Zaryzykowali i ustawili się w czterdzieści pięć minut przed szóstą. Tym bardziej, że były przecieki od rzeźnika. Podobno mają dziś przywieźć wołowinę, schab i podroby. W większej ilości. To podziałało jak magnes i przed końcem policyjnej nocy była już dosyć znaczna kolejka. Przeważały starsze kobiety i emeryci. W razie czego, chyba do starych się nie przycepią. Kilku młodych zajęło kolejkę i na wszelki wypadek ukryło się w pobliskiej bramie. Tam palili papierosy i wyglądali czujnie. Choć mało co w tej ciemności widać. Większość latarni wyga-

szona dla oszczędności i jeszcze zapadła gęsta mgła. Było mroźno. Ta mgła wróżyła śnieg. Starzy ludzie w kolejce stali spokojnie i bez strachu.

— A co tam mi robią! — rozkaszał się astmatycznie jeden taki i wyciągać zaczął rozmaite dokumenty. Z tych dokumentów wynikało, że szedł od Lenino, posiada dwa medale i należy do ZBOWID-u.

Ledwie skończył stary swoje przechwałki, a od placyku pod pałacem ślubów doszedł równy, miarowy stuk butów po skrzypiącym mrozem śniegu. Paru co żwawszych starszków pobiegło schować się do młodych w bramę. Większość pozostała nieruchoma. Nocny ront zbliżył się do kolejki. Czterech ich było. Trzech z długą bronią, a na przedzie jeden z pistoletem w otwartej kaburze. Oświetlili latarkami przycupniętych przy murze ludzi. Przystanęli.

— No i co? — odezwał się pierwszy.

Ludzie milczeli.

— Pół godziny i pięć minut brakuje jeszcze... — obliczył ten pierwszy według swego czasomierza.

— Daruj, panie dowódco! — odezwała się płacliwie jakaś babina.

Dowódca wyczekał długą chwilę.

— Spiszemy winnych tego wykroczenia — rzekł wreszcie. — I skierujemy na kolegium. — Oświetlał po kolei silną latarką twarze czekających pod sklepem. Oślepieni mrużyli oczy. Zdjął rękawice, wyciągnął z raportówki notatnik. — Zaczynamy od czoła — zdecydował. — Ci na początku najwcześniej przekroczyli przepisy.

— Daruj, panie dowódco! — ponowiła swą prośbę ta sama babina.

Nie zwrócił na jej słowa żadnej uwagi. I od początku kolejki wygarniać zaczął pojedynczo. Każdą osobę brał na stronę i trwało to jakiś czas. Osoba wracała później na swoje miejsce. Przeważnie milczała.

— Dwieście bierze — zdążył wreszcie szepnąć ktoś z wracających po przesłuchaniu.

Toteż następni z kolejki już zawczasu przygotowali sobie banknoty w wymienionej wysokości.

Tak po kolei wszystkich wygarnął. W kilka minut się uwinął. Do bramy, gdzie ukrywali się młodzi, nie zajrzał wcale. Schował notatnik do raportówki. Zapiął ją starannie na paski. Szykował się do odejścia. Jego podwładni kończyli palić papierosy.

— A jak nadejdzie następny patrol?... — zdobył się na odwagę i zapytał starszek zbowiedowiec — ...to oni już nie pobiorą?

— Co proszę? — zdziwił się dowódca i dał znak swoim żołnierzom.

Pomaszerowali równym krokiem.

Kolejka pozostała w całej swej długości. Skąpo i przyciszonymi głosami komentowano zdarzenie. Jedni twierdzili, że była to milicja. Inni, że wojsko. Zdania były podzielone. Ciemność już przerzedziła się znacznie. Do końca policyjnego czasu brakowało tylko dziesięciu minut. Zaczął prószyć drobny, ale gęsty śnieg.

### P R A L K A

Od tego właśnie się zaczęło. W tę pamiętną niedzielę. Żona już była z nią umówiona. Od dawna korzystaliśmy z jej pralki. Oczywiście jesteśmy zapisani na własną, ale trzeba czekać. Zapisanych są tysiące. Ona miała. Po linii wojskowej. Wdowa po zawodowym sierżancie. Toteż pukam do niej po klucz od pralni. Zawsze jej pralka tam stała. Pukam i pukam. Radio nastawione na cały regulator. Ktoś gada. Jeszcze nic nie wiedziałem. W niedzielę mamy zwyczaj spać dłużej i dziennika słuchamy dopiero w południe. Wreszcie otworzyła drzwi.

— Proszę, sąsiedzie, proszę!

Nie można jej tego odmówić. Bardzo gościnna.

Wtedy to dowiedziałem się o tym stanie wojennym. Generał przemawiał. Nie będę ukrywał, że osłupiałem. A ona po pokuju przechadza się tanecznym krokiem i powtarza:

— Wojsko ujęło władzę w swoje ręce! — tak w kółko.

O kluczu do pralni zupełnie zapomniałem.

— Może kawusi? — ona pyta.

Odmówiłem.

— Przyjemny głos ma nasz generał armii, prawda? Głęboki taki i ciepły.

Patrzę i oczom nie wierzę. To próchno przecież rozkwita!

— Syn zaraz przyjdzie — mówi. — Na grób męża dziś się wybieramy.

W tym momencie przybrała smutną minę, jak wypada wdowie. Niedługo jednak w tej żałobie wytrzymała. Nucić coś zaczęła zdartym, fałszywym głosem.

Zła krew mnie zalała i czym prędzej opuściłem to mieszkanie. Oficerska bladź! Jak nazwać taką inaczej. Zresztą nie mojego autorstwa ów epitet.

Tego jej męża, sierżanta, doskonale pamiętam. Kwatermistrzostwo czy coś takiego. Spokojny, cichy człowiek. Ale co

pewien czas odprawiał sądne dni. Wraciał pijany i awanturował się. Mieszkamy przez ścianę, to i słychać. Sprzętami ciskał, kłął. I wtedy ten epitet wulgarny: „oficerska bladź” usłyszałem. Tak swą ślubną żonę nazywał. Potrafił również ją poturbować. Ciemnymi okularami osłaniała podbite oczy. Nos jej kiedyś przetrącił. Z wyglądu spokojny, grzeczny facet. Majsterklepka, krany potrafił naprawić, elektryczność. Nim w naszym bloku zamieszkali, to obijali się całe lata po garnizonach i poligonach. Poznali się gdzieś tam, w kasynie oficerskim. Tak ona podkreślała z naciskiem. Dawała nieraz do zrozumienia, że otaczał ją rój wielbicieli. Oczywiście oficerów. Stąd swego męża traktowała z pewną pogardą. Był tylko podoficerem. Natomiast on, być może, pamiętał jej skłonność do szarzy. Tak musiało być i do samej jego śmierci przynajmniej raz w miesiącu wybuchała u nich awantura. Zmarł na zawał. Zabrało go pogotowie i w drodze do szpitala wyzionął ducha. Materialnie została zabezpieczona. Wdowia renta po wojskowym i syn, trzeba przyznać, dbający o matkę. Załatwiał jej różne przydziały. Meble prosto z fabryki w Swarzędzu. Dywan z Kowar. Też wojskowy. Kapitan. Nie wiadomo z jakiej służby. Oni wszyscy, ta władza, nawet jak nie kradną, mają swoje przywileje. Tak to wygląda. Co mnie to obchodziło? Nic. Jednak w tym stanie wojny, który trwa już od miesiąca, oszalała ta stara baba. Na przykład zakochana w tym wojskowym, co czyta dziennik.

— Taki przystojny! Co za spojrzenie posępne! A jakie rysy twarzy regularne!

Cholera człowieka bierze. Patrzę na nią: ufryzowana, śmierdzi mdłymi perfumami i tak siedzi, nogami zarzuca, nogi czarne od żyłaków. Godzinami gapi się w telewizor. Tam teraz pełno wojskowych. Przemawiają, dyskutują. Raj dla niej. W generale tak samo dopatruje się urody, tajemniczego czaru, magnetyzmu. Takie tam bzdury! Nie tylko nam z żoną się uprzykrzyła. Inni sąsiedzi podobnie reagują. Nawet partyjni. A jej jeszcze tego mało! Na spacerzy zaczęła chodzić. Przy wiadukcie jest posterunek wojskowy. Grzeją się przy koksiaku. Żołnierze i milicjanci. Ona podchodzi do nich. Stara się zwrócić na siebie ich uwagę. Coś tam gdacze, uśmiecha się. Żołnierze nawet grzeczniej z nią rozmawiają. Spragnieni przecież ludzkiego ciepła. Otoczeni raczej powszechną izolacją, milczeniem. Choć czy oni winni? Służba to służba. Co prawda pognali ją pewnego razu. Ale to byli milicjanci. Ona nie odróżnia jednych od drugich. Dosyć ostro przemówili do niej: — Do domu, ale już! — Jaka oburzona! Odeszła próbując kołysać tym i owym. Żałosna imitacja kobiecych wdzięków. Mimo to następnego dnia znowu tam była. Cukierki wyniosła, ciasteczka.

— Może do mnie na kawę zajdziecie?

Wstydu ona nie ma żadnego. Co zrobić z taką? Ogolić łeb? Tych włosów ma jak na lekarstwo, prawie łysa, rude loczki, skóra prześwituje. Po prostu natura ciągnie wilka do lasu. Wobec powyższego oświadczyłem żonie kategorycznie:

— Odtąd nie korzystamy już z jej pralki! Koniec! Szlus!

## W AUTOBUSIE

Był to autobus linii 122. Jechał ulicą Belwederską. Ludzie milczeli. Ostatnio ludzie milczą i nie słyszy się już tych charakterystycznych dowcipów, czy kłótni, tak typowych dotychczas dla miejskiej komunikacji. Nawet nieprzewidziany postój przed skrzyżowaniem nie wywołał żadnych komentarzy. Postój ten spowodowała tasiemcowa kolumna transporterów i ciężarówek wojskowych, która gdzieś podążała. Z tyłu ciężarówek kołysały się okryte plandekami działa. Kolumnę zamykał gazik. Wreszcie przejazd stał się wolny i autobus ruszył znów. Poruszał się ostrożnie oblodzonym asfaltem. Akurat mijał po lewej stronie osiedle zamieszkałe przez radzieckich dyplomatów i doradców. Szereg budynków różnej wysokości otoczonych murem.

— Obwarowały się kacapy! — odezwał się młody, niepozorny mężczyzna w wyłysiałej, futrzanej czapce. — Boją się szturm — głos miał nadspodziewanie donośny i przenikliwy. Zachichotał nieco po wariacku.

Kilku pasażerów spojrzało w wiadomą stronę. Ale milczeli.

— Co pan powiedział? — zawołał jednak ktoś z przodu autobusu. Był gruby, niski. Też w futrzanej czapce, o świecącej, wygolonej twarzy. Przeciskać się zaczął energicznie do tego młodego mężczyzny, który stał przy środkowych drzwiach. Pomagał sobie łokciami.

Młody mężczyzna stropił się wyraźnie i spojrzął odruchowo na drzwi.

Kierowca obserwował całe zdarzenie w lusterku. Nagle przycisnął pedał hamulca. Przyhamował ostro i równie ostro poderwał wóz do biegu. Ludzie potoczyli się ławą do przodu i zagarnęli wraz ze sobą grubego w futrzanej czapce. A choć próbował się bronić, to jednak ta ludzka ława zmiotła go niby lawina i przygwoździła do szklanej szyby, którą kierowca był oddzielony od reszty autobusu. W tym momencie lekki uśmiech pojawił się na zmęczonej, zarośniętej twarzy kierowcy. Zaraz znikł zresztą. Ze skupieniem patrzył przed siebie na niebezpiecznie śliską drogę.

Gruby w futrzanej czapie miotał się bezskutecznie. Chwycił się oburącz oparcia i próbował przepchnąć się dalej. Zdołał

jednak przesunąć się tylko metr, nie więcej. Utknął przy bocznym siedzeniu dla inwalidy. Siedział tam inwalida i sztywną nogą zagradzał mu drogę.

I już przystanek na żądanie. Pęd bezwładnych, ludzkich ciał ostatecznie unieruchomił grubego w futrzanej czapie. Równocześnie kierowca przycisnął właściwy guzik swojej tablicy. Automatycznie drzwi otworzyły się z sykiem. Środkowe najszybciej. Młody, niepozorny mężczyzna, który stał tuż przy nich na stopniach, wyskoczył zwinnie z autobusu.

Gruby w futrzanej czapie przedzierał się do przedniego wyjścia. Ciężko mu to szło. Czerwony, wściekły buldog. Sapał. Kierowca obserwował go z chłodną uwagą. Czekał uprzemie. Tamten wysiadł wreszcie. Rozglądać się zaczął bezradnie. Ani śladu młodego człowieka. Zapisał więc numer odjeżdżającego autobusu.

## 2072 DNI

Uparty drań! Te słowa same cisnęły mi się na usta.

— Nie przeskoczysz — tłumaczę mu cierpliwie — nie dasz rady. Oni zduszą, złamią. Wschodnia polityka tu panuje. Uwierzę staremu. Tyle przeżyłem, mam doświadczenia w tym względzie.

On na to:

— Zmaglowali ciebie, przetrącili ci grzbiet, dlatego tak krzyczysz.

Jakby mi w pysk dał! Rodzony syn tak mówi do ojca!

— Ty gówniarzu! — aż mnie zatkało i krew uderzyła do głowy.

Synowa zorientowała się i napełniła kieliszki. W swoim gronie siedzimy przy stole. Młodszy wnuk już śpi. Starszy jeszcze bawi się na podłodze. Pociąg rozstawia. Sprytna zabawka, zagraniczna. Pociąg rusza. Staje przed semaforem. Rusza znów.

Serce mi się raduje. Udane chłopaki. Te moje wnuki. Toteż z innej beczki zaczynam:

— W porządku, załóżmy, że masz rację. Nie trzeba dać się zastraszyć. Dalej będziecie robić to, co robiliście. Tylko inaczej, konspiracyjnie. Ale czy ty pomyślałeś o swoich dzieciach? Masz przecież obowiązki. Odpowiedzialność poważna na tobie ciąży...

Wtrąciła się synowa. Nie dała mi wątku dokończyć i już miała gotową odpowiedź:

— W razie czego, to ja się wszystkim zajmę. Dam sobie radę, niech się tatuś nie martwi.

Popatrzyłem na nią. Łatwo mówić! Zajmie się! Śmiechu warte. Po tej chorobie ledwo dyszy. Wyszła na wiór, ciągle te

stany podgorączkowe. A skąd pieniądze będzie brała na życie? No, skąd?! Od razu syn pośpieszył z odsieczą:

— W razie czego, to i tata pomoże, no nie?

Bezczelni ci młodzi. Na starych w materialnym względzie nauczyli się liczyć.

Przyjemny nastrój. Zaprosili na niedzielny obiad i tylko nerwy sobie nadaremnie szarpię. Opanowałem się z wysiłkiem i już spokojnie trącam się kielichem z chłopakiem. Jak mężczyzna z mężczyzną.

— Wszystko rozumiem — powiadam. — Tylko nie warto porywać się z motyką na słońce. Należy bezwarunkowo trochę przeczekać...

— E, tam — ręką machnął. — Przedtem tak samo mówiliście. „Nic z tego nie wyjdzie”. „Należy ustąpić”. „Brać, co dają”. „Inaczej zdepczą”. Nie mówiliście tak?! A jednak dziesięć milionów ludzi przystąpiło. To jest siła, to się liczy!

Zakuty łeb. Nic do niego nie dociera. Gdyby tak posłuchał ojca i wyjechał stąd. Pisałem do brata. Brat urządził się zupełnie przyzwoicie. Mieszka już drugi rok w Hamburgu i chętnie ofiarowywał się z pomocą. Prawo pobytu, praca i inne udogodnienia sypią się obecnie na Polaków jak deszcz. Wyśmiał mnie wtedy:

— Opuszczać kraj?! Teraz, kiedy jest szansa?!

Masz szansę, baranie!

Ten jego upór. Kamień. Po mnie to odziedzyczył. Ja po ojcu. Tłukł mnie nieraz ojciec i pytał: — Nie będziesz już? — A ja: — Będę! — Przeklęta krew, genetyka, czy jak to nazwać...

— Przecież nie jestem tchórzem — zmobilizowałem się znów i wywodzę logicznie: — pamiętam, podczas okupacji bibułę u mnie trzymali. Cały skład! W kuchni taka skrzynia na węgiel stała i w niej. A w czasie stalinizmu? Spytaj Kwiatkowskiego! Bezpieka go poszukiwała i miesiąc spędził u nas na strychu. Tak jest! Za to wyrok groził!

— To było dawno i między bajki można włożyć — beczelnie odpowiada ten gówniarz. Uśmiecha się protekcjonalnie. Tak jakby do synowej mrugnął. Bezsilność mnie ogarnęła. I ta wódka wcale nie szła. Śmierdząca taka. Odrzucała. Patrzę na jasne główki wnuków i serce mi się kraje. Ten młodszy jak aniołek. Tak słodko śpi. Co z nimi będzie? Co z nich wyrośnie?

Żeby chociaż synowa była poważna! Tak samo w gorącej wodzie kąpana. Żadnej kobiecej rozważgi. Nic. Dobrali się w stogu siana. Siedzimy przy stole. Oni i ja. Jak na szczura na mnie patrzą. Na starego szczura, co wylał z nory i zaraz schowa

się w niej z powrotem. W tym ustroju nawet życie rodzinne nienormalne. Wszędzie wcisnęła się ta łapa.

— Nigdy nie chowałem się za cudzymi plecami — odzywam się ponownie. — U nas w biurze większość pozostała w branżowym związku, a ja jeden z pierwszych do „Solidarności” przystąpiłem i stary, znaczy dyrektor, ostrzegał: — Panie kolego, na to krzywo patrzą w centrali. — A ja nic. Twardo przy swoim stałem.

— Nie ma czym się chwalić — syn na to. — Liczy się, kto teraz przy swoim będzie obstawał.

— Obstawał? — zdziwiłem się zupełnie szczerze. — Na czym to obstawanie ma polegać?

Nic nie odpowiedział. Tylko wstał od stołu i po kątach zaczął szperać. Odstawił donicę z palmą. Odwinął dywan. Kucnął i z dziury jakiejś, czy innego schowka wyciągnął plik papierów. Wyglądził i zaczął czytać półgłosem. To były biuletyny informacyjne tej nielegalnej „Solidarności”. Opisywali przebieg strajków tu i tam. Akcje represyjne. Jak działacze wygarniali do saka. Apel też ogłosili. Jeden z przywódców nie dał się złapać i działał dalej z ukrycia.

— Nie trzymaj tego w domu! — tym razem podniosłem głos. — Natychmiast to wynieść należy albo zniszczyć! — Rękę wyciągam. A on papiery do siebie zagarnął. Nie dał mi ich ruszyć.

Taki to niedzielny obiad. Nerwy i nerwy. Przyszedłem rozprężyć się i nacieszyć młodym życiem. A tu widzę: po równi pochyłej oni się staczają. Dobrana para.

Postanowiłem dać temu spokój. Wstałem od stołu.

— Obiad był smaczny — podziękowałem synowej. — Te pyzy całkiem jak matka robisz... Tyle że wspólnego języka nam brak!

Pokiwali obojętnie głowami.

— Odprowadzę tatę — mówi chłopak.

Milczeniem zbyłem jego słowa. Ale wyszedł ze mną.

Dalej milczenie panowało między nami. Szkoda słów.

Dopiero na ulicy, kiedy podniosłem głowę i spojrzałem na niego, to zbaraniałem wprost. Do kurtki, taką pikowaną kurtkę nosi, miał przyczepioną całą paradę znaczków. Matka Boska, taka, jaką nosił Wałęsa. „Solidarność”. Coś jeszcze. Coś jeszcze. Parzyły wzrok te znaczki. Jaskrawe, doskonale widoczne. A on wyprężył się i mówi:

— Teraz, kiedy wszyscy chowają dupę w troki, trzeba im rzucić wyzwanie!

Junak! Zagończyk! Rycerz! Z lancą na czołg! Jednak nic nie dałem poznać po sobie. Ziewnąłem nawet sztucznie. Przecież żadną perswazją nie wygram z tym uparciuchem. Wiedzia-

łem tylko jedno: powinien jak najprędzej wrócić do domu. Zobaczą tę wystawę na jego piersi i przyczepią się jak nic. Mogą nawet internować. W mieszkaniu zrobią rewizję. Wolałem nie wyobrażać sobie tego wszystkiego...

W tej chwili zobaczyłem w odległości stu metrów najwyżej taką wachę, czterech. Toteż pozbyłem się gówniarza sposobem:

— O, mam tramwaj! — zawołałem i czym prędzej uściskałem mu dłoń. — Cześć! Na razie!

Dobiegłem do przystanku i dopiero wtedy się obejrzałem. Zawrócił. Chwała Bogu! Już byłem spokojny. Pozbyłem się ciężaru. Wolno, spacerowym krokiem podążyłem przed siebie. Oni szli naprzeciw. Milicjanci. Oczy czujne, każdego nimi obszliszują. I nie wiem, czy to z powodu wódki, która wreszcie podziałała, czy to w wyniku rozprężenia nerwowego, diabeł we mnie wstąpił:

— Cześć, mołojcy! — zawołałem.

Przystanęli. Ja też.

— Co jest z wami? — pyta jeden z nich.

— Nic — odpowiadam. — Tylko tak sobie myślę, że tę wojnę przetrzymamy.

W kółeczko mnie biorą.

— Kto przetrzyma? — pyta taki z bakami i oczy mu się wilczo zaświeciły.

— Naród niejedno przetrzymał — odpowiadam. — Ja osobiście jestem zahartowany. 2072 dni w podobny sposób przeżyłem i nie dałem się jakoś.

— 2072? — zainteresował się ten z bakami.

— Tyle okupacja niemiecka u nas trwała.

— Tak mówicie?! — krzywo się uśmiechnął ten z bakami.

— Takie z was matematyk?! —

No i wzięli mnie na 24. Z czego 10 godzin siedziałem w piwnicy, a resztę czasu spędziłem przy odśnieżaniu ulic. Ale chłopaka uratowałem. Bo jakby ze mną szedł, to jego by wzięli jak nic.

Marek NOWAKOWSKI

## Wielkie nieszczęście

(fragment powieści)

Znowu pogrzeb. Tym razem oficjalny. Pogrzeb z wielką pompą. Od trzech dni na mieście wiszą afisze z czarną obwódką obwieszczające, że od skrytobójczej kuli faszystowskiego podziemia zginął pracownik Urzędu Bezpieczeństwa Józef Kowalik. Zwłoki zamordowanego znaleziono w sadzawce w miejskim parku. Prześwitywały poprzez rozrzedzony kożuch brązowych i czerwonych liści pływających leniwie po wodzie. Wokoło sadzawki, zasłonięte po bokach gęstymi krzewami, stoją ławki, z których o wieczornej i nocnej porze korzystają zakochane pary. Na zwłoki natknął się uczeń drugiej licealnej Michał Rybkowski, gdy w księżycowy wieczór spotkał się tam ze swoją dziewczyną. Doprowadziwszy w pośpiechu do porządku ubrania, oboje udali się na komendę milicji, żeby zameldować o odkryciu. Przewieziono ich do Urzędu Bezpieczeństwa, poddano kilkugodzinnemu przesłuchaniu i, ponieważ już doprawdy nie było żadnego powodu, żeby ich zatrzymać w areszcie, wypuszczono. Następnego dnia Rybkowski rozpowiedział o tym wydarzeniu w gimnazjum. W ten sposób rzecz doszła do uszu profesora Zygmunta Skowrona. Jednocześnie Skowron dowiedział się, że Kowalik był jednym z ubeków, którzy rozpracowywali Wyszkwoskiego w sprawie tej ulotki winowskiej. W toku śledztwa Wyszkwoskiego zmasakrowano i dwa tygodnie temu odbył się jego pogrzeb. Władze nie pozwoliły, aby gimnazjum wzięło w nim oficjalnie udział. Wyszkwoskiego pochowano wieczorem i po cichu, z udziałem tylko członków rodziny oraz grona najbliższych przyjaciół. Bramy cmentarza były obstawione przez milicję.

Ten pogrzeb jest inny, oficjalny, pogrzeb z wielką pompą.



Od rana fabryki, biura, sklepy i szkoły są zamknięte. W mieście ustaje normalne życie. Milczą szczekaczki uliczne. Miasto jest pogrążone w ciszy, jaka normalnie panuje w nim już tylko nocą. Na budynkach państwowych i miejskich powiewają flagi do połowy masztu. Powietrze ścina mróz, sypie drobny śnieg. Z wszystkich stron w kierunku rynku ściągają kolumny ludzi. Na czele każdej kolumny niosą transparenty z takimi napisami jak „Śmiertelna walka faszystowskiemu podziemi!” lub „Precz z reakcją!”. Są też transparenty głoszące nieśmiertelną chwałę nieustraszonego chorążego pokoju Józefa Stalina oraz wyrażające bezdenną wdzięczność narodu polskiego dla wyzwolicielki Polski, bohaterki Armii Czerwonej. Kolumny maszerują w milczeniu. Szurgot nóg odbija się przytłumionym echem wśród wysokich ścian przyrynkowych kamienic. Niebo ma żałobny kolor popiołu. Z dookólnych wsi i osiedli zwozi się uczestników uroczystości unrowskimi ciężarówkami wypożyczonymi z miejscowych fabryk. Ciężarówki parkują na placu przed dworcem, gdzie w okresie Wielkanocy rozkłada się wesołe miasteczko z cyrkami i karuzelami. Pozwożonych ludzi formuje się w oddziały, które, wyposażone w odpowiednie transparenty i szturmówki, ruszają w kierunku rynku. Tam już jest olbrzymi tłum. Ludzie stoją nawet na chodnikach. Na oknach wystawowych pozapuszczano żaluzje. Tłum wypełnia szalenie także ulice rozchodzące się z rynku. Jest to imponujący widok. W jednym z górnych okien ratusza pracują kamerzyści kroniki filmowej. Film z pogrzebu zostanie pokazany w kinach całej Polski. Ruchome ekipy udostępnią go także mieszkańcom wiosek nie posiadających własnego kina. Cała Polska zobaczy, jak obywatele Mieszkowic na Górnym Śląsku żegnają ofiarę tego mordu.

Na podejście kamiennych stopni przed głównym wejściem do ratusza ustawiono katafalk z otwartą trumną. Katafalk przybrano czerwienią. Trumna jest prosta, z sosnowych desek. Po obu stronach stoją wyprostowani na baczność umundurowani funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Paski od czapek mają pozapinane pod brodą. Patrzają z surową determinacją przed siebie. Oddają ostatni hołd towarzyszowi, któremu kula przecięła nić życia. Obok tych ubeków stoją robotnicy w ciemnych ubraniach, z czerwonymi opaskami na ramieniu. Ich postawa zasadnicza pozostawia wiele do życzenia. Ale to są cywile.

Na mównicę wchodzi szef Urzędu Bezpieczeństwa Karol Ostuda. Profesor Zygmunt Skowron pamięta go. On go przesłuchiwał, gdy wybuchła ta sprawa z ulotką. Nazwisko Ostudy sieje postrach wśród mieszkańców miasta i całego powiatu. Ostuda przemawia do mikrofonu, do którego podłączono głośniki uliczne porozwieszane po całym mieście. Zaczyna od stwierdze-

nia faktu: zamordowano Józefa Kowalika, człowieka uczciwego, prostego proletariusza, głębokiego patriotę, który swą ofiarną pracą kładł podwaliny pod gmach Polski Ludowej. W jego spokojnym i zrównoważonym głosie wyczuwa się bolesny smutek i żal po utraconym towarzysz. Nawiązując do sytuacji rodzinnej zamordowanego zapytuje: — Kto utuli żal nieszczęśliwej wdowy i trojga pozbawionych rodzica dzieci? Nikt. Cichy płacz zawsze już będzie kaleczył spowite kirem serce wdowy i tych biednych sierot. — Następnie porusza sprawę odpowiedzialności za popełniony mord. Wskazuje przy tym, że należy rozróżnić między odpowiedzialnością bezpośredniego sprawcy, który nacisnął spust pistoletu oddając śmiertelny strzał, a odpowiedzialnością wiadomych kół, które go do tego pchnęły. Oświadcza: — My tu sobie musimy jasno powiedzieć, że polska klasa robotnicza i sprzymierzone z nią małorolne chłopstwo doskonale zdają sobie sprawę, kto jest odpowiedzialny za to bestialstwo, które my tu gorzkimi łzami dziś oplakujemy. — Przerzywa i w ciszy, która zalega cały rynek, podnosi obie ręce do góry gestem kapłana ze Starego Testamentu i miarowym głosem, poruszając do rytmu wyciągniętymi do góry ramionami stwierdza dobitnie: — Za tym bestialskim mordem stoi faszystowsko-reakcyjne podziemie, za tym bestialskim mordem stoją bandy zdegenerowanych bandytów z NSZ-u, za tym bestialskim mordem stoją resztki obałamuczonego przez Londyn faszystowskiego podziemia akowskiego, zgrupowane wokół obłudnych haseł WIN-u, służące za zbrojne ramię reakcyjnego odłamu PSL-u, które mimo ucieczki tego zgranego do cna polityka Mikołajczyka nie dało jeszcze za wygraną i jak wściekły pies kąsa i kąsa i jak wściekły pies gryzie. I gryzie. — Przerzywa mu klaka młodzieży ze Związku Walki Młodych skupiona wokoło specjalnego mikrofonu ustawionego na chodniku: — Precz z PSL-em! Śmierć faszystom! Precz z PSL-em! Śmierć faszystom! — Klaka, sprawnie dyrygowana, równie nagle się urywa, jak się zaczęła. Przez sekundę, dwie nad tłumem wisi niewiarygodna cisza. Słychać chrzęst śniegu deptanego przez ludzi przestępujących z nogi na nogę na tym mrozie. Mówca podejmuje przerwany wątek i pogłębia go: — My tu sobie musimy jasno powiedzieć, że odpowiedzialność za ten wraży mord spada w ostatecznej instancji na mocodawców reakcyjnego odłamu PSL-u, na mocodawców WIN-u i całego reakcyjno-faszystowskiego podziemia. My tu sobie musimy jasno powiedzieć, że odpowiedzialność za ten wraży mord spada na imperialistów amerykańskich oraz krwiożerczych zachodnio-niemieckich odwetowców, którzy na nowo chcieliby pogrążyć świat w krwawej łaźni, aby tu przywrócić kapitalizm i odebrać nam nasze odwieczne polskie ziemie odzyskane. — Ostuda wnikliwie analizuje następnie

aktualną sytuację międzynarodową podkreślając z naciskiem wzrastające znaczenie ruchów narodowo-wyzwoleńczych i światowych sił pokoju, które pod przewodnictwem wodza postępowej ludzkości, nieustraszonego bojownika o pokój, Józefa Stalina, są zdolne pokrzyżować złowrogie zakusy imperializmu amerykańskiego i sprzymierzonych z nim zachodniemiejskich kół odwetowych. Ostudzie przerywa znowu klaka skandując: — Stalin! Pokój! Stalin! Pokój! — Szef Urzędu Bezpieczeństwa stwierdza dalej: — Polska klasa robotnicza i pozostające z nią w sojuszu małorolne chłopstwo, jak również pracująca inteligencja, nie dopuszczą do tego, by zbrukani krwią patriotów polskich pogrobowcy faszyzmu z AK, bandy leśne wykonujące rozkazy obłudnych przywódców WIN-u oraz reakcyjne elementy PSL-u, które mimo haniebnej ucieczki swego przywódcy, tego zgranego do cna polityka Mikołajczyka, rzucały kłody pod nogi narodowi, który ciężką krwawicą, w mozole i pocie spracowanego czoła kładzie zręby pod świetlany ustrój sprawiedliwości społecznej. — Ostuda ostrzega: — Wrogowie Polski Ludowej niech pamiętają, że na straży zdobyczy polskiej klasy robotniczej, która kierując się nieomylną nauką wielkiego Stalina buduje w Polsce socjalizm, stoi jej zbrojne ramię, aparat bezpieczeństwa, który bez-li-tośnie, z absolutną bez-względ-nością, nie oglądając się na nic! będzie nadal tępił niedobitki reakcji, dopóki wróg nie zostanie doszczętnie starty z powierzchni naszej socjalistycznej polskiej ziemi! — Ostuda odwraca się do katafalku, mówi drżącym, tłumiącym szloch głosem: — Oto padła jeszcze jedna ofiara na naszej drodze. Na pewno nie ostatnia. Ale my ci przysięgamy, drogi towarzyszu, kochany Józku, przysięgamy na twoją śmierć, na twoją krew, którą hojnie przelałeś dla naszej socjalistycznej ojczyzny, że dzieło, któremu poświęciłeś życie, będziemy kontynuować aż do zwycięskiego końca! Karząca ręka rewolucyjnej sprawiedliwości dosięgnie sprawców twojej śmierci! My twoją śmierć pomścimy! — Klaka podejmuje to ostatnie słowo i powtarza je rytmicznie gromkim głosem: — Pom-ści-my! Pom-ści-my! — Ostuda podnosi zaciśniętą groźnie pięść i intonuje Międzynarodówkę. Pieśń przejmuje klaka. Wśród tłumu, tu i ówdzie, nieśmiało, ten czy ów się do niej przyłącza. Profesor Skowron, stojący razem ze swą klasą, widzi jak nauczyciel gimnastyki Koptas, zwany przez uczniów „Kaloszem”, biega wzdłuż szeregów gimnazjalistów i przez zaciśniętą zęby syczy: — Pięść do góry! Śpiewać! Co wy tam, cholery jedne! Śpiewać! — Jest ubrany w ciężkie i długie palto, którego poły płacząc się między nogami krępiją mu ruchy. Upada. Wśród chłopców rozlegają się chichoty. Koptas ma trudności z pozbieraniem się na równe nogi. Buty mu się ślizgają po ubitym twardo śniegu. Futrzana czapka

spada na ziemię. Dźwiga się pomagając sobie obu rękami. Grozi kułakiem: — Ja wam się dam śmiać! Pięść do góry, cholery jasne! I śpiewać! — Obraca się w stronę ratusza z wyciągniętym na całą długość ramieniem zwieńczonym zaciśniętą pięścią.

Po odśpiewaniu Międzynarodówki na trumnę zakładają wieko i zaśrubowują. Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa biorą ją na ramiona. Rozpoczyna się powolny pochód na cmentarz. Trumna płynie majestatycznie nad głowami, wokoło niej furkoczą czerwone sztandary. Kondukt rozciąga się długim węzłem na szosie starotarnowickiej. U czoła kroczy orkiestra dęta straży pożarnej grając „W mogile ciemnej śpij na wieki”. W połowie drogi zrywa się śnieżycą. Uczniowie gimnazjum a także uczennice gimnazjum żeńskiego korzystają z tego i mimo, że z boku idą nauczyciele, urywają się i przepadają w przyległym do szosy parku. Koptas dwoi się i troi, z notesem w ręku biega tam i z powrotem wrzeszcząc i grożąc uciekającym pięścią. W tej zawiei jednak trudno po samych sylwetkach poznać tożsamość przyskakujących. Podbiega do Skowrona: — Tego nie można tolerować! To jest wroga działalność! Jak będziemy na miejscu, niech pan ustawi swoich wychowanków w jednej grupie i sprawdzi obecność. — Skowron powiada: — Panie kolego! — Nad grobem są dalsze przemówienia. Nikt ich nie słyszy w tej śnieżnej zamieci, wiatr przygniata słowa do ziemi lub wyrzuca w górę, wysoko ponad głowy zziębniętych uczestników uroczystości. Jeszcze raz śpiewają Międzynarodówkę. Ale to już śpiewa chyba sama klaka. Pogrzeb się kończy, ludzie rozchodzą. Teraz należy oczekiwać aresztowań.

Skowrona wywołują z lekcji. Woźny stoi obok katedry. Przekazał polecenie dyrektora Kaczorskiego, teraz czeka, by profesor się podniósł z krzesła i opuścił z nim klasę. Takie przerywanie lekcji zdarza się często od czasu, gdy awansowano go na stanowisko wicedyrektora. To mu się nie podoba. Ale widocznie sprawa jest naprawdę pilna. Woźny się niecierpliwi: — Panie profesorze! — Tak, tak, słyszałem, już idę. — W klasie panuje zastanawiająca cisza. Uczniowie siedzą z oczami wbitymi w niego. Ich twarze są poważne, skupione. Oni o czymś wiedzą, myśli Skowron, o czym ja nie wiem, o czym ja jeszcze nie wiem. Jakaś tajemnica wisi w powietrzu, coś bardzo niepokojącego. To się wyczuwa nie tylko w jego klasie. W całym gimnazjum wrze. Również na mieście wrze. Oczywiście to wszystko się wiąże ze sprawą zabójstwa Kowalika. W zakładach pracy spędza się pracowników na wiece protestacyjne, reżyseruje spontaniczne uchwalanie rezolucji potępiających morderców i domagających się, by władze bezpieczeństwa wzmogły akcje represyjne prze-

ciwko wrogom Polski Ludowej. Kiedy wczoraj wracali po lekcjach do domu, Konopka, jego przyjaciel historyk, powiedział: — Siedzimy na beczce prochu. Mam na myśli nasze gimnazjum. — Wiem, co chcesz przez to powiedzieć. Ja też jestem cały pełen najgorszych obaw. — Minęły już prawie dwa tygodnie od pogrzebu Kowalika i nie było jeszcze żadnych aresztowań. Może władze się przyczyły, żeby do sprawy zagarnąć jak największą liczbę osób: zarzuciły szeroko sieć, teraz ją powoli zamykają; nie wiadomo. Skowron zwraca się do klasy: — Przepraszam was, chłopcy, ale muszę na chwilę wyjść. Nie hałasujcie za dużo.

Przy schodach prowadzących do piwnic czekają już dyrektor i Koptas, ten gimnastyk. Skowron patrzy pytająco na dyrektora. Kaczorski ma lekko kpiący wyraz twarzy; potrząsa głową, wydyma wargi i lekko wzrusza ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że on sam nie ma pojęcia o co chodzi. Koptas to dostrzega, powiada: — Chwileczkę, chwileczkę, zaraz panowie zobaczycie. — Wszyscy czterej schodzą na dół. Mijają kotłownię, jakieś inne pomieszczenia gospodarskie, niektóre z drzwiami obitymi blachą, łaźnię z prysznicami, i wchodzą do przedsiionka sali gimnastycznej. Zatrzymują się, Koptas powiada: — Proszę! — Obwieszcza to triumfalnie, jakby grając w oczko wyciągnął dwadzieścia jeden, na przykład asa z dziesiątką. Na ścianie tuż obok szafek na ubrania widnieje wypisany kredą dużymi literami napis: HAŃBA OPRAWCOM UB i trzy wykrzykniki, wszystko podkreślone dwa razy grubą linią. — I co panowie na to? — Dyrektor powiada: — Należy zmyć. — Zwraca się do woźnego: — Panie Kocot, niech pan to zmyje. — Koptas powiada: — W każdym razie panowie są świadkami. — Kaczorski i Skowron milczą. Woźny przynosi wiadro z wodą i ścierką. Napis znika. Dyrektor powiada: — No i już nie ma. Dziękuję panu, panie Kocot. — W każdym razie panowie widzieli, panowie zobaczyli na własne oczy. Pan Kocot też jest świadkiem. Niech pan pamięta, panie Kocot, jak przyjdzie co do czego, pan też jest świadkiem. — Panie, ja nie umiem czytać. — Kocot łapie za uchwyt wiadra: — Czy pan dyrektor mnie jeszcze potrzebuje? — Może pan odejść. — Woźny oddala się w głąb piwnicznego korytarza skrzypiąc wiadrem. Kaczorski powiada: — No więc dobrze, był napis, już napisu nie ma. Nie mógł pan sam tego zmyć? Trzeba było koniecznie mnie wyciągnąć z kancelarii, pana doktora Skowrona odrywać od lekcji i na dodatek wciągać do całej awantury woźnego? Po co? Po co pan takie rzeczy robi, panie Koptas? Dziwię się panu. Pan, panie kolego, chce na siłę stworzyć jakąś sytuację. Nie rozumiem, dlaczego panu tak na tym zależy, jaki pan ma w tym interes? — Koptasowi, jeszcze słowa nie powiedział a już mu drżą wargi; podnosi rękę; ta ręka też mu drży;

powiada: — Nie! nie! pan się myli, panie dyrektorze! Ja nie chcę stwarzać żadnej sytuacji, jakież mógłbym w tym mieć interes? Pan kieruje przeciwko mnie niesłuszne oskarżenia. — Powtarza: — Ja nie stwarzam sytuacji, ja tylko zwracam uwagę na sytuację, jaka już istnieje. Ja dbam o interes ogólny. Tak jest, ogólny. W tym zakładzie panuje niezdrowa atmosfera i ją trzeba uzdrowić. To gimnazjum staje się siedliskiem reakcji. Młodzież sobie otwarcie kpi z władzy ludowej. Tu działają, i ja o tym wiem! ja mam wiadomości! ja mam źródła!, tu działają kółka antypaństwowe, tu się prowadzi dywersję! Panowie mogą sobie z tego podkpiwać, ale to jest fakt. W mieście się już o nas mówi, tak jest, panie dyrektorze! I nie mam na myśli wyłącznie sprawy Kowalika. Mówi się o nas nieładne rzeczy, niemiłe rzeczy, odpowiednie czynniki już na nas patrzą. I to się może dla nas wszystkich bardzo, bardzo źle skończyć, jeśli my się sami w porę nie przeciwstawimy temu, co tu się dzieje. — Skowron przygląda się Koptasowi lekko tylko maskując pogardę. Dyrektor Kaczorski powiada spokojnie: — Dobrze, już pan skończył? Teraz ja panu coś powiem i niech mnie pan uważnie słucha. Pan sam umieścił ten napis na ścianie. Są na to świadkowie. Mam to na piśmie. Jak pan będzie urządził następną prowokację, niech zesz się pan przynajmniej upewni na sto procent, że nikogo nie ma w pobliżu. Chodźmy, panie doktorze.

Jest czwartek. Przed południem na rynku był targ. Teraz cały plac jest już posprzątnany, ale w powietrzu wisi jeszcze, uwięziona wśród wysokich ścian kamienic, cierpko-słodkawa mieszanina zapachu warzyw, owoców, końskiego moczu. Powietrze jest zimne, z ust przechodniów ulatują kłębuszki pary. Prosi drobny śnieg. Skowron wyciera buty na metalowej wycieraczce. Obracając się jeszcze raz do tyłu obejmuje wzrokiem cały rynek: szczytową ścianę dawnego kościoła ewangelickiego, dawną restaurację „Pod lipami”, ewangelicki dom parafialny, sklep artykułów metalowych Schaeferata, te trzy wysokie kasztany na środku rynku, pod nimi kiosk z gazetami, wszystko w ukośnie padającym śniegu; powiada: — Mnie się to miasto jednak podoba. — Rozpina palto, otrząsa je ze śniegu: — Niech sobie mówią, co chcą, małe miasteczko, zacofana prowincja, dziura deskami zabita, mnie się to miasto podoba. — Konopka powiada: — Zimno. Chodźmy do środka. — Siadają w głębi, tam luźniej, wolą nie mieć zbyt bliskich sąsiadów; teraz nikt wchodząc do kawiarni nie chce, by przy sąsiednim stoliku kto siedział; takie czasy.

Podchodzi właściciel, pan Brankowski. Powiada, że zimno na dworze, pyta o zdrowie szanownych małżonek, cieszy się, że noga pani Isi, żony pana profesora Konopki, już wydobrzała.

Powiada, że od pierwszego stycznia zabierają mu kawiarnię, już dostał pismo z Rady Narodowej. Niszczą prywatną inicjatywę. Przed wojną w tym mieście było piętnaście piekarni, zostało osiem. A rzeźników ilu było! I tak jest ze wszystkim. Nie rozumie tego. Powiększać sieć handlową, tak! Ale ją zmniejszać? Oni, powiada, po prostu nie chcą, żeby ludziom było dobrze. Gdzie tu zdrowy rozsądek? Wczoraj przed piekarnią obok jego domu był ogonek po chleb. To już jest koniec świata! W tym kraju, żeby ludzie musieli stać po chleb! A w Manifestie Lipcowym uroczyście obiecywali, że dadzą żyć. No tak, ale co są warte ich obietnice? On sam myślał o tym, żeby ten Manifest Lipcowy oprawić w ramki i powiesić tu na ścianie, ale się rozmyślił: uznaliby to za prowokację. Smutne to wszystko i nikt nie wie, jak to się skończy. Ale nie będzie im zawracał głowy swoimi kłopotami, bo każdy ma własnych aż w bród. Zresztą może to się jeszcze odmieni. Panowie myślą, że nie? Jemu też się wydaje, że na żadną odmianę nie ma już co liczyć. Wszyscy o nas zapomnieli. Jak nas było potrzeba, to wiedzieli, gdzie nas szukać, nie było tak? Kto wziął Monte Cassino? Kto zamknął w worku pod Falaise sześćdziesiąt kilka niemieckich dywizji? A Saragossę też przecież Polacy wzięli. On wie, że to za Napoleona, ale chodzi o regułę, wszyscy nas zawsze kiwają, obiecują i obiecują, a jak przyjdzie się wypłacić z długu, to figa z makiem. No nic, jakoś to będzie, przeżyliśmy Niemców, przeżyjemy i to, jeśli życia starczy. Na tym kończy. Poleca bardzo dobry sernik i tort jabłkowy. Żona upiekła, wprost nadzwyczajnie się udały. Po porcji zatem? Zaraz przyniesie.

Te ciastka są rzeczywiście wyśmienite. Konopce aż oczy się skrzą z podniecenia. On w ogóle lubi słodczyce, do kawy wysypał pięć łyżeczek cukru. Twarz oblewa mu żółty blask padający z lampy kinkietowej na ścianie. Wkładając łyżeczkę z ciastkiem do ust zamyka oczy i otwiera je dopiero, gdy czerpie nową porcję. — Skończyłem — wyciera usta serwetką, znowu zamyka oczy i z rękami splecionymi na brzuchu zdaje się wsłuchiwać w radosną pracę żołądka. Powiada otwierając, ale jakby niechętnie, oczy: — Trudno, ja po prostu przepadam za słodkim. W Oświęcimiu to było straszne, całymi miesiącami ani kawałka cukru. Do dziś nie wiem, jak tam przeżyłem. Ludzie ginęli tysiącami a mnie w głowie nic, tylko cukier, jak zdobyć kostkę cukru... Muszę ci coś powiedzieć. Wystąpiłem z PPS-u. Jak długo można hołdować fikcji? To już nie ta sama partia, co dawniej. Połowa ludzi w komitecie miejskim to albo przekabaceni już przez komunistów, albo zwyczajne wtyczki. Całe bractwo śpiewa na jedną nutę: jedność. Nie mogłem już tego słuchać. Obmierzło mi. Przecież wiadomo o co chodzi. Jeszcze rok, dwa i koniec z nami,

zupełnie nas wchłoną. Nawet z nazwy nic nie zostanie. Panowie, powiedziałem sobie, beze mnie. Ja w sprzedaży PPS-u komunistom nie zamierzam brać udziału. *Obne mich, meine Herren!* Oddałem legitymację. Skończył się sen o socjalizmie w Polsce. — Powiada z nagłą wściekłością w głosie: — Ta szuja! — Cyrankiewicz? — No! On nas sprzeda, zobaczysz, prawdopodobnie już wszystko z nimi zaklepał. Pomyśl, taka partia, takie tradycje! Czy to nie tragiczne? I jaki nas marny czeka koniec. Przykro. Aż można płakać. Całe życie byłem w partii, połowę Górnego Śląska zjeździłem w partyjnej robocie. Odczyty, akcje wyborcze, pomoc w czasie strajków, opieka nad więźniami, cokolwiek wymienisz, ja w tym siedziałem. Niemcy, jak tu weszli w 39 roku, to już mnie mieli na swojej liście. — Czoło przecinają mu dwie pionowe fałdy, mruży oczy, patrzy ponuro przed siebie: — Ten Judasz! — Powiada: — Będzie jak w Rosji, państwowy kapitalizm czyli niewolnictwo. Naród się weźmie za mordę: pracować! Żadnego tam prawa do strajku, nie będzie opozycji, praszę się podda cenzurze, zresztą już jest. Będziemy mieli czerwony faszyzm. — Skowron powiada. — Maliszewski! — Gdzie? — Właśnie wszedł i stoi przy drzwiach. Niedobrze. Już nas zobaczył. Wojtku, bardzo cię proszę, nie mów przy nim o tych rzeczach. Facet mi śmierdzi. Widziałem go kilka razy z Koptasem. Lepiej być ostrożnym, to nigdy nie zawadzi. — Też go widziałem. Ja wiem, co o tym człowieku myśleć. Menda, parszywa menda.

Maliszewski kroczy środkiem salki w rozpiętym płaszczu, z kapeluszem w prawej ręce, wolną rękę trzyma zanurzoną w kieszeni marynarki. Idzie wprost ku nim, ale tak jakby ich wcale nie widział, jakby przy tym stoliku nikt nie siedział. Przystaje o krok i dopiero wtedy na nich spogląda, ale też tak, jakby myślami był gdzie indziej, bez cienia uśmiechu, jakby się przysiadł do zupełnie obcych ludzi. Ma twarz lekko spierzchniętą, pod oczami czarne torby. Chyba już jest po jednej wódce. Zdejmuje płaszcz, odwiesza, siada: — Panowie, jestem wstrząśnięty. — Przykłada głowę do twarzy, palcami przyciska mocno powieki. Pochyla głowę, przez rzadkie włosy prześwieca łysina. Tak milczy przez chwilę. Unosi wreszcie głowę, powiada: — Cały jestem roztrzęsiony. Rozlatuję się. — Przychodzi pan Brankowski: — Panu profesorowi...? — Jak zwykle, pięćdziesiąt gramów i jakąś zagryzkę, może być dzwonko śledzia, cokolwiek, i małą czarną. — To mu przynoszą. Z nagłym odchyleniem do tyłu głowy wlewa sobie wódkę do gardła i natychmiast odstawia kieliszek; wszystko jednym ciągłym i płynnym ruchem; powiada: — Tyszkę aresztowali.

Wzrok Skowrona spoczywa na wiszącym obok płaszczu

Maliszewskiego. Nie do końca strząśnięty na zewnątrz śnieg stajał, sturlał się kropla po kropli na podłogę tworząc kilka małych kałuż wody. Ale to nie jest ważne, mógł patrzeć na co innego, mógł w ogóle na nic nie patrzeć, mógł mieć akurat przymknięte oczy; chodzi o reakcję: Skowron spina się w sobie, odzywa się znajome ssanie w żołądku. To już tak jest, że gdy ktoś powie, aresztowali tego lub owego, ale to musi być ktoś znajomy, ktoś z kim go wiąże jakieś stosunki, to jemu żołądek spada do nóg; czasami to się przeradza w paniczny strach; bezpodstawny, wie o tym, przecież żadnej zbrodni nie popełnił; strach, że jeśli tego człowieka, o którym mu właśnie powiedziano, aresztowali, to teraz nieuchronnie jego też czeka aresztowanie; zaraz, za godzinę, za dwie, jutro, pojutrze; i on to aresztowanie, tę chwilę w której go zabierają, z góry w swojej wyobraźni przeżywa; to aresztowanie nigdy nie następuje na ulicy, chociaż w związku z tą winowską ulotką wzięli go na bezpieczeństwo z ulicy, gdy po zajęciach w gimnazjum wracał do domu; nie, na ulicy on się czuje bezpieczny, to jest nieracjonalne, ale to jest fakt; to aresztowanie, które wówczas przychodzi w wyobraźni, odbywa się nie w miejscu, w którym się akurat znajduje, lecz w miejscu, do którego akurat zdąży; gdy jest w szkole, myśli, że to nastąpi, gdy wróci do domu; Jadwiga mu otworzy drzwi, powie: — „Ci panowie czekają na ciebie”; zawsze panowie, dwaj, nigdy jeden; jeśli w drodze do szkoły przypomni sobie, że kogoś, bliższego lub dalszego znajomego, aresztowali wczoraj, dwa dni temu, trzy dni temu, w każdym razie to jest zawsze kwestia dni (bo jeśli od tego czasu upłynął już tydzień, jest spokojny; w związku z tym aresztowaniem jemu już nic się nie może stać; też nieracjonalne, ale fakt), wówczas wie: teraz przyjdą po mnie, czekają na mnie w gabinecie dyrektora; zwalnia wtedy kroku, odwlec to! odwlec jak najdłużej!, ale nigdy nie zawrócić, uciec, nie! bo on tam musi iść, to jest siła, która go przyciąga jak magnes opiłki żelaza, on musi się sam przekonać, czy rzeczywiście po niego przyszli, bo on musi ten stan najwyższego napięcia, to pogniecenie w środku, jakby do żołądka wspaniał funt pieprzu, tak czy owak zakończyć; wchodzi wówczas do budynku powoli, ze struchlałym sercem, patrzy po twarzach mijanych osób: czy oni już coś wiedzą?, najchętniej to by stanął gdziekolwiek się znajduje, w hallu, na schodach, gdziekolwiek, i czekał z kosmiczną rezygnacją: tu stoję, niech tu przyjdą, niech mnie stąd wezmą; albo inaczej: biegnie szybko, jakby nie zbliżał się lecz uciekał od nieszczęścia, żeby jak najprędzej znaleźć się w miejscu, gdzie ma się spełnić ten los, w jego wicedyrektorskiej klitce, która ma bezpośrednie drzwi do kancelarii dyrektora; ale wchodzi do niej, do tej klitki powoli, wślizguje się do niej

po cichu, żeby tamci nie usłyszeli, ci, którzy po niego przyszli, zdejmują palto, siada i czeka z zapartym oddechem; gdyby mógł, to by w ogóle przestał oddychać; czeka na moment, gdy się otworzą drzwi i dyrektor Kaczorski powie: „Ci panowie czekają na pana doktora”; zawsze panowie, dwaj, nigdy jeden.

Maliszewski powiada: — Byłem właśnie u Rydzkowskiego. Tyszkowie mieszkają w tej samej kamienicy. Widział, jak go wyprowadzali z domu. — Skowron pyta: — Kiedy to się stało? — Dziś rano. — O której godzinie? — Nie wiem, nie pytałem, ale jeśli Rydzkowski był świadkiem, to musiało to być przed dziewiątą, bo o dziewiątej on otwiera księgarnię. — Kajdanki? Założyli mu kajdanki? — Maliszewski spogląda na niego jakoś dziwnie: — Dlaczego pan o to pyta?

Skowron nie wie. Idiotyczne o takie rzeczy pytać. Przypomina mu się ten człowiek, którego prowadzono wtedy pod karabinem do więzienia; miał ręce skute kajdankami; z przodu; to był z wyglądu robotnik albo chłop. Tyszka jest inteligentem, ma tytuł doktorski, uczył w gimnazjum; zwolniono go na polecenie z góry z powodu akowskiej przeszłości. Może Skowron jest zdania, że inteligenta nie powinni prowadzić do więzienia w kajdankach, przecież nie ucieknie; no nie, to jest bzdura... Skowron nie wie, po prostu nie wie, zabijcie go, on nie wie, dlaczego o to zapytał; zwyczajnie mu się wymknęło; w pamięci ożył, bez jego jeszcze świadomości, obraz tego człowieka w kajdankach i wtedy to mu się wymknęło; na krótką chwilę zaniedbał czujności: to są rezultaty. Maliszewski nie spuszcza z niego wzroku, swymi wypukłymi i wilgotnymi oczami trzyma go na uwłazi. Skowron czuje znajome ssanie w żołądku. Zerka szybko na Konopkę. Ten też mu się przygląda, najwidoczniej też uważa, że palnął głupstwo, ale o niego jest spokojny, to jest przyjaciel. Natomiast sposób, w jaki Maliszewski oczami obmacuje mu twarz... Niedobrze, bardzo niedobrze. I on ma rację, Maliszewski: bo co to jego obchodzi, o której godzinie władze bezpieczeństwa aresztowały Iksa lub Igreka? co to jego obchodzi, czy ręce spętał kajdankami? Więc dlaczego pyta? Jaki ma w tym interes? Przecież władze bezpieczeństwa na pewno by chętnie wiedziały, że ktoś, on, Skowron (legionista, brał udział w wojnie bolszewickiej, rozmawiał z samym Marszałkiem, który mu nawet uściśnął dłoń! a jego syn przecież w Anglii!), zbiera informacje o metodach ich pracy; czyż obce wywiady nie zbierają takich informacji? wiadomo, za takie rzeczy płacą ciężkie dolary; a on ma w domu jednego dolara! Skowronowi huczy w głowie. Obraca twarz w kierunku drzwi. Powiada sobie: spokojnie, tylko spokojnie. Wie, że to przejdzie, ten szturm rozhysterizowanych myśli, samo przejdzie, potem się będzie śmiał, dziwił, że do tego

dopuszczył, nie będzie pojmował, jak to się stało. Patrzy w kierunku drzwi: ludzie siedzą przy stolikach, na ścianach wiszą lampy prosząc żółtawym światłem, ten chodnik przez środek lokalu jest mokry od naniesionego śniegu, wycieraczka przed drzwiami zapewne już mokra jak gąbka. Myśli: w domu czekają zeszyty z klasówką, trzeba przejrzeć, postawić stopnie. Myśli: trzeba odpisać na list Bejdy. Przypomina sobie, jak razem wracali z oflagu w Murnau, piechotą przez całe Niemcy... Nie, tego wątku lepiej nie ciągnąć, niebezpieczny: do Wrocławia dojechali lipną sowiecką ciężarówką, którą ludzie z podziemia przebrani w mundury NKWD przetrzucali broń z ziem zachodnich w Bieszczady; gdyby był wiedział, co się w niej znajduje, nigdy by nie był do niej wszedł; jeszcze teraz, gdy się nad tym zastanawia, oblewa go zimny pot; to się mogło skończyć tragicznie: z oflagu wprost do więzienia i przed pluton egzekucyjny; upiekło się, Bogu dziękować. No dobrze, więc już się uspokoił. Swoją drogą, jeszcze raz wraca do tej ciężarówki, chłopcom nie zbywało brawury, zuchwalstwa. No tak, młodzi. Skowron oddycha już swobodnie. Jego wzburzone myśli uspokoiły się jak woda polana oliwą. Maliszewski mu zadał pytanie, musi na nie odpowiedzieć. Odwraca głowę, powiada: — Tak sobie, z ciekawości. — I widzi, że Maliszewski nie rozumie, o co mu chodzi. Szybko, jakby chciał doścignąć te wypowiedziane już słowa, prześcignąć je, wymazać z powietrza, powiada: — Nieważne, ja tak sobie... Akurat sobie coś przypomniałem. Przepraszam, że przerwałem. — Czuje się upodlony. Do tego prowadzi rozpasana wyobraźnia. Czuje się zdruzgotany. Absurdalnie przypomina sobie, jak go bili na bezpiece, jak leżał na podłodze z ustami pełnymi kleistej krwi. Ten obraz szybko mija. Myśli: jestem idiota, zupełnie już straciłem głowę, tak się dać oblecieć strachowi, że ten człowiek poleci z donosem na mnie: „Skowron zbiera informacje o pracy aparatu bezpieczeństwa!”. Jest wyżęty z sił, myśli: ile mnie to kosztowało energii, ile ja kalorii spaliłem... Z powodu jednego głupiego pytania: „Dlaczego pan o to pyta?”. A trzeba było po prostu powiedzieć, bo widział tego robotnika, jak go prowadzili przez rynek, wtedy w tym pytaniu nikt nie mógłby się dopatrzeć nic podejrzanego. Trudno, już minęło i nic się nie stało. Bierze w piersi głęboki haust powietrza. Chce mu się śmiać. Inna rzecz, że tego dolara trzeba będzie zniszczyć, dawno już powinien był to zrobić. Wraca do rozmowy.

Konopka powiada: — Pan przesadza, pan nie miał nic wspólnego z Tyszką, czego więc tu się bać? — Czy do strachu musi być konieczny powód? Po prostu się boją. Panowie się nie boją? — Zwraca się bezpośrednio do Skowrona: — Pan się nie boi? — Skowron nie może się powstrzymać od uśmiechu.

U niego krzywa ciśnienia właśnie spadła do normalnego poziomu, u Maliszewskiego widocznie dopiero się pnie do góry. Powiada: — Panie kolego! — Będą aresztowania, zobaczycie. A jak wybuchła ta afera z ulotką, to z mojej klasy wzięli dwóch uczniów. Wszyscy wiemy, jak to się tragicznie skończyło. — Z mojej wzięli pięciu — powiada Skowron. — No właśnie. I pan się nie boi? — Owszem, czasami bardzo, ale to zwykle nie trwa długo, nie pozwalam na to. — I to się panu udaje? — Przeważnie. — Maliszewski milczy. Trzyma twarz w dłoniach, oczy mu się świecą; powiada: — Podziwiam pana. Ja się boję. Nie wstydę się do tego przed panami przyznać. Nie zostałem stworzony na bohatera. Nie wytrzymuję fizycznego bólu. Tyle się słyszy o tym, co oni tam z ludźmi wyrabiają. Mnie nawiedzają straszne sny, uciekam gdzieś, ciemność taka jakaś się kłębi koło mnie, ziemia się rozstępuje pod nogami, krzyczę przez sen, budzę żonę. Umrę na raka, jestem tego pewien. A mogłem teraz być w Anglii. W 39 roku byłem już nad samą granicą rumuńską, koledzy przechodzili przez most i rzucali broń, odwozili ich do obozów internowania, stamtąd wiali do Francji, a ja, proszę panów, czy może być coś bardziej idiotycznego? w ostatniej dośłownie chwili: nie! nie opuszczam Polski, wracam do domu! Bohater! Nigdy tego nie przestałem żałować. Wtedy jeszcze byłem samotny, nic mnie tu nie trzymało... Byłbym teraz w Anglii albo w Ameryce. Najchętniej w Ameryce. — Chyba żeby pan był został we Francji lub w Belgii, półtora metra pod ziemią — powiada Konopka. — O tej ewentualności wolę nie myśleć. Zawsze zakładałam, że przeżyłbym tę wojnę. Pan ma syna w Anglii, prawda? — Tak — powiada Skowron. — O! mądry człowiek, wiedział jak się urządzać. Ja, gdyby nie to, że jestem żonaty, to bym jeszcze i teraz pryskał z tego kraju. To nie jest kraj do życia. — Przywołuje Brankowskiego: — Panowie się napiją czegoś ze mną? Nie? W takim razie dla mnie jeszcze 50 gramów. — Brankowski przynosi mu kieliszek. Nie czekając, aż go postawi przed nim na stoliku, Maliszewski zabiera go z tacy i wypija. — Jeszcze jeden poproszę. Wiecie, panowie, ostatnio przyczepił się do mnie Koptas i dziurę w brzuchu mi wierci. Chce mnie koniecznie skaperować do PPR-u. Panowie go nie lubią, ja wiem. Prawdę mówiąc dla mnie też to nie jest sympatyczny człowiek. Właściwie nikt go nie lubi, ale, proszę panów, to będzie kiedyś ważna figura, z nim się trzeba będzie liczyć. Niestety. Takie jest życie. Intelktualnie to jest oczywiście zero, a jako charakter też glista, ale... — urywa, wzrok ma już trochę zmącony, alkohol zaczyna go rozbiierać. Skowron myśli: przed tym człowiekiem trzeba się strzec. Koptas może być zerem i glistą, ale... Myśli: to słówko „ale”. Oczywiście

sfalszowali wybory, więzienia są pełne, kilkadziesiąt tysięcy akowców wywieźli do Rosji, tysiącami skazują niewinnych ludzi na śmierć, ale... ale przecież budują przemysł, ale przeprowadzili reformę rolną, ale zagospodarowują ziemię odzyskane, ale stawiają szkoły, drukują olbrzymie nakłady klasyków... Oczywiście sterroryzowali ten naród, ale... To słówko „ale”. Od niego się zaczyna. To są drzwi, tylko je pchnąć, po drugiej stronie czeka ciepła i przytulna otchłań zdrady.

Ktoś wychodząc z kawiarni zostawił drzwi nie domknięte i teraz przez lokal rwie strumień zimnego powietrza. Jakiś mężczyzna nie opodal wejścia wstaje od stolika i je zamyka. Mężczyzna w brunatnej samodziałowej marynarce, przysadzisty, twarz szeroka, włosy z przedziałkiem pośrodku zczesane na boki, lśniące, jakby grubo wypomadowane; coś w jego postaci wydaje się Skowronowi znajome. Myśli: ja tego człowieka już gdzieś widziałem. Gdzie ja tego człowieka już widziałem? Tamten siada, zasłaniają go inni. Maliszewski powiada: — Koptas twierdzi, że u nas sytuacja się zbliża do krytycznego momentu. Niedługo wszyscy się będą musieli opowiedzieć, po której stronie barykady stoją. Lepiej, powiada, zrobić to wcześniej, niż czekać aż nas do tego zmusi historia. — Konopka, jakby wybrzydając, powiada: — Historia! — Skowron dodaje w myślach: której ucieleśnieniem jest bezpieka dyrygowana przez Rosjan. Maliszewski podnosi do góry obie ręce: — Proszę panów, ja też nie jestem politycznym analfabetą, ja też wiem, co to znaczy, jak się mówi historia, ja tylko relacjonuję to, co mówi Koptas. On powiada, i tu ma rację, czy to nam się podoba czy nie, powiada, że tego, co się stało, nic już nie odwróci, Europę podzielili, nasza część przypadła Rosji, to jest fakt i nie ma sensu przeciwko temu wierzyć. — Zwraca się wprost do Konopki: — Pan chce wierzyć? — Do Skowrona: — Pan? A no właśnie! — Łapie za rękaw przechodzącego obok pana Brankowskiego: — Jeszcze jedną wódkę poproszę, tym razem setkę, po co ma pan chodzić dwa razy. — Puszczając rękaw, odwraca się znowu: — Nie rozumiecie mnie źle, panowie, ja tego, co się dzieje, nie aprobuję, ale, zgódźmy się, proszę panów, trzeba być realistą. — Przystaje na chwilę, wydyma wargi z pogardą: — Proszę panów, to są szatany przebrane za aniołów, to jest oszustwo, jakiego nie zna jeszcze nasza historia. Zresztą, proszę panów, nie warto o tym mówić, jesteśmy między sobą, rozumiemy się. — Brankowski stawia na stoliku szklankę z wódką. Maliszewski bierze ją do ręki, przygląda jej się bacznie przez zmrużone oczy: — Marzyć można było przed wojną. Marzyć można, gdzie człowiekowi pozostawia się pewien margines. U nas? Proszę panów, nad naszą wielką równiną zawisnął czarny cień,

nadciąga nowa epoka lodowcowa. Trzeba być realistą. Oni mają siłę, oni wygrają. Tak zawsze było w historii. A my musimy dbać o to, żeby nie zginąć, żeby nas oni nie zniszczyli. To jest problem. — Wypija połowę zawartości szklanki: — Ależ to ohyda, ta wódka! — Powiada: — Tak. Nie wiem. Zastanawiam się. Myślę na głos. Po prostu nie wiem. Nam nie wolno zginąć. — Podnosi twarz, już jest mocno pijany, wkrótce będzie płakać: — Jestem w bolesnej rozterce, walczę z tym szatanem... — urywa, zwiesza głowę. Skowron myśli: żadna tam walka z szatanem, on już z tym diabłem spółkuje, na razie jeszcze ukradkowo, w kącie pod schodami, bo jeszcze się w nim zachowało trochę wstydu, ale niedługo będzie ten nierząd uprawiał na widoku publicznym, w świetle jasnego dnia, i chciałby, żebyśmy mu na to udzielili naszego błogosławieństwa. Powiada: — No proszę panów, na mnie czas się stąd wynosić. Wojtek? Pan zostaje? — Jeszcze posiedzę chwilę.

Płacą, wychodzą. Idą w milczeniu. Przy końcu rynku, koło podsielni, gdzie Skowron musi skrócić na lewo, Konopka na prawo, zatrzymują się na chwilę. Nad dachami na tle granatowego nieba wzbija się w górę wieża kościoła parafialnego. W oknach wystawowych na choinkach płoną kolorowe świece. Ukosem sypie gęsty suchy śnieg. Opodal przy wejściu do sklepu stoi dziecko z sankami postawionymi na sztorc. Ludzie pomykają jak duchy. Konopka powiada: — Gnida. Wstąpi do nich? — Jasne, że tak. Z płaczem, ale wstąpi. Z czasem i płakać przestanie i nabierze mocnego przekonania, że zrobił dobrze. Idę. Ucałuj ode mnie Isię. Dobranoc.

Kaczorskiemu drży ręka. Arkusz papieru, który w niej trzyma, poprzednio zwinięty na czworo, teraz rozprostowany, ale jeszcze z wyraźnymi śladami zagięć, również drży i szeleści, jakby parł na niego podmuch porywistego wiatru. Wolną rękę podnosi do czoła, palcami ściera skórę, mocno wpija się w nią paznokciami: można by pomyśleć, że chce ulżyć bólowi głowy. Mankiet białej koszuli opadając trochę w dół odsłania rząd niebieskawych cyferek wytatuowanych tuż nad przegubem dłoni. Kiedy opuszcza rękę, na czole pozostają dwa białe wgłębienia, jak dwa rąbki bladego księżyca, które powoli napływają normalnym kolorem: niezdrowym, krwistym kolorem człowieka cierpiącego na nadciśnienie. Skowronowi go żal. Kaczorski opiera się o skraj biurka. Skowronowi się wydaje, że lada chwila się zachwieje i upadnie. Szybko obchodzi biurko i podsuwa mu krzesło: — Niech pan dyrektor usiądzie — a do tych dwóch z bezpieczki powiada: — Pan dyrektor jest już po jednym zawale serca.

Ich to nic nie obchodzi. Stoją wyprostowani, sztywni, w dłu-

gich płaszczach z brunatnej skóry, o nieprzeniknionych twarzach: dwie postacie szubrawców w gabinecie figur woskowych, wystawione tam na wieczny postrach lub pohańbienie; zależy jak się na to patrzy. Dyrektor osuwa się ostrożnie na krzesło. Lewa dłoń spoczywająca na biurku nadal trzyma kurczowo ten arkusz papieru, nadal drży. Skowron nalewa mu z karafki szklanke wody. Łagodnie i stanowczo odbiera mu kartkę. — Ja się tym zajmę — powiada do tych dwóch ubeków.

Przebiega oczami listę osiemnastu uczniów, którzy mają być aresztowani. Są spisani według klas. Ktoś z wewnątrz widocznie im pomagał. Prawdopodobnie Czubiński, wiadomo, konfident. Też jest na liście. Wyznaczyli mu rolę prowokatora. Z własnej klasy Skowrona na spisie widnieją nazwiska siedmiu uczniów: czterech, których przesłuchiowano już z okazji tej winowskiej ulotki, i trzech nowych: Halicki, Manowicz i Turski. Skowron unosi głowę i rzuca spojrzenie na zegar na ścianie: — Czy panowie nie mogliby z tym poczekać do przerwy, zamiast teraz, w czasie lekcji, na widoku kolegów? W czasie przerwy to można by załatwić dyskretnie. — Jeden z tych dwóch reprezentantów władzy ludowej odpowiada bezbarwnym głosem: — Teraz. Nie ma się co pierdolić. — Jego towarzysz dodaje rzecz, która wstrząsa Skowronem: — To nawet lepiej, że koledzy będą widzieć. Podziąła wychowawczo. — Oni mają zło wymalowane na twarzach, jawne, nie dręczone żadnym wstydem, zło triumfujące. To wyobraźnia, jasne, ale Skowronowi się nawet wydaje, że w powietrzu rozchodzi się swąd spalanej siarki. Niedawno przy trumnie Kowalika szef Urzędu Bezpieczeństwa Ostuda zapowiadał wytępienie reakcji, czyli mówił o funkcji sanitarnej, jaką reżym powierzył bezpieczeństwu. Teraz Skowron się dowiaduje, że bezpieczeństwo ma również do spełnienia zadania wychowawcze. Przez głowę mu się przewija upiorna wizja: bandziory z bezpieczki siedzą w ławkach szkolnych i słuchają wykładu z propedeutyki wychowania; problematyka bicia jako metody kształtowania postaw światopoglądowych; notują pilnie, podnoszą ręce i zadają pytania; gryzą ołówki, pocą się wywołani do tablicy; przerabiają też anatomię: jak i w które miejsce bić, żeby nie zostawiło śladu, sposoby gniecenia jąder, takie rzeczy...; może dojdzie do tego, że ten reżym będzie miał na swoich usługach bandziorów z tytułami uniwersyteckimi; w Gestapo też pracowali docenci... Ten pierwszy przedstawiciel władzy ludowej ponagla: — Chodźmy już, kurwa, nie będziemy się tu wiecznie pierdolić. — Wtedy oczywiście, myśli Skowron, będą już mieli pewną ogładę towarzyską. Wątpi, czy to będzie lepiej.

Najpierw idą do Drugiej „A”. W całym budynku aż się mrowi od ubeków. Zajmują strategiczne miejsca na korytarzach,

u stóp i na podestach schodów, przy wszystkich wyjściach na zewnątrz. Ten drugi ubek, który w swej pracy dba o aspekty wychowawcze, powiada: — Słuchajcie, dyrektorze, teraz tak. Będziecie ich wywoływali pojedynczo. Każdy zabierze swoje rzeczy i wyjdzie na korytarz. Dopiero jak się drzwi za nim zamkną, odczytacie następne nazwisko. I ja was ostrzegam: żadnego zamieszania, żadnych zbędnych słów. Czy to jest dla was jasne? Czy wyście to zrozumieli? — Skowron czuje się do szpiku kości znieważony. Odczekuje chwilę, aż mu się uspokoi żelźona krew. Próbuje odsunąć od siebie rolę pomocnika katów: — Może jednak byłoby lepiej, gdyby panowie sami ich wywołali? — Idzie pod eskortą tych dwóch ubeków środkiem korytarza i patrzy prosto przed siebie, ale czuje jak ten wychowawca mu się bacznie przygląda. Słyszy jego kpiący śmiech: — Nie, nie, dyrektorze, wy się od tego nie wymigacie. To jest wasza owczarnia, wy tu jesteście pasterzem i sami oddacie chore jednostki w ręce lekarza.

W klasie odbywa się lekcja geografii. Prowadzi ją pani Szybirtowa. Jest to niska, drobna kobieta o ujmującej twarzy. W jej oczach pojawia się przestrach. Tablicę wiszącą przy oknie zasłania duża mapa kontynentu azjatyckiego: olbrzymi masyw Rosji, koło podbiegunowe, Indie, cały ten drobiazg na południu, ale te dodatki można pominąć, ten masyw przygniata wszystko. Przy mapie, z kijkiem w ręku, stoi Mirosław Swojsa, który jeszcze nie wie, że za chwilę zostanie aresztowany. Skowron podchodząc do pani Szybirtowej i dając jej obu rękami uspokajające znaki, wyrzuca z siebie szeptem, kątem ust, do Swojsy: — Pilnujcie się przed Czubińskim! — i zaraz na głos, prawą rękę kładąc nonszalancko na jego ramieniu, powiada do pani Szybirtowej: — Bardzo panią przepraszam, że muszę pani przerwać lekcję. Niech się pani nie przestrasza. To są panowie z Urzędu Bezpieczeństwa. — Zdejmuje dłoń z ramienia Swojsy: — Wróć na swoje miejsce. — Obraca się w stronę klasy. Wszyscy uczniowie mają oczy wlepione w niego. Ubeki stoją przy drzwiach, jeden obok drugiego, tarasujący przejście, sztywni, wyprostowani, niewidzialnie wydzielający z siebie odór korupcji. Niczego nie spostrzegli. Skowron oznajmia: — Ci panowie, którzy przyszli ze mną, są z Urzędu Bezpieczeństwa. Chcą porozmawiać z kilkoma z was. Uczniowie, których nazwiska zaraz odczytam, udadzą się z nimi. Jerzy Budnicki. Włóż swoje rzeczy do teczek. — Czekaj chwilę. Budnicki zachowuje się spokojnie, tylko twarz mu trochę pobladła, ale to może być wpływ światła na zewnątrz, przyćmionego cieniem chmury nakładającej się na słońce. — Dobrze. Teraz bądź uprzejmy i wyjdź na korytarz. — Budnicki idąc przejściem między ławkami ma podniesioną



głowę, twarz spiętą zaciśniętymi ustami, naznaczoną wyrazem tego młodzieńczego zdecydowania i pewności siebie, od którego dorosłym boleśnie się kurczą krtanie. Jest wysoki, idzie swobodnym krokiem, patrzy Skowronowi prosto w oczy. Mijając go rozjaśnia twarz czupurnym uśmiechem i Skowron nie może się powstrzymać od tego, żeby się również, nieznacznie potakując głową, do niego nie uśmiechnąć. Przychodzi mu na myśl, że takie twarze, taką postawę, mogli mieć podchorążowie z Nocy Listopadowej. Takie twarze na pewno mieli, bo sam był wśród nich, młodzi legioniści; twarze, ten sam wiek, te same buńczuczne spojrzenia. Budnicki wyszedł. Z korytarza zamykają za nim drzwi. Skowron odczytuje następne nazwiska, dziesięć jeszcze nazwisk osiemnasto- i dziewiętnastoletnich chłopców, których bezpieczeństwa zabiera na przesłuchanie, na bicie, tortury. Skowronowi kraje się serce. Ostatni wychodzi Swojsa, redaktor szkolnej gazetki, w której publikuje własne wiersze nasiąknięte młodzieńczym pesymizmem. Na wysokości pierwszej ławki zatrzymuje się i z wielką kurtuazją kłania się pani Szybertowej. Ma wrodzoną wytworność obycia i ducha, gesty i wszelkie ruchy ma miękkie i łagodne; zawsze sprawia wrażenie, jakby stał z boku, jakby między nim a tym, co się wokoło niego dzieje, był dystans, utrzymanie którego przez innych jakoś automatycznie, bez żadnego wysiłku im narzuca. Tacy ludzie nie nadają się do tego, żeby ich torturowano. Swojsa kłania się z kolei Skowronowi. Wyprostowując głowę robi rzecz dla niego niewiarygodną: posyła mu perskie oko. To trwa ułamek sekundy, Skowron jest wstrząśnięty i patrząc na jego oddalające się plecy zastanawia się, czy to mu się nie przywidziało. Pani Szybertowa przyciska do ust chusteczkę. Skowron zwraca się do niej: — Jeszcze raz panią jak najmocniej przepraszam za to najście. — Obejmuje spojrzeniem całą klasę, powiada: — Dziękuję wam, chłopcy. — Ten ubek o skłonnościach wychowawczych pyta, gdy już idą po schodach na górę do następnej klasy: — A za cóż to, dyrektorze, wyście im tak pięknie dziękowali? — Za to, że w trudnej sytuacji zachowali się z godnością i spokojem. Wolałby pan, żeby była awantura? — Od tego, żeby nie było awantur, my jesteśmy. A wam, dyrektorze, już raz powiedziałem: żadnych niepotrzebnych słów. Ja mam dobrą pamięć i pamiętam, co wam powiedziałem. Ja wam powiedziałem: żadnych zbędnych słów! Powtarzam raz jeszcze, i wy o tym nie zapominajcie: żadnych zbędnych słów!

Po wszystkim Skowron udaje się do gabinetu dyrektora. Kaczorski stoi przy oknie. Skowron przystaje obok niego. Patrzają na dół, na szeroki, wykładany kamiennymi płytami chodnik ciągnący się od głównego wejścia do budynku, stąd niewidocz-

nego, do ozdobnej bramy z kutego żelaza, która wychodzi na ulicę Pocztową. Widzą ten chodnik poprzez konary drzew, które teraz są pokryte śniegiem. Pomnik wdzięczności dla armii radzieckiej w Parku Wolności, po drugiej stronie ulicy, który nieuchwytni sprawcy już dwa razy wysadzali w powietrze, też stąd widoczny, jest również obsypany śniegiem, tylko sam bagnet żołnierza świeci się ostrym blaskiem; ten blask, trochę niebieskawą, pulsuje jak lampa wozu policyjnego. Ubeki wyprowadzają ostatnią dwójkę aresztowanych. Chłopcy idą sztywno, w ich krokach brak rytmu. Gdy ostatnia para wkracza w bramę, jeden z chłopców się zatrzymuje i odwraca do tyłu, jakby chciał utrwalić w pamięci obraz swej szkoły. Skowron rozpoznaje w nim Swojsę. Z przerażeniem stwierdza, że ma ręce skute kajdankami. Kaczorski powiada: — To jest najgorszy dzień w moim życiu. Pytam się, za co nas Pan Bóg tak karze? Najpierw Niemcy, teraz ci, czy naprawdę na to zasłużyliśmy? Niech pan nie odpowiada. Ja wiem, to jest nonsensowne pytanie, które tylko świadczy o tym, że człowiek zawsze myśli naiwnie, iż w historii powinna obowiązywać sprawiedliwość. — Milknie. Chodnik przed budynkiem jest już pusty. Gdy zawieje wiatr, z konarów osypuje się miazgi śnieg. Odzywa się dzwonek na przerwę. Po przerwie Skowron ma lekcję w swojej klasie. Przerabia z chłopcami „Dziady”.

*Piotr GUZY*

Niezależnie jednak od tego co mówią komuniści, Niemcy nie są szczególnie gościnnym przytułkiem dla RFE. Wyjątkowo wrogo usposobieni są Niemcy wygnańcy (*expellees*) z terytoriów znajdujących się obecnie pod kontrolą Czechosłowacji lub Polski<sup>1</sup>.

Swego rodzaju politycznym cerberem stacji, głównie jej polskiej i czechosłowackiej rozgłośni, były związki przesiedleńców skupione w GB/BHE, „narodowo konserwatywnym” ugrupowaniu<sup>2</sup> mającym podówczas poparcie ośmiu procent wyborców. Każda wzmianka o „ziemiach odzyskanych” czy granicy na Odrze i Nysie mogła wywołać interpelację w *Bundestagu*, na czym oczywiście się nie kończyło, więc amerykańskie kierownictwo stacji dbało o to, by unikać konfliktów i w sprawie powojennych, faktycznie istniejących granic głosu nie zabierać.

Ale co zrobić z rezolucją Kongresu Polonii Amerykańskiej, podkreślającą, że Kongres ten „domagał się zawsze i będzie się nadal domagał uznania polskiej granicy wzdłuż linii Odry i Nysy?”. Co więcej, rezolucja ta „apeluje do rządu Stanów Zjednoczonych o uznanie tej granicy, by pozbawić Związek Sowiecki argumentu pozwalającego mu występować wobec Polaków jako jedyny jej obrońca”<sup>3</sup>.

Czy przekazując tę wiadomość RFE automatycznie identyfikowałoby się z rezolucją czy też spełniałoby tylko swą informacyjną powinność? I pytanie drugie: czy buntując się przeciw decyzji wstrzymania audycji przez amerykańską dyrekcję, polski zespół opowiadał się za granicą na Odrze i Nysie czy też bronił zasady swobodnego przepływu informacji? Ograniczę się do zanotowania, że zespół polski, ten na antenie i ten pod anteną, „jak jeden mąż” (były też niewiasty) stanął ZA. Czytelnicy niech sobie dopowiedzą: za Odrą-Nysą czy wolnością słowa? A może za Nowakiem? Jakby nie było, solidarność absolutna. Więcej, bo do protestujących dołączyła Amerykanka polskiego pochodzenia, Ann Anielewski, do zespołu polskiego służbowo nie należąca i ryzykująca swym wystąpieniem natychmiastowe zwolnienie z pracy. Powodował ją, jak mi to wtedy wytłumaczyła,

## Pod anteną (dok.)

„Z ciężkim sercem”, pisze mi Redaktor *Kultury*, „godzę się na trzeci odcinek”; w planie były tylko dwa. Z ciężkim sercem kończę te wspomnienia. Na razie. Mam zamiar posłużyć się tym co już napisałem jako kanwą do szerszego opracowania. Tyle wydarzeń wartych omówienia nie mieści mi się w ramach tych trzech odcinków, nie mówiąc już o osobach. Wiele z nich pomijam; ostatecznie nie układam książki adresowej. Niedawno dostałem w prezencie gruby tom memuarów rosyjskiego emigranta, który we wczesnych latach dwudziestych pracował w pewnym wydawnictwie w Berlinie. Na kilkudziesięciu stronach wspomina: *zachodził k'nam* taki i taki lub też „częstym gościem bywał”, ale i: „rzadko kiedy zjawiał się u nas”. Choć znalazłem tam kilku znajomych, nie dałem rady dalej czytać. Nie chcę, by Czytelnicy podobnie reagowali przy lekturze moich wspomnień.

Poważnym wydarzeniem w życiu stacji był starannie przygotowany, ale w porę zażegnany strajk zespołu polskiego. Miał on podłoże polityczne, lecz prążyć konfliktu była geografia. W najbardziej miarodajnym, jak dotychczas, opracowaniu na temat RFE można było wtedy wyczytać:

„Jakkolwiek Monachium było wprost idealnie umiejscowione ze względów technicznych, a początkowo też politycznych, z ulokowania stacji w Niemczech wypływają pewne trudności. Jednym z ulubionych przez komunistów określeń charakteru RFE jest nazywanie stacji głosem neonazistów, którzy dążą do wskrzeszenia niemieckiego panowania nad Europą. Wersji tej szczególnie intensywnie używa Czechosłowacja i Polska. Fakt że RFE jest ulokowane w Monachium służyć ma jako 'konkretny' dowód podporządkowania Niemcom.

1. Robert T. Holt, *Radio Free Europe*, University of Minnesota Press, Minneapolis 1958, str. 54.

2. *Gesamtdeutscher Block. Bund der Heimatvertriebenen und Entrechteten*. Od jesieni 1961, kiedy uzyskali w wyborach tylko 2,8 % głosów, pozbawieni reprezentacji w *Bundestagu* („progium” jest 5 %). Por. Norbert Albrecht i Rolf Husemann, *Deutschland. Die Geschichte der Bundesrepublik*, Zurich - Monachium 1979, str. 264.

3. Transkrypt krytycznej audycji polskiej: *Special Program No 693* z 19 października 1960.

„zew krwi”, bo jej ojciec był robociażem socjalistą<sup>4</sup> i na hasło „strajk” reagował zawsze prawidłowo. A myśmy wtedy przygotowywali całkiem regularny strajk. Mnie przypadła rola zorganizowania łączności, co — mając spis adresów pracowników polskich (grubo ponad stu) i plan miasta — szczególnie trudne nie było. Mieliśmy już wszystko zapięte na ostatni guzik. I wtedy, jak z poważnym opóźnieniem doniosła miejscowa prasa, „dosłownie w ostatniej minucie nadszedł telegram z nowojorskiej centrali zezwalający na audycję<sup>5</sup>”.

Przeżyliśmy jeszcze niejedną groźbę strajku, ale te miały podłoże socjo-ekonomiczne, jak to się dziś uczenie mówi. Należałem po kolei do dwóch związków zawodowych, amerykańskiego *Newspaper Guild of New York*, potem — z czysto praktycznych względów — *Bayerischer Journalisten-Verband*, w którym nasza obcojęzyczna, około 100 osób licząca grupa, składająca się prawie wyłącznie z pracowników RFE, stanowiła dużą siłę, o względy której zabiegał każdy kandydat na prezesa. Nie kochał nas i nadal nie kocha tylko Georg Wulffius, prezes monachijskiego *Presse-Club*, który uważa, że uchodźcy, zwłaszcza dziennikarze, już dawno powinni byli wrócić do swych wolnych krajów, rządzonych wprawdzie przez komunistów, ale demokratów.

Parę razy brałem udział w charakterze związkowca w pertraktacjach z dyrekcją, co było o tyle paradoksalne, że będąc szefem zespołu liczącego kilkanaście osób działałem wbrew własnym interesom. Bo przeważnie było tak, że dyrekcja nie mając funduszków na podwyżki płac godziła się chętnie na ułatwienia charakteru socjalnego, a więc mniej godzin pracy, dłuższe urlopy, więcej świąt. W tym względzie pracownicy RFE narzekać nie mogą: mają dni wolne od pracy we wszystkie katolickie święta, jedno protestanckie, dwa amerykańskie, a ostatnio dodano im wigilię Bożego Narodzenia i Sylwestra. Ci zaś, którzy uzyskali obywatelstwo amerykańskie mają dodatkowo raz na dwa lata 30 dni tzw. „domowego urlopu”, z którego większą część muszą spędzić „w domu”, czyli w nowej ojczyźnie. Nie na tym koniec: dochodzi kompensata za godziny nadliczbowe w wysokości jednej czwartej powyżej ilości faktycznie przepracowanej.

4. Henryk Anielewski, skazany w 1891 roku przez władze carskie na dwa lata zsyłki do Saratowa. Jego brat Władysław, skazany na pięć lat zsyłki na Sybir, rzekomo zastrzelił się na polowaniu na dwa tygodnie przed ukończeniem kary. Henryk, ostrzeżony w porę przed podobnym „samobójstwem”, wyjechał potajemnie z Królestwa w 1896 roku, przez Berlin i Londyn do Ameryki. Piłsudski spotkał się z nim w 1903 roku w Galicji — por. Wacław Jędrzejewicz, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1977, tom I, str. 60.

5. *Süddeutsche Zeitung*, 5. 12. 1960.

Jako pracownik mogłem się tylko cieszyć z tych udogodnień, jako szef użerałem się na lewo i prawo, by przy zmniejszającym się czasie pracy i po cięciach personalnych z 16 do 11 osób<sup>6</sup> poddać stale zwiększającym się wymaganiom. A te, równoznaczne z naciskami, szły z różnych stron: od doradcy politycznego, od Nowaka, od szefa mego departamentu, wreszcie od tzw. politycznego asystenta.

I znów muszę zrobić dygresję, by wyjaśnić rolę owego asystenta politycznego. Nie pamiętam, kiedy takie coś pojawiło się w RFE, chyba gdzieś pod koniec lat sześćdziesiątych. Z reguły był to absolwent uniwersytetu, czasem już z doktoratem, który, przygotowując się do służby dyplomatycznej, przyjeżdżał do RFE na praktykę specjalizacyjną. Szefom poszczególnych jednostek narodowościowych tłumaczono, że ci asystenci polityczni nie są broń Boże naszymi przełożonymi; oni tylko się uczą, faktycznie jednak, co odkryliśmy bez szczególnego trudu, „ucząc się”, nadzorowali naszą pracę z punktu widzenia wytycznych politycznych władz wyższych, czyli Departamentu Stanu. Spośród szeregu tych asystentów najlepiej wbiło mi się w pamięć dwóch: dr A. Ross Johnson, „współpraca” z którym polegała na wymianie złośliwości, i Michael (Mike) Costello, o którym mogę tylko powiedzieć, że był wspaniałym „kumplem” w pracy i prywatnie; wraz z Jimem Brownem był świadkiem na moim ślubie z Urszulą w maju 1972. Byli po nim jeszcze dr King, Thomas Heneghan i William F. Robinson, z którymi współpraca układała mi się bez tarć, i wreszcie dr Jan B. de Weyenthal, pierwszy, który znał bez pudła język polski i nie tylko, bo również rzeczywistość, jako że młodość spędził w PRL. Moja współpraca z nim trwała krótko, bo objął swe obowiązki późną jesienią 1978, a ja pożegnałem się z RFE w niespełna rok potem.

Jako przykład współdziałania z asystentem politycznym podam obsługę zjazdu partii w 1971 roku. Był to pierwszy Gierkowsy zjazd, więc oczekiwano sensacji. Należało przygotować na czas odpowiednie sprawozdania dla dyrekcji jak też innych rozgłośni narodowościowych (*cross reporting*). O tym, co się w danym dniu działo, dowiadaliśmy się dopiero późnym wieczorem z nasłuchu radiowego, mniej więcej od godz. 20-ej. Około godz. 21-ej zjawiałem się w biurze, potem Urszula — jedyna, która pisała na maszynie jak szatan i której mogłem dyktować po angielsku, stanowiliśmy więc, również w pracy, zgrany *team*.

6. W oświadczeniu prasowym trzech związków zawodowych, amerykańskiej gildii, bawarskiego syndykatu i *Deutsche Angestellten Gewerkschaft*, zrzeszającego urzędników, z 10 lipca 1975 można było wyczytać, że „od 1969 roku ogólna liczba pracowników RFE spadła z 1.678 do 1.251 osób, a przy końcu tego roku zejdzie do 1.100”.

Gdy ja pogrążony byłem w studiowaniu tekstu nasłuchu, Urszula przynosiła dalsze „bibułki”, przebitkowe kopie sprawozdania Polskiego Radia ze zjazdu, tudzież *espresso* z automatu. Około północy miałem już obraz dnia obrad i zaczynałem dyktować. Trwało to jakieś trzy godziny; gotowy manuskrypt kładło się pod drzwi Mike'a; on przychodził o 4-ej rano, czytał, ostatecznie redagował i ewentualnie, na podstawie dostępnych depech PAP w języku angielskim, uzupełniał nasz raport; o godz. 5-ej zjawiała się maszynistka, która to przepisywała i około godz 7-ej rano *Central News Room*<sup>7</sup> wypuszczał gotowy *item* (pozycja). Nowak, który z zasady „wiedział lepiej”, i tych raportów w języku angielskim nie czytał, męczył się na porannej konferencji, by dyrektorowi RFE (był nim wtedy Ralph E. Walter) zdać sprawę z tego co ten już wiedział z mojego i Mike'a opracowania. Powtarzało się to przez pięć dni zjazdu. Wysilek był duży, ale dawał satysfakcję dobrej roboty. Nie brakło też uznania przełożonych. Jim Brown, dyrektor Departamentu Badań i Analiz (RAD), w swym podziękowaniu podkreślił, że moja współpraca z Mike'm była wzorowa. „Przyjmij moje podziękowanie i gratulacje, jak też przekaz je wszystkim twym współpracownikom”. Dopisał się do tego Walter: „Pozwól mi dołączyć się do uwag Jima Browna. Tobie i twym kolegom dziękuję za dobrą robotę”. W cztery lata później do tego rodzaju podziękowań dołączył się też Zygmunt Michałowski, który objął był już — obowiązki dyrektora rozgłośni polskiej:

Nie zawsze zasługiwaliśmy na pochwały, nie zawsze też można było zwalić winę na cięcia budżetowe. Były niedociągnięcia w pracy, czy to na skutek niedostatecznych kwalifikacji niektórych pracowników, czy ich niedbalstwa lub zwykłego wygodnictwa. Nie miałem wpływu na dobór personelu, o tym decydował Nowak. Dość wcześnie zastrzegł sobie „u Amerykanów”, że bez jego wiedzy i aprobaty nie zostanie przyjęty do RFE żaden polski pracownik i to obojętnie do jakiego działu. Nawet maszynistka w biurze terenowym, jeśli była Polką, musiała otrzymać jego *nihil obstat*. Wynik tych prerogatyw był taki, że dostawałem pracowników, o których doborze nie decydowały kwalifikacje lecz sympatie lub koneksje (żona redaktora, aktora). Nazwisk nie będę wymieniał. W jednym wypadku, o którym wiem, załatwił sprawę zatrudnienia w mojej sekcji bezpośrednio z szefem biura personalnego, ustalając z miejsca grupę uposażeniową nowej pracowniczki, której inni pracownicy tej samej kategorii musieli się dopracowywać latami. Że to uczynił bez mojej wiedzy, pał go lichy, ale nawet mój przełożony Brown dowiedział

7. Centralna Redakcja Dziennika Radiowego.

się o tym dopiero ode mnie, gdy protestowałem. To czego sobie życzył *Curly*<sup>8</sup>, było święte. Jak już wspomniałem, żaden rozsądny Amerykanin się nie sprzeciwił.

Niestety, niezdrowe stosunki w dziedzinie personalnej pannały w całej stacji. Po pierwsze były poważne różnice w uposażeniach Amerykanów, tzw. grupy językowej, czyli nas, Polaków, Czechów itd. tudzież Niemców. Jaskrawym przykładem niesprawiedliwości wynikającej z tego zróżnicowania była Liselotte, lubiana i szanowana Lotte. Została zatrudniona na etacie amerykańskim — wielki zaszczyt, dowód zaufania — ale płata była według stawek niemieckich. Ostatecznie po 22 latach pracy zarabiała mniej niż maszynistka w grupie językowej. Amerykanka na tym samym stanowisku inkasowała co najmniej cztery razy tyle co Lotte. W końcu miała tego dość: zrezygnowała. Nie każdy jednak mógł sobie na taki gest pozwolić.

Następnym przejawem niesprawiedliwości była kwestia awansów; nie decydowała uczciwa praca, lecz sympatie lub szantaże. Dobry pracownik groził przeniesieniem się do innego działu i dostawał podwyżkę. Uczciwy, który się takich chwytów wstydział, zostawał w tyle. Gdy żegnałem się z RFE, zostawiłem u mego szefa nieuwzględnione od pięciu lat wnioski na podwyżki dla trzech pracowniczek, jak najbardziej na nie zasługujących. Zawsze mi tłumaczono, że właśnie taka przykra sytuacja, że cięcia, że awanse zamrożone. I zawsze jakoś dowiadywałem się, że w innym dziale była odwilż, tylko w mojej sekcji mróz.

W ostatnich latach mej podantenowej kariery było nas 11 osób: troje ewaluatorów, włącznie ze mną; trzy reserczerki prowadzące kartotekę; troje reserczerów prowadzących archiwum wycinków prasowych i obsługujących redakcję oraz dwóch względnie dwoje analityków robiących codzienny przegląd prasy. Jak już wspomniałem, od 1976 roku zwała się na jednostkę lawina samizdatów, co poważnie obciążało resercz kosztem np. *Trybuny Ludu*. Luki spowodowane zaległościami łątał z powodzeniem Antoni Kuczmierczyk, analityk, któremu powierzyłem sekcję wycinków prasowych i obsługi redakcji. W grubej księdze zawierającej obsadę personalną (partia, rząd, administracja, stowarzyszenia itp.) notował każdą zmianę personalną, jaką wyłowił z lektury czasopism i ta jego „biblia” była źródłem wszelkiej mądrości.

W listopadzie 1977 roku Kuczmierczyk zmarł nagle przy pracy, a w niespełna dwa tygodnie potem reserczerka tego działu uległa poważnemu wypadkowi samochodowemu i poszła do

8. Kędzierzawy — tak nazywali go Amerykanie. Przytyk do łysiny.

szpitala na szereg miesięcy. Trzecia osoba tam pracująca była też chora, więc redaktorzy pozbawieni byli serwisu. Odkomenderowanie do tego działu resercherów kartotekowych niewiele pomogło ze względu na ich brak doświadczenia w tej pracy, raczej pogorszyło ogólną sytuację, bo zwiększyły się zaległości w kartotece.

Michałowski miał pełne prawo do narzekania i narzekał, co mnie szło na rękę, bo ja też domagałem się pomocy w formie funduszu bodaj na dorywczą siłę. Niestety dyrektorem RFE/RL był wtedy Alexander Buchan, który całą energię zużywał na oszczędności i prawdopodobnie chętnie by widział więcej nieboszczyków, bo tym już płacić nie trzeba. Gdy po pięciu miesiącach rozpaczliwej personalnej sytuacji zaistniała wreszcie możliwość zatrudnienia na miejsce Kuczmierczyka kompetentnego pracownika — był nim Adam Rosenbusch — Mr. Buchan zaproponował opóźnienie przyjęcia go o miesiąc — dla oszczędności!

Oszczędności były też przyczyną pogorszenia się warunków, w jakich wypadło nam pracować. Segregując materiał do tego sprawozdania z mej kariery w RFE zatytułowałem odnośną teczkę „Brudy i smrody” i nie ma w tym przesady, bo od czasu najazdu na siedzibę RFE supermocarstwa RL, czyli od października 1975 sekcja moja znalazła się właśnie w warunkach wiernie temu określeniu odpowiadających.

Ze zrozumiałą nostalgią wspominam czasy, gdy trudno było przejść po korytarzach stacji: szalały tam sprzątaczkę z odkurzaczkami, ścierkami, miotłami i kubłami, starannie usuwając najdrobniejszą molekułę kurzu czy błota. W służbowych mieszkaniach co dzień ścieliły łóżka, odkurzały dywany i robiły to, co do sprzątaczkę należało. Już w sierpniu 1953 zaczęto oszczędzać właśnie na nich: co drugi dzień tylko robiły porządki w mieszkaniach, ale już nie ścieliły łóżek. W dwa lata potem zlikwidowano obsługę prywatnych mieszkań, kto chciał mógł ugodzić taką *Putzfrau*, ale płacić musiał z własnej kieszeni. A i na korytarzach RFE nastąpiło przerzedzenie tego gatunku. Wieczorem, gdyśmy szli do domu, sprzątano w pokojach biurowych. Ponieważ jednak była to praca nocna, trzeba było płacić wyższe stawki. I na to administracyjne harpagony wynalazły sposób: sprzątanie za dnia. Gdy zaprotestowałem, tłumacząc że trzynastoro resercherów musi przerwać pracę na kilkanaście minut, dowiedziałem się, że jestem jedynym, który oponuje i że nawet General Smith<sup>9</sup> do nowej sytuacji odnosi się z wyrozumieniem i godzi się na tę niewygodę. Przeoczoło jedynie drobną okoliczność, że biurko dyrektorskie nie jest zawalone kartoteką i wycinkami prasowymi,

9. C. Rodney Smith, dyrektor RFE.

które trzeba pozierać i odłożyć na bok, by sprzątaczkom umożliwić odkurzenie mebla. Wreszcie w maju 1969 roku sprawę rozwiązano radykalnie przez zakontraktowanie specjalnej firmy „czyszcicielskiej”. Budżetowi stacji to ulżyło, ale odbiło się na ogólnym stanie porządków. Lewatyńscy pracownicy mają inne podejście do ścierki i odkurzacza niż ich niemieckie odpowiedniki, a wyniki ich pracy rzadko idą w zgodzie z dumną nazwą firmy *blitz-blank*<sup>10</sup>.

Wszystko to igraszka w porównaniu z tym, co zastaliśmy w suterenie skrzydła A, dokąd nas przeniesiono po wspomnianej inwazji. Że pracowaliśmy w suterenie to zrozumieli: papier, a tego sekcji nie brak, jest ciężki, więc na wyższym poziomie podłoga mogłaby się zawalić. Gdyby na głowę administratora, jaki nam miłościwie wraz z RL nastał — nazywa się Hyman S. Busch — byłoby pół biedy, a i na mszę dziękczynną bym nie pożałował. Po trzyletnim użeraniu się ze wspomnianym panem i pomniejszymi dyrektorami straciliśmy wreszcie cierpliwość i wszyscy, jak nas było jedenaścioro, podpisaliśmy memoriał do najwyższej dostępnej na terenie Monachium władzy, czyli do dr Glenn W. Fergusona, domagając się przeniesienia nas do pomieszczenia „gwarantującego nam minimum warunków godnych człowieka”. W uzasadnieniu podaliśmy: 1) nasze skrzydło przylega do wejścia dla dostawców, prawie stale otwartego, co naraża nas, zwłaszcza w zimie, na gwałtowne zmiany temperatury ilekroć wychodzimy na korytarz; 2) sekcja korytarza, przylegająca do naszego skrzydła służy za pomieszczenie skrzyń z odpadkami, w tym często resztkami jedzenia, co całkiem zwyczajnie cuchnie i zwłaszcza w czasie *weekend’ów*, gdy śmieci się nie wywozi, jest dokuczliwe dla dyżurnego pracownika; 3) okna nasze wychodzą na podwórze, na które zajeżdżają ciężarowe samochody dostawców, z reguły nie wyłączające w czasie wyładunku motorów diesla, co jest nie tylko niemiłe, ale i niezdrowe, bo wycieki wdzierają się do pomieszczeń biura.

No i co? Przyszedł do nas Douglas Montondo, asystent Fergusona, sobota to była, więc dostawców ani śladu, a zapach z kubłów na śmieci widocznie mu nie przeszkadzał; pooglądał pomieszczenie i na tym się skończyło. Gdy tam od czasu do czasu jeszcze zaglądam, widzę te same brudne biurka, które już dawno nie istnieją, bo w księgach inwentarzowych już się zdeprecjonowały do zera (panie oblepiają je lepikiem, by nie drzeć rajstop), na betonowej podłodze to samo wyrzucenie, którego usunięcia domagałem się już w 1975 roku, korytarze zawalone

10. Błyszcząco-czyste.

półkami — nie daj Boże pożaru! — a w gardle dusi wyziew diesla z podwórza: właśnie wyładowują piwo dla kafeterii.

W pierwszym odcinku mych wspomnień pochwaliłem się „ostrą nagana”<sup>11</sup>, jaka mnie w mej podantenowej karierze nie ominęła. Splot przyczyn i skutków, które do tej repremedy doprowadziły, jest dość ciekawy. Właściwie zaczęło się od Bogu ducha winnego Juliusza Mieroszewskiego, który w swej stałej rubryce *Kultury*<sup>12</sup> wysunął dwa główne zastrzeżenia odnośnie polityki Episkopatu: 1) przyjęcie w liście pasterskim biskupów polskich wersji „Ojczyznę wolną zachowaj nam Panie”, implikującej że PRL jest państwem wolnym i niepodległym; 2) poddanie duszpasterstwa emigracyjnego kardynałowi Wyszyńskiemu i przez niego wyznaczonemu biskupowi, posiadaczowi reżymowego paszportu. Nie przypominam sobie, by Nowak protestował przeciw wywodom Mieroszewskiego, ale gdy w parę miesięcy potem Józef Mackiewicz włączył się do dyskusji i wywody te poparł<sup>13</sup>, wynikła sprawa o obrazę majestatu (prymasa).

Dla mnie, znającego Mackiewicza tudzież jego żonę Barbarę (pisującą pod panińskim nazwiskiem Toporska) od 1945 roku i śledzącego ich losy, nie ulegało wątpliwości, że chodziło tu o to, by wyrzucić presję na *Wiadomości*, by zamknęły swe łamy dla tego pisarza. Niech sobie ogłasza nowele i książki, skoro jest niezłym literatem. Natomiast promowanie go na politycznego nauczyciela emigracji jest zarówno rzeczą niedopuszczalną z punktu widzenia moralnego jak też wysoce niebezpieczną pod względem politycznym. Takiego zdania był Nowak.

Wiem, że i Jerzy Giedroyc nigdy nie zachwycał się politycznymi wywodami Mackiewicza, ale nie zamierzał skazywać go na banicję z *Kultury*, podobnie zresztą jak i Mieczysław Grydzewski (wtedy już ciężko chory) postanowił pozostać wiernym sobie i tradycji *Wiadomości* publikowania utworów pisarzy bardzo nawet kontrowersyjnych.

Po długich targach, o których głośno było w kafeterii RFE, doszło do rozbratu miesięcznika *Na antenie* z tygodnikiem, który owemu organowi rozgłosi polskiej udzielał gościny. W „Liście otwartym” do Juliusza Sakowskiego (działającego w imieniu Grydzewskiego), ogłoszonym w podwójnym (kwiecień-maj 1969) numerze *Na antenie*, ukazującym się już „jako osobne pismo” Nowak wyjaśniał:

11. Niechlujstwo językowe; poprawnie: surowa nagana (*severe reprimand*).

12. Londyńczyk, „Kronika angielska”, *Kultura* nr 1/255-2/256, styczeń-luty 1969, str. 105-108.

13. *Wiadomości* nr 1199 z 23. 3. 1969.

„W kwietniowym numerze naszego miesięcznika miało się ukazać krótkie oświadczenie, że nasza Rozgłosnia i Redakcja nie ponosi żadnej współodpowiedzialności za artykuł p. Józefa Mackiewicza 'List pasterski', umieszczony na pierwszej stronie *Wiadomości* z dnia 23 marca. Nie wdając się w polemikę z treścią artykułu, daliśmy wyraz naszemu przekonaniu, że p. Józef Mackiewicz nie jest właściwym autorem do wydawania sądów o postawie patriotycznej i obywatelskiej kogokolwiek a zwłaszcza Kardynała Wyszyńskiego z uwagi na swą własną działalność w czasie ostatniej wojny i poglądy wypowiedziane na łamach prasy wydawanej przez okupantów”.

Za słowo drukowane można ładnie „beknąć” przed sądem, zwłaszcza w Anglii, więc rodzaj owej działalności pozostawiono domysłom czytelników. Łukę wypełniło mniej uchwytne słowo w eterze precyzujące, że jest to pisarz, „na którym ciąży zarzut kolaboracji z hitlerowskimi gadzinówkami w czasie wojny, a który udzielał lekcji patriotyzmu prymasowi Polski i biskupom” lub też że jest to „człowiek obciążony zarzutem kolaboracji z okupantem hitlerowskim”<sup>14</sup>.

Kilka lat wcześniej podobną znajomością życiorysu Mackiewicza — jako swego rodzaju wstępem do późniejszej kariery w RFE — pochwalił się Józef Ptacek, ale należy mu wybaczyć, bo był wtedy żółtodziobem i nie bardzo wiedział co czyni<sup>15</sup>.

Doskonale natomiast zdawali sobie sprawę z tego co czynią autorzy, włącznie z anonimowym redaktorem naczelnym paszkwilu<sup>16</sup> — inaczej tego nazwać nie umiem — wydanego nakładem Zarządu Głównego Koła Żołnierzy Armii Krajowej w Londynie w 1971 roku. Nie czuli się zagrożeni oskarżeniem o zniesławienie; wiedzieli że Mackiewicz do sądu ich nie poda, bo nie ma pieniędzy, z czego tajemnicy nie robił. Wiem, że się z tą myślą nosił, nawet napisał do żyjącego w Stanach człowieka, który mógłby swym zeznaniem oczyścić go z wszelkich zarzutów, ale ten wykreślił się sianem, nie chciał się narażać możliwym tego świata. Znam nazwisko tego człowieka, znam wiele innych szczegółów, ale nie jestem upoważniony do ich ujawnienia. O tym że w trzecim odcinku mych wspomnień tyle uwagi mu poświęcam, Mackiewicz — w chwili gdy to piszę — nie wie i nie chce go o tym zawiadamiać, bo nie wiadomo jakby na to zareagował; on też należy do „niełatwych”.

Wracając do paszkwilu, drukowano to *opus* w lipcu, a rozprowadzono je w październiku. Podaję te daty, by zwrócić uwagę na złą wolę — znów nie znajduję innego określenia — jego autorów, albowiem w *Zeszytach Historycznych* nr 19, dostępnych

14. Lucjan Perzanowski w ramach audycji „Fakty, wydarzenia, opinie” 8. 7. 1969 i 10. 10. 1969.

15. *Kontury*, kolumna *Dziennika Polskiego*, 27. 9. 1961.

16. *Pod pręgierzem*, stron 44.

czytelnikom już w marcu, ukazał się ważny dokument, list prof. Zygmunta Jundziła<sup>17</sup>, skierowany swego czasu do Prezydenta RP na obczyźnie, z którego wynikało, że w tzw. „sprawie” Józefa Mackiewicza ponure nieporozumienie wynikało z identyfikacji Józefa z Bohdanem (też Mackiewiczem). W następnym z kolei numerze *Zeszytów*<sup>18</sup>, rozprowadzonym we wrześniu, Józef Mackiewicz obszerniej opisał rolę Bohdana, więcej czarnorynkowca niż „kolaboranta”, w administracji *Gońca Codziennego*.

Inkwizytorzy zignorowali te niewygodne dla nich rewelacje i nie zaniechali — jakby można było oczekiwać — ani druku, ani kolportażu oskarżenia, opartego na „dokumentacji”, której dotkliwy brak wytknął im Jerzy Jankowski:

... „zarzuca się Mackiewiczowi współpracę z gadzinówką *Goniec Codzienny* w Wilnie: autorzy dają nam fotokopię tego pisma z 1943 roku, ale dlaczego nie z artykułem Mackiewicza właśnie. Byłoby to bardziej przekonujące!”<sup>19</sup>.

Dziwne, że zwiadowcy podziemia nie dostrzegli Bohdana, nie głównie czarnorynkowca, jak go przedstawia Józef, ale i dziennikarza: już przed wojną był sekretarzem Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich<sup>20</sup>. Po wojnie mieszkał w Warszawie, przy ul. Deotymy 50; łatwo sprawdzić w książkach telefonicznych. Zmarł w połowie lat sześćdziesiątych.

Czytelnik ma prawo spytać, dlaczego o tym piszę, co to ma wspólnego z RFE. Niestety, ma. „Sprawa Mackiewicza” była stale aktualna<sup>21</sup>.

Minął blisko rok. Dostałem jakiś czas potem list Janusza Kowalewskiego z załącznikiem: tekstem odezwy o zapisywanie się do Koła Przyjaciół Twórczości Józefa Mackiewicza i „deklarowanie jednorazowych lub stałych wpłat na fundusz pomocy dla tego pisarza”. Miało się to ukazać w *Wiadomościach*. „Pana nie namawiam, bo wiem że jest Pan w trudnej sytuacji”, pisał Kowalewski. Odpisałem, że „nie widzę przeszkód w tym, bym się publicznie opowiedział za Mackiewiczem”, chciałem tylko wiedzieć „kto za tym stoi”. Odezwę wydrukowały *Wiadomości* w numerze 1278 z dnia 27 września 1970; znalazłem się wśród ponad 30 osób, sama śmietanka, nazwisk tu wymieniać nie będę, bo albo wszystkich albo nikogo, więc tylko spośród zmarłych

17. Str. 76-79.

18. Str. 170-173.

19. *Polska w Europie — La Pologne en Europe*, No. 9-10 septembre-octobre 1971.

20. *Rocznik Polityczny i Gospodarczy 1939*, Warszawa, Polska Agencja Telegraficzna, str. 666.

21. Na przykład: *Na antenie* nr 79, październik 1969 r., str. 8.

wspomnę Jana Badenigo, Mariana Hemara, i Kazimierza Okulicza.

Wkrótce po otrzymaniu numeru dowiedziałem się od Kuczmierczyka, który właśnie wrócił z porannej konferencji zespołu redakcyjnego i jak zwykle zdawał mi sprawę z tego co tam omawiano, że Nowak oświadczył iż z osobnikiem, który opowiada się za „zdrajcą narodu” czy „kolaborantem” — nie pamiętam, w każdym razie był to epitet w tym rodzaju — on, Nowak, „pod jednym dachem” pracować nie będzie. Redakcja mieściła się wtedy w skrzydle A, a moja sekcja w F, więc zażartowałem: „Trzeba będzie przepiłować dach między skrzydłem C i D”. Wkrótce przekonałem się, że to nie żarty.

Chyba tego samego dnia wezwał mnie Cook, który był wtedy asystentem (prawie wice) dyrektora stacji Waltera, i oświadczył mi, że Nowak użala się na mnie o ten podpis pod odezwą. To jest bardzo nieładnie z mej strony, to może zaważyć na mej dalszej pracy, bo przecież Mackiewicz jest wrogiem stacji itp. Nic nie jest jednak stracone, mogę wycofać swój podpis przez opublikowanie w *Wiadomościach* odpowiedniego oświadczenia. Odmówiłem. Cook nie mógł sam decydować i dopiero po paru dniach, gdy zjawił się Walter — na urlopie był czy w podróży służbowej, nie pamiętam — zaczęło się na nowo. W skład trzyosobowego trybunału, przed który mnie wezwano, wchodził, poza Walterem, Cook i Brown, mój bezpośredni przełożony. Dla nich sprawa była prosta: Mackiewicz napisał paskudny pamflet na RFE, Nowak go nie lubi i zwalcza, a Zamorski, członek personelu kierowniczego (*executive*), wiedząc o tym, publicznie opowiada się za takim wrogiem, a tym samym przeciw innemu kierownikowi instytucji. I znów: wycofaj. Moje argumenty na wiele się nie zdały, oczywiście nie ukrywałem, że wiedziałem iż Nowakowi mój podpis pod apelem w smak nie będzie, ale ja tam występowałem jako osoba prywatna, RFE w ogóle wspomniane nie było, nie bardzo rozumiem o co chodzi. Więc mnie zawieszono.

Musiło być ze mną kiepsko, „wisiałem” już chyba trzy dni, gdy późnym wieczorem zadzwonił do mnie Jim Brown. Napisał taki a taki list. Napisałem: apel podpisałem jako kolega po piórze (*fellow writer*) a nie jako *executive* RFE. Wiem, że Mackiewicz od lat jest w sporze z Nowakiem i że skrytykował RFE. „Muszę podkreślić, że w tym samym stopniu, jak nie zgadzam się z poglądami Mackiewicza w tym względzie, jestem również zdania, że ta część jego twórczości nie przynosi mu ani uznania w moich oczach ani literackich wawrzynów. Gdy podpisywałem apel, nie przyszło mi po prostu do głowy, że ja czy też którakol-

wiek z pozostałych 31 osób, których nazwiska widnieją pod apelem, mogła być uważana za popierającą, tym mniej żyrującą polemikę pana Mackiewicza z panem Nowakiem lub polską rozgłośnią". Po wyciszeniu dzieł literackich Mackiewicza, dzięki którym zasługuje on na poparcie i pomoc, dodałem że uważałem za wskazane poprzeć „utalentowanego pisarza, który żyje w nędzy i przeciw któremu od lat z różnych stron prowadzi się nagonkę albo z powodu jego rzekomej kolaboracji z Niemcami w czasie wojny, albo ze względu na jego poglądy wyrażone w książkach *Lewa wolna* i *Nie trzeba głośno mówić*". Tyle za radą Jima. Następne dwa ustępy podyktowała mi chyba wrodzona przekora, a może (też wrodzony) wstręt do obłudy. Wpierw wyraziłem nadzieję, że zasada wolnego wypowiedzania swego zdania, nawet jeśli się z nim nie zgadzamy, tak gorąco broniona przez pewnego francuskiego myśliciela 200 lat temu, jeszcze coś znaczy, następnie przypomniałem:

„Okolo 20 lat temu jeden z polskich pisarzy, Czesław Miłosz, odskoczył (*defected*) od personelu komunistycznej ambasady polskiej w Paryżu. W owym czasie domagano się głośno pełnego ostracyzmu Miłosza. Z dumą wspominam teraz, że byłem jednym z niewielu, którzy podpisali apel publiczny w miesięczniku *Kultura* popierający również tego pisarza”.

Po tych nie całkiem kornych argumentach należało jednak zatroszczyć się i o ten ogarek, więc zakończyłem: „Jeśli moje wystąpienie spowodowało jakiegokolwiek trudności dla RFE jako instytucji, jest mi szczerze przykro. Mogę tylko zaznaczyć, że nie miałem zamiaru wyrządzić jakiegokolwiek szkody”.

Widocznie starczyło to, by zostać „odwieszonym”, powróciłem więc do pracy, lecz sprawa się na tym nie skończyła. Po dziesięciu dniach oświadczone mi, że to co uprzednio napisałem to za mało. Ktoś tam chciał mnie widzieć pod murami Canossy. Zmodyfikowałem więc mą skrucę, przyznając że, „jakkolwiek działałem w dobrej wierze i nie zamierzałem działać na szkodę RFE, muszę teraz — po rozważeniu sprawy — przyznać, że popełniłem błąd, w wyniku którego mogłem wprowadzić RFE w kłopotliwą sytuację, czego szczerze żałuję”. Tegoż samego dnia, 13 października 1970 roku, wypisano mi ową *severe reprimand* (nie zdążyłem jej jeszcze oprawić w ramki), gdzie mogłem wyczytać:

„Publiczne poparcie przez Pana osobnika od dawna znanego z jego działalności przeciw *Radio Free Europe* świadczy o Pańskim złym rozeznaniu. Na skutek tego Pańskie postępowanie nie licuje z powierzoną Panu pozycją kierownika w tej organizacji.

Jeśli w przyszłości zdarzy się wypadek podobnego braku rozeznania w wykonywaniu Pańskich obowiązków jako członka kierownictwa, spowoduje to Pańską natychmiastową dymisję”.



Mogłem być wtedy wylecieć tak szybko i bezszelestnie, jak to zdarzało się moim przełożonym, byłem bowiem od paru lat jednym z kierowników na statusie *executive*, czyli wyłączonego z przywilejów wynikających z pracowniczej umowy zbiorowej. Pomysł pchania się „w dyrektory” nie powstał w mojej głowie. Raczej niechętnie, jedynie przez solidarność, dołączyłem się do prośby mych kolegów o przyznanie nam owego statusu. Jeśli się nie mylę, *spiritus movens* owej inicjatywy był Charles Kovats, mój odpowiednik w jednostce węgierskiej, a może Czech Hanus Hajek. Nie wiem komu przyznać tu palmę pierwszeństwa, w każdym razie uważali oni — może i słusznie — że praca nasza wymaga prestiżowej etykiety. W jednym z memorandumów, jakie w sprawie naszego statusu i uposażenia słailiśmy, podkreśliliśmy, że „nasza praca jest bardzo zróżnicowana: musimy pisać oceny analityczne, często na gorąco, w języku angielskim — a więc dla nas obcym — każdego prawie przejawu sytuacji w naszych krajach; musimy zlecać i kontrolować, często przereferować analityczne prace naszych podwładnych; wydawać regularnie raporty sytuacyjne, opracowania źródłowe i przeglądy prasy; czytać, przestudiować i ocenić cały dostępny materiał (setki gazet i periodyków w wielu językach, nasłuch radiowy, plik depesz agencyjnych); utrzymać stale rosnący zbiór teczek przedmiotowych, kartotekę osobową i przedmiotową, jak też materiały biograficzne dotyczące naszych krajów; dostarczać obiektywnych danych, wraz z odpowiednią oceną, naszym klientom, np. redaktorom, przełożonym, interesantom spoza RFE; utrzymać na odpowiednim poziomie organizację pracy, umożliwiającą szybki dostęp do właściwej informacji, jak też szereg innych czynności, wszystko to przy niższym liczebnie personelu niż wiele lat temu”.

Ostatecznie, „w uznaniu kluczowej roli”, jaką odgrywaaliśmy w Departamencie Politycznym — jak to w liście nominacyjnym przyznał dyrektor RFE (tenże Ralph Walter) — uzyskaliśmy zdnem 1 lutego 1968 roku „status kierowniczy Szefa Jednostki w Wschodnio-Europejskim Dziale Badań i Analiz”. Złe zrobiliśmy, bo właśnie nadchodziły złe czasy; los stacji wisiał na włosku, brakło pieniędzy, a równocześnie związki zawodowe parły o podwyżki, groziły strajkami i wymuszały koncesje. Kasta dyrektorska cierpiała na tym, bo jej podwyżki nie szły w parze z tymi, jakie uzyskiwała „szara masa”. Walter oszczędzał na nas, na kierownikach, a było na czym, bo było nas, ho, ho, nigdy nie przypuszczałem że tyłu. Nikt nas nie bronił, strajkować też nie mogliśmy. Patrząc dziś wstecz, podziwiam go: niejeden na jego miejscu poddałby się, zrezygnował z niewdzięcznego stanowiska. Nie wiem co nim kierowało, może ambicja wyjścia na-



przeciw wyzwaniu, wytrwał, ratował istnienie stacji jak mógł, podobno — tak mi mówiono, nie sprawdzałem — w pewnym krytycznym momencie sięgnął po nietykalny fundusz emerytalny, by pokryć bieżące wydatki, póki Kongres nie przyzna odpowiednich funduszy. Wyszliśmy więc na naszym statusie jak przysłowiowy Zabłocki na mydle. Zaczęliśmy starania w odwrotnym kierunku. To nie interes być bladą twarzą, wsadźcie nas z powrotem do rezerwatu, żądaliśmy. Nie było to takie łatwe, targi trwały parę ładnych lat, ale ostatecznie z dniem 1 października 1976 opuściliśmy dyrektorskie grono i oddaliśmy się w opiekę związków zawodowych.

Nowak odszedł przy końcu 1975 roku *in odore sanctitatis*. W pożegnalnym posłaniu „Do Polskiego Zespołu Radia Wolna Europa” wyjaśnił, że przedwcześnie odchodzi w stan spoczynku, bo: 1) niewiele może uczynić, „by zapobiec wszystkim ujemnym skutkom zarówno ostatnich jak i poprzednich masowych redukcji personelu”; 2) nie chce „dzielić współodpowiedzialności za nieuniknioną stratę wpływów i skuteczności programu spowodowaną czynnikami, którym nie może zapobiec”.

W bardzo dobrym filmie, którego tytułu nie pamiętam, gra w nim Claudia Cardinale, w walce komendanta policji w małym miasteczku sycylijskim z miejscową mafią zwycięża szef mafii (Cobb). Na miejsce energicznego policjanta przychodzi mięczak. Szef mafii znajduje się w próżni: nie ma z kim walczyć, ten tam, po drugiej stronie placu, to bla bla. Po odejściu Nowaka poczułem podobną pustkę, z tym oczywiście że role były odwrócone: odszedł potężny szef mafii, na placu pozostał uparty *poliziotto*. Zabrakło wyzwania — do czego? Do dobrej roboty. Bo jaki Nowak by nie był — nietaktowny, wybuchowy, apodyktyczny, bezwzględny — był wspaniałym szefem rozgłośni i tego mu nikt nie odbierze. To już należy do historii.

Odszedł w porę — dla siebie. Nawet gdyby został, niewiele by wskórał, nie zdołałby przeciwstawić się nowym siłom. W rok po jego odejściu ukazały się wytyczne dla obu stacji<sup>22</sup>, z których wystarczy zacytować jeden ustęp, by zdać sobie sprawę z pełnego odwrotu od *containment* (skąd ja to słowo znam?) do *appeasement*, bezwarunkowego pogodzenia się ze *status quo*:

„Opowiadając się w pełni za podstawowymi zasadami ludzkich praw, supremacji prawa i unikania dyskryminacji wśród narodów, RFE/RL nie jest powołane do opowiadania się za ustanowieniem lub obaleniem jakiegokolwiek ustroju, systemu organizacji państwowej lub ideologii w obszarach do których zwrócone są jego audycje”.

22. Radio Free Europe/Radio Liberty. Program Policy Guidelines, 1 December 1976, Washington, D.C.

Jeśli o mnie osobiście chodzi, żałuję że Nowak nie pozostał co najmniej do jesieni 1978 roku, do wyboru polskiego papieża. Nie poniósłbym gorzkiej klęski. Nikt mi z tego powodu nie czynił wymówek, ale moja ambicja zawodowa ucierpiała i do dziś nie mogę sobie wybaczyć zaniedbania — do tego też wypada się przyznać. Bo gdyby wtedy Nowak nadal tyrał tam przy swym biurku w skrzydle A, kazałby nam zaraz na wiadomość o śmierci Jana Pawła I przygotować dokładny życiorys Karola Wojtyły. On miał nosa. W okólniku z 28 listopada 1974, apelując o sugestie co do człowieka roku, na czoło listy wysunął kardynała Wojtyłę. Dla niego nie ulegało wątpliwości, że to „pierwszy *papabilis* od czasu arcybiskupa Trąby”.

Na pewno skłinalibyśmy co niemiara, że to próżny trud, ale w chwili gdy kardynał Pericle Felici w tradycyjnym *habemus papam* wypowiedział imię *Carolus*, nasz *Central News Room* już dałby sygnał do pięciu narodowych redakcji dziennika radiowego, by do tekstu życiorysu Wojtyły dodały tylko datę wyboru i można to nadawać. Ale Nowaka już nie było, więc nasz CNR zdany był na agencje, a te znały tylko fragmenty. To co następnego dnia wyprodukowałem w pośpiechu, podały już w ciągu nocy agencje, więc się swymi wycieczkami po prostu wygłupiłem. Należało, tak jak to się nieraz zdarzało, popracować w nocy, wtedy przeszedłbym depesze, wśród tych pierwszorzędnym wywiad, jaki z Wojtyłą — nim został papieżem — przeprowadził dla *The New York Times* Tad Szulc (ten też miał nosa! i wtedy dogrzebałbym się do materiałów, jakie miałem w archiwum sekcji, a o których agencje — wtedy — nie wiedziały. Bo o to w naszej pracy zawsze szło: solidny, dogłębny resercz.

Kazimierz ZAMORSKI

Ostatni odcinek pracy p. Kazimierza Zamorskiego zamieszczamy z bardzo wielkimi skrótami, które autor „z największą niechęcią” zaaprobował. Dziękujemy za kooperatywność. — Redakcja.

gdy zamykają w więzieniach  
 pisanie wierszy  
 może się stać ucieczką  
 lecz  
 ja nie zamierzam uciekać

to jest moje życie  
 to jest mój kraj  
 to moje nieszczęście

i choć zapomniałem  
 jak się pisze wiersze  
 to przecież wiem  
 że tylko wiersz  
 może to wszystko  
 ocalić od zapomnienia

### JESZCZE ŻYJEMY

na czym to polega  
 że jeszcze żyjemy  
 bez praw i bez nadziei  
 oblepieni kłamstwem  
 codziennie przekraczając  
 granicę wytrzymałości  
 za którą czeka na nas  
 ciemna noc nienawiści

### JESZCZE JEDNA BEZSENNĄ

w nocy  
 jesteśmy najbardziej bezbronni  
 leżymy nasłuchując  
 kroków na schodach  
 szmeru windy  
 łomotu do drzwi

rano przemykamy chyłkiem  
 pod lufami czołgów  
 pod oczyma patroli  
 i tak biegniemy w ciemność  
 jeszcze jednej nocy

## Wiersze

Leszek SZARUGA

### CZAS MOROWY

**motto:**

*Wyległo w czas morowy ciemne mrowie  
 w struchlałym mieście — w czołgach pająkowie.  
 I w ciszy brząka muzyką jedyną  
 napięta w cieniu szpicla pajęczyna.*

Aleksander Wat

### NAGLE

nagle zapomniałem  
 jak się pisze wiersze

gdy po ulicach miast  
 defilują czołgi  
 pisanie wierszy  
 może się stać rodzajem terapii  
 ale  
 ja nie mam zamiaru się leczyć  
 chcę oglądać wszystko  
 takim jak jest

gdy zabijają ludzi  
 gdy ludzi katują

## RACJA

mówią: zwyciężyła  
polska racja stanu  
wojennego

## NOCNE ŻYCIE

Wylęgli się wylęgli  
tak dotąd wylękli  
wyleźli z ciemnych kątów  
smutni i wyklęci

teraz butni obłudni  
plugawym zastępem  
szczurzą armią wypełzli  
i lepka nić przęda

donosów kłamstw pomówień  
idą siewcy strachu  
książęta ciemności  
hieny cmentarne

## „ŚCIEŻKA ZDROWIA”

tylko nie  
myśleć  
o tym co będzie

jakoś to przetrwać  
jakoś to przeżyć

bo przecież muszę  
dać sobie radę

bo przecież można  
i to przetrzymać

tylko nie  
bijcie  
mnie tak okropnie

głowę w ramiona  
plecy skulone

to jeszcze tylko  
jakieś dwa metry

a później zbawcze  
mury więzienia

tylko nie  
upaść  
tu pod pałkami

RADIO WOLNA EUROPA  
NADAJE AUDYCJĘ  
„TELEFON — POMOST DO KRAJU”

W dalszym ciągu nadajemy  
wiadomości dla bliskich  
i krewnych w kraju  
od Polaków  
za granicą. Uwaga  
Gdańsk — przekazujemy  
pozdrowienia od Jana K.  
dla rodziców: Kochani  
wasz list doszedł  
ocenzurowany, o mnie się nie  
martwcie, na pewno  
się jeszcze nie raz  
spotkamy, paczkę  
z jedzeniem wysłałem, niech  
Bóg ma was w opiece, my tutaj  
codziennie  
modlimy się za Polskę  
prawdziwą, niech żyje  
„Solidarność”, zostaje  
w Kanadzie, gdy tylko  
będzie można  
przyjeżdżajcie do mnie.

## CZAS MOROWY

Nie siłą prawa, ale prawem siły  
Zwyciężyliście. A świeże mogiły  
Górników w ciemność wieczną pogrążonych  
Pamiętać będzie naród ciemiężony.

I pamięć iskrą stanie się zapalną  
Przez mrok niesioną, by gwiazdą zaranną  
Błysnąć wolności. Wtedy żadne armie  
Wam nie pomogą, ni policje tajne.

Bagnety, czołgi — wszystko to jest marność,  
Którą pokona nasza solidarność.

## TYLKO TAK

masz zapisywać fakty  
masz ocalać pamięć  
wiersz ma być dokumentem  
porzuć piękne słowa

przystałeś być poetą  
jesteś tylko świadkiem  
mów suchymi zdaniem  
bez ozdób bez metafor

zastrzeleni górnicy  
tobie swój głos oddali  
tylko tak mogą mówić  
tylko tak mogą krzyczeć

## GDY TAK SIEDZIMY

gdy tak siedzimy nad bimbrem  
ojczyzna nam umiera  
gniją w celach koledzy  
wolno się kręci powielacz

drukujemy ulotki  
o tym że jeszcze żyjemy  
grozi nam za to wyrok  
dziesięciu lat więzienia

gdzieś niedaleko patrol  
znów kogoś z nas zatrzymał  
pijemy jego zdrowie  
wiemy że nas nie wyda

Leszek SZARUGA

Impressum

WYDAWNICTWO WOJENNE

pozycja pierwsza

nakład 10 egz.

niniejszy tomik

wydano bez zgody autora

cena 20 zł.

Nie spekuluj!

L  
U  
T  
Y

1  
9  
8  
2

## KONTRAST-OFFSET-DRUCK

BREITENSTEINSTRASSE 33 • D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM  
TELEFON 08031 / 7777

Jedyna w RFN POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA wykonuje:  
książki (kredyt możliwy!), periodyki, prace naukowe, katalogi, prospekty,  
brozury, odezwy, ulotki, zaproszenia, blankiety, karty świąteczne  
itp. organizacyjne, społeczne, handlowe i prywatne druki.

**Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!**

## Archiwum polityczne

### Wynik trzeciej wojny światowej

Bodajże Aleksander Sołżenicyn pierwszy użył sformułowania „trzecia wojna światowa” dla określenia obecnej sytuacji politycznej. Na ten sam temat pisywali też autorzy polscy, głównie na łamach *Kultury*. Moją szczególną uwagę zwrócił tekst Zbigniewa Byrskiego pt. „Nowa faza w stosunkach Zachód - Sowiety”, ogłoszony w numerze z kwietnia 1981 roku. Pod tym artykułem podpisują się obiema rękami, z jednym tylko zastrzeżeniem istotnym i kilkoma innymi, mniej ważnymi. Autor twierdzi (*Kultura* nr 4/403, str. 56, przypis), że stara się „uzasadnić tezę, dla czego tak praktycznie wyglądająca 'doktryna' Breżniewa ma poważne szanse, by zakończyć się fiaskiem i rozkładem Imperium Sowieckiego”. Otóż mój pogląd na przyszłość świata w tym jednym punkcie diametralnie różni się od stanowiska Byrskiego, który zresztą ułatwia mi zadanie, bowiem na poparcie swej tezy o fiasku i upadku Sowieców przytacza tylko dwa argumenty. *Primo*: imperium od lat zżerane jest wewnętrznymi chorobami i *secundo*: Kremlowi wystarczy jeden poważny cios, aby dalsze rozkładające tę potęgę reakcje wystąpiły w trybie łańcuszkowym.

Przypomnę za chwilę główne tezy artykułu Byrskiego. Ciekawsza byłaby jednak refleksja nad następującymi zagadnieniami: co w obecnym układzie sił w polityce światowej stwarza przesłanki do wyrokowania o wyniku walki o świat? Jak dalece socjetyzm przeniknął już do tzw. wolnego świata?

Tytułem wstępu można postawić jeszcze jedno pytanie: jakaż to wojna toczy się obecnie? Zimna czy gorąca? Odpowiedź zabrzmiałaby paradoksalnie: wojna pokojowa. Sprzeczność jest jednak pozorna, bowiem osobliwość obecnej wojny światowej polega właśnie na tym, że toczy się ona przy użyciu metod, które z dotychczasowym, ustalonym znaczeniem terminu „wojna” niewiele mają wspólnego. Jest ona prowadzona pod hasłem pokoju, odprężenia i międzynarodowej współpracy (oczywiście każdemu czytelnikowi Orwella przypomni się jego prorocze:

wojna jest pokojem). A że z prowadzenia walki o świat mało kto na Zachodzie zdaje sobie sprawę, pisuje o niej niewiele autorów. Tymczasem obecne czasy z wielu względów okazują się decydujące dla przyszłości świata.

Półtora roku temu Gustaw Herling-Grudziński przytaczał w „Dzienniku pisanym nocą” dwa prawdopodobne scenariusze finlandyzacji Europy Zachodniej. Termin „finlandyzacja” zrobił w publicystyce zawrotną karierę. Jeśli przyjmiemy, że istotą „finlandyzmu” na płaszczyźnie stosunków międzynarodowych jest nieszkodzenie politycznym interesom ZSSR, to termin ów można obronić, ale jest on obraźliwy dla Finów, którzy swój obecny status zawdzięczają zbrojnej walce z sowieckim imperializmem. W ostatnich miesiącach w prasie światowej pojawiło się nowe słowo — „neutralizacja” — znacznie bardziej trafne i właściwie oddające istotę problemu. Żeby jednak skończyć już rozważania terminologiczne, wracam na chwilę do „Dziennika” Herlinga-Grudzińskiego. Wspomniane dwa fanta-polityczne scenariusze finlandyzacji Europy Zachodniej przewidywały — jako punkt wyjścia — zajęcie Spitzbergenu przez ZSSR (według prof. Łabędzia), a wedle Herlinga-Grudzińskiego — włączenie Jugosławii do bloku sowieckiego.

Otóż: dla sowieckiego celu panowania nad światem zajmowanie bądź włączanie czegokolwiek na terenie Europy nie tylko nie jest wskazane, ale byłoby wręcz niezmiernie szkodliwe. Europa ma nienaruszalny status, zagwarantowany Jałtą, Helsinkami i — przede wszystkim — naczelnym celem sowieckiej polityki. Terytorialna ekspansja Sowieców będzie kierować się wyłącznie na kraje Trzeciego Świata: Azję, Afrykę a w dalszej kolejności Amerykę Południową i Środkową. Lecz również te podboje będą się odbywały metodą pokojową; akcje typu „Afganistan” tylko w wypadkach skrajnych, kiedy Zachód zapomni o tym incydencie — czyli nieprędko (na pewno nie za prezydentury Reagana). Można ubolewać nad wątpliwą próbą pamięci historycznej na Zachodzie; Afganistan został przyłączony do Sowieców nie w grudniu 1979 roku — gdy weszła tam Armia Czerwona, lecz w roku 1978 — gdy w Kabulu dokonano inspirowanego przez Moskwę zamachu stanu.

W swej ekspansji na — jak je zwał Orwell — „obszary niczyje” Sowieci będą posługiwać się metodą dywersji, będą inspirować ruchy wyrotowe, szkolić i finansować grupy terrorystyczne, eksportować „postępową”, „antyimperialistyczną” (to chwyt!) propagandę, by w efekcie doprowadzać do instalowania w tych krajach posłusznych sobie ekip rządzących, wspieranych potem przez doradców z KGB.

Ciekawsza jest jednak taktyka Moskwy wobec Zachodu, a ściślej wobec Europy Zachodniej. Sowieckie zagrożenie militarne, łącznie z nuklearnymi raketami SS-20, wymierzonymi w zachodnie stolicy, jest zagrożeniem pozornym. Kreml nie ma najmniejszego zamiaru atakowania zachodu Europy ani instalowania tam sowieckiego systemu, ten ostatni rozłożyłby bowiem

sprawną, kapitalistyczną gospodarkę w tempie iście zawrotnym. Europa Zachodnia ma w sowieckim planie wyznaczoną rolę — jak określa to Byrski — *Hinterland*'u: dostawcy nowoczesnej technologii i żywności, dawcy pożyczek i kredytów. Bez tej pomocy sowieckie imperium nie mogłoby funkcjonować. Należy wyraźnie podkreślić, że tak widziana sytuacja Europy Zachodniej jest korzystna dla obu stron: Sowietom, którzy nie zamierzają w najmniejszym stopniu liberalizować swego reżymu polityczno-gospodarczego, gwarantuje potrzebne dostawy urządzeń, technologii i żywności (znaczna jej część sprzedawana jest przez Zachód za bezcen, pochodzi bowiem z nadwyżek produkcyjnych). Ale ów rozwój wymiany ekonomicznej jest również bardzo korzystny dla zachodniego kapitalizmu, bowiem siłą napędową tego systemu jest zysk i nie można go narażać na szwank poprzez stosowanie — dajmy na to — sankcji ekonomicznych. Drugim czynnikiem, równie interesującym dla Zachodniej Europy, jest możliwość importu tanich i nieprzebranych bogactw naturalnych, a w dalszej perspektywie — ewentualnie — korzystanie z taniej sowieckiej siły roboczej. Intensyfikacja współpracy ekonomicznej będzie oczywiście prowadziła do współzależności obu stron. Myli się jednak ten, kto sądzi, że ów stan mógłby służyć do wywierania na Sowiety skutecznej presji politycznej i że zachwianie wymiany ekonomicznej miałyby prowadzić do wewnętrznych trudności gospodarczych. To prawda, ale obawia się ich tylko Zachód. W państwie sowieckim trwa permanentny kryzys gospodarczy i wcale nie prowadzi on ani do rewolucji, ani do masowych wystąpień ludności. Dalsze obniżenie poziomu życia społeczeństwa czy braki żywności nie byłyby dla Sowietów tak groźne w skutkach, jak dla państw Europy Zachodniej wstrzymanie dostaw gazu ziemnego z ZSSR. Już niebawem Niemcy Zachodnie 40 % gazu ziemnego będą otrzymywać z Sowietów. Wstrzymanie tych dostaw pociągnęłoby za sobą trudne do opisanego następstwa. Jeżeli zatem intensyfikacja wymiany ekonomicznej prowadzi do wzrostu wzajemnej zależności, to niebezpieczeństwa wynikające z zaburzeń tej współpracy są nieporównywalnie groźniejsze dla demokratycznego Zachodu<sup>1</sup> niż dla ZSSR, gdzie obywatel jest pozbawiony jakiegokolwiek możliwości protestu przeciwko polityce państwa.

Trzeba wreszcie pamiętać i o tym, że sfery wielkiego zachodniego *business*'u, zainteresowane rozwojem produkcji i handlu, mają przemożny wpływ na politykę rządów. Naciski *businessman*'ów skutecznie uniemożliwiają efektywne stosowanie wobec ZSSR sankcji ekonomicznych. W artykule pod zmiennym dla naszych rozważań tytułem „Jak wygrać trzecią wojnę światową?” (*Kultura* nr 4/403) Jan Nowak wskazuje na embargo zbożowe

1. Obecnie zadłużenie bloku sowieckiego na Zachodzie przekroczyło poziom 90 mld dolarów. Wyobraźmy sobie — choć to niemożliwe — że następuje nagle zerwanie kontaktów ekonomicznych między Wschodem a Zachodem. Kto na tym traci?

wobec Sowietów jako na elementarną broń Stanów Zjednoczonych w rozgrywce z Moskwą. Akurat w czasie, kiedy artykuł ten ukazał się w druku, prezydent Reagan zniósł częściowe embargo zbożowe, nałożone na ZSSR przez Cartera po inwazji Afganistanu. To smutne; już od dawna świat nie usłyszał tylu prawd o charakterze sowieckich poczynań, jak właśnie w okresie dziesięciu miesięcy prezydentury Reagana. Ale nawet ów polityk — jeden z niewielu, którzy trzeźwo oceniają zamiary sowieckie — zmuszony był wyrzec się tej niezwykle skutecznej broni jaką jest embargo zbożowe. Reagan wygrał wybory głosząc hasło sanacji amerykańskiej gospodarki. Ponieważ jest to gospodarka kapitalistyczna, ważny jest tylko zysk i nie ma znaczenia, czy przynosi go wymiana z partnerem trzymającym 3 miliony swoich obywateli w obozach koncentracyjnych i trującym upartych Afganów iperytem.

Sankcje ekonomiczne wobec Sowietów byłyby skuteczne tylko w wypadku konsekwentnej i solidarnej postawy Zachodu. A Zachód ani nie jest solidarny, ani nikomu w Europie nie zależy na szkodzeniu interesom ZSSR. W tej sytuacji ograniczenia ekonomiczne jako broń przeciw Sowietom nie mają szans na zastosowanie. Użycie tego środka tylko przez USA Sowietom zaszkodzi w stopniu minimalnym a Stanom Zjednoczonym w ich obecnej sytuacji gospodarczej i politycznej przyniosłoby więcej szkód niż pożytku.

Biały Dom wiele spraw nazwał po imieniu: od inspirowania przez Moskwę ruchów terrorystycznych poprzez gigantyczne zbrojenia po dręczenie ludzi w kon-łagrach i więzieniach psychiatrycznych. Paradoks polega wszakże na tym, że obecna „twarda linia” Waszyngtonu sprzyja przyspieszeniu sowieckiego zwycięstwa w walce o świat! Bowiem celem Sowietów w tej wojnie jest doprowadzenie do neutralizacji Europy Zachodniej. A to dokonuje się właśnie na naszych oczach.

Reagan i jego współpracownicy wskazali na groźbę zagłady wiszącą nad zachodnią Europą. W Stanach Zjednoczonych podjęto szereg decyzji, które mają zrównoważyć sowiecką przewagę militarną. I słusznie. Ale w ponurym memento Waszyngtonu, kierowanym do zachodnich „sojuszników” (cudzośćw jest jak najbardziej uzasadniony) zawarta jest tylko część prawdy. Rzecz w tym, że Europie Zachodniej nic ze strony Sowietów nie grozi. W tej — jak to określa Byrski — nowej fazie stosunków z Zachodem Moskwa nie szykuje Europie Zachodniej żadnej zagłady. Wprost przeciwnie, zależy jej na jak najlepszej *prosperity* Starego Kontynentu.

Reagan mówi Europie o „teatrze wojny atomowej”, o „możliwości ograniczonego użycia broni nuklearnej” i o innych rzeczach wywołujących tu groźę, przestrasz i historyczną nienawiść do USA. Zaś Breżniew mówi o pokoju, współpracy i odprężeniu. Reagan tym bardziej jest bez szans, że jego ponure przestrogi nie mają się w żadnym stopniu rzeczywistości politycznej w Europie. Natomiast syreni śpiew Breżniewa ma mocne popar-

cie w rzeczywistym planie sowieckim: w Europie nikt się z nikim bić nie będzie<sup>2</sup>.

Sowieci mają dwa sposoby ostatecznego zhołdowania Europy Zachodniej: opanowanie zasobów energetycznych na Bliskim Wschodzie i osiągnięcie takiej przewagi militarnej, która gwarantuje Moskwie potrzebną pomoc ekonomiczną i ostatecznie stłumi europejskie protesty przeciwko podbojom Trzeciego Świata. Ten drugi czynnik (przewaga militarna) został już w zasadzie osiągnięty; obecnie taktyka sowiecka skupia się głównie na jej utrzymaniu. NATO stopniowo będzie się stawać fikcją; formalne istnienie sojuszu w niczym Sowietom nie zaszkodzi. Symbolem izolacji Stanów Zjednoczonych od Europy jest decyzja prezydenta Reagana o rozpoczęciu produkcji broni neutronowej, podjęta bez porozumienia z europejskimi aliantami. Decyzja ta mogłaby w zasadniczy sposób odwrócić losy trzeciej wojny światowej. Mogłaby — gdyby Europa Zachodnia natychmiast postanowiła rozmieścić na swym terytorium broń neutronową i równocześnie postawiła Sowietom ultimatywne żądania polityczne. Z wielu względów było to niemożliwe. Efektem amerykańskiej polityki ostatnich kilku miesięcy jest gwałtowny wzrost różnic politycznych między Europą Zachodnią a Stanami Zjednoczonymi. W ten sposób sowiecki cel został osiągnięty. I nie ma na to rady.

Europa Zachodnia ma zatem gwarantowane przez Sowietów bezpieczeństwo. Jeszcze jeden czynnik może je zwiększyć w znacznym stopniu — jednostronne jej rozbrojenie. Głosów takich pojawia się coraz więcej. Podobnie wielu zwolenników ma tzw. „opcja O”, w myśl której nie należy rozmieszczać rakiet amerykańskich, lecz natychmiast przystąpić do rokowań i prosić Sowietów o zabranie pocisków SS-20<sup>3</sup>. Łatwo przewidzieć rezultat rokowań, które Europa Zachodnia prowadziłaby mając przyłożony do głowy sowiecki pistolet atomowy.

Nacisk opinii publicznej i eksplozja hysterii antyamerykańskiej muszą wpływać na politykę rządów w Zachodniej Europie<sup>4</sup>. Pacyfistyczne manifestacje w Europie to zaiste ponura groteska: protestuje się przeciwko nieistniejącym rakietom ame-

2. Warto może przypomnieć, że szkicowany tutaj plan sowiecki został przedstawiony przez Breżniewa niemal *expressis verbis* już w 1973 roku, w czasie jego wizyty w Bonn (RFN jest z wielu względów najlepszym odprężeniowo-neutralistycznym klientem Sowietów w Europie). Wówczas oferty Budowniczego Pokoju przyjęto z uśmiechami niedowierzania. 8 lat później słowa Breżniewa stały się politycznym ciałem.

3. Tuż po napisaniu tego artykułu prezydent Reagan przedstawił własny wariant „opcji O”, w myśl którego odwraca się kolejność kroków zmierzających do likwidacji rakiet atomowych średniego zasięgu: jeśli Sowietci zdemonstrowają własny arsenał, Zachód zrezygnuje z Cruise'ów i Pershingów II.

4. Według przeprowadzonej we Francji ankiety na pytanie „co robić w wypadku ataku sowieckiego?”, 63 % respondentów odpowiedziało: natychmiast wszczać rokowania, a nie walczyć.

rykańskim, a nie przeciwko sowieckim SS-20 wymierzonym w zachodnie stolice. Oto *vox populi*.

Europa pozostanie Europą — ze swoją sprawną, wydajną i produkującą ponad własne potrzeby gospodarką, z demokratycznymi wolnościami, ze swoim zapleczem kulturowym. Jej spokojowi nie zamącą kolejne Etiopie, Afganistany, Nikaraguy. Straszak sowieckiego zagrożenia, w myśl którego Moskwa chce w całym świecie zainstalować komunizm, poszedł do lamusa historii. Błędna jest optyka wskazująca na konieczność takich kroków sowieckich jak zajmowanie Spitzbergenu czy włączanie Jugosławii. Nic z tych rzeczy. Tylko odprężenie, współpraca, pokój. I jeszcze raz pokój. Bo wojna jest pokojem.

A jednak ów pokój to największe zagrożenie jakie kiedykolwiek zawisło nad światem. Aby to zrozumieć, trzeba pojąć naczelną teleologię sowiectwu.

Zawarta jest ona w ideologii ukrytej, a jej wykładni szukać należy raczej w pismach Orwella niż w przemówieniach Breżniewa, na temat których w światowej prasie codziennie zachernia się miliony stron. Zachodni publicyści i politolodzy raz po raz odkrywają tę podniecającą (ich) prawdę, że w marksizm-leninizm nikt w Sowietach nie wierzy. W istocie tak jest, tyle, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Ideologia w systemie sowieckim funkcjonuje bowiem w określony sposób, funkcjonuje w schemacie gry, na której polega życie społeczne. W tym rozumieniu nie jest ważna treść ideologii, ważne są rezultaty jej propagowania. Paradoks — jeden z wielu w sowiectwie — polega na tym, że ludzie nienawidzą oficjalnej ideologii i jej nachełnego dyktowania. Ale systemowi zależy właśnie na tym, żeby ludzi wychowywać do nienawiści, by stworzyć w ten sposób osobliwą mentalność *hominis sovietici*. Ów system może trwać tylko w oparciu o specyficzną kondycję ludzką, którą określa równowaga strachu i nienawiści; nienawiści do postrzegalnych przejawów systemu, które jednak nie są tożsame z nierozumianymi przez obywatela tajnymi mechanizmami sowiectwu. Nienawiść zwraca się zatem przeciw oficjalnej ideologii i propagandzie, koszarowi codziennej rzeczywistości, hierarchii zależności w każdej niemal sferze życia obywatela, ale ta nienawiść tłumiona jest strachem przed omnipotencją zmitologizowanej i zmistyfikowanej władzy.

Ukryta ideologia systemu sowieckiego zakłada stałe dążenie do poszerzenia zakresu władzy, także w planie wewnętrznym, poprzez eliminowanie resztek wolności i dławienie każdej swobodnej myśli. Obecnie na oczach całego tzw. wolnego świata Sowietci ostatecznie likwidują ruch dysydencki. Toczy się za to już od ponad roku kolejna farsa w Madrycie. Mówi się tam m.in. o prawach człowieka (mówi się też o współpracy ekonomicznej — tzw. „drugi koszyk”; w tym punkcie wszyscy uczestnicy łatwo dochodzą do porozumienia, co w świetle powyższych wywodów nie powinno nikogo dziwić). Myli się niestety delegat amerykański Kampelman, twierdząc, że w Związku Sowieckim

prawa ludzkie są łamane. To nieprawda. W Związku Sowieckim prawa człowieka nie istnieją.

Nie jestem wielkim entuzjastą tzw. polityki praw człowieka. Łączenie polityki, która z moralnością z rzadka chodzi w parze, z zagadnieniami obrony wartości etycznych sprowadza się albo do dwuznacznych rezultatów, albo do częściej frazeologii w ustach tzw. mężów stanu. Antyhumanitarny charakter systemu sowieckiego jest oczywisty i taktyczne rachuby na to, że skompromituje się Moskwę wymieniając nazwiska 10 dysydentów świeżo zesłanych do łagru są po prostu nieporozumieniem.

Prawami człowieka winny zajmować się instytucje, które nie są związane polityczną koniunkturą i względami taktycznymi, jak Amnesty International czy Helsinki Watch Committee. Nie chcę przez to powiedzieć, że z kontaktów dyplomatycznych należy wyeliminować zagadnienie praw ludzkich. Stwierdzam tylko, że tzw. polityka praw człowieka nie ma najmniejszych szans na odwrócenie rezultatów walki o świat. Tragizm całej sprawy polega na tym, że żadna polityka tych rezultatów zmienić nie może.

Może warto krótko wspomnieć o zasięgu przenikania sowiectwu do świata zachodniego. Już obecnie system ten sięga nawet sumień ludzi żyjących w tzw. wolnym świecie. To wszystko jest rezultatem nie tylko wszechmocnej sowieckiej logokracji, której rozbrojony ideologicznie Zachód nie jest w stanie niczego przeciwstawić. To na Kremlu ustala się znaczenie słów pokój, postęp, odprężenie. A kto nie jest sojusznikiem Związku Sowieckiego, od razu rzecz jasna staje się reakcjonistą, elementem wstecznym i zimnowojennym. Słowo — to jedna z najważniejszych broni Sowietów. Ale nie tylko. Jest rzeczą oczywistą, że Moskwie zależy na wewnętrznej destabilizacji państw Zachodu. Celowi temu służą grupy terrorystyczne finansowane, zbrojone i szkolone przez ZSSR lub jego satelitów.

Działalność dywersyjna prowadzona przez Moskwę jest znakomitym przykładem realizowania celów ideologii ukrytej. Dywersja sowiecka w Iranie wcale nie miała na celu wprowadzania tam marksizmu-leninizmu. Krwawa dyktatura Chomeiniego jest bardzo antymarksistowska. Ale dzięki przewrotowi w Iranie przestał istnieć pakt CENTO — główny bastion zachodnich interesów w rejonie Bliskiego Wschodu.

Jak już wspomniałem, formalny udział Europy Zachodniej w NATO nie stanowi przeszkody dla sowieckiego podboju świata; nawet wprost przeciwnie. Istnienie NATO może przynieść Moskwie ważne korzyści propagandowe, bowiem Kreml ma do kogo zwracać się z kolejnymi propozycjami „odprężeniowymi” i „rozbrojeniowymi” (trudno byłoby wystąpić z taką ofertą np. do Szwajcarii). Rozbrojeniowe deliberacje trwają już od lat. Rezultat znany: zawrotny wzrost sowieckiej przewagi militarnej nad Zachodem (rezultat mniej znany: sowieckie eksperymenty z nową bronią chemiczną, używaną w Indochinach).

Już obecnie moskiewskie i wschodnioeuropejskie placówki „dyplomatyczne” potrafią skutecznie cenzurować środki przekazu w tzw. wolnym świecie. Potrafią cenzurować także ludzkie sumienia. Często odbywa się to przy zastosowaniu szantażu wizowego. Z panicznego strachu przed Sowietami nie ujawniono powiazań M. A. Agcy z bułgarską tajną służbą, która z polecenia Moskwy kierowała przygotowaniem zamachu na Ojca Świętego (kulisy tej sprawy przedstawił J. Nowak w 42 numerze *Tygodnia Polskiego*). Nawet język rozgłośni „Swoboda” nie rzadko przypomina sowiecką nowo-mowę.

Ale prócz potęgi słowa i działalności dywersyjnej wobec Zachodu Moskwa dysponuje także bronią o bardziej bezpośrednim sposobie rażenia. KGB jest dziś w stanie przygotować i przeprowadzić zamach na każdego przywódcę politycznego wolnego świata, który stoi na drodze sowieckim planom globalnego panowania. Dotknęło to dwóch wielkich postaci, Jana Pawła II i prezydenta Sadata.

Bezkarnie działają na Zachodzie policje polityczne z bloku wschodniego, nierzadko dokonując aktów terroru przeciwko aktywnym uchodźcom z własnych krajów. Zagadnienia te są mało znane społeczeństwom w obozie sowieckim, nawet w tak „otwartej” informacyjnie Polsce. Wybitny pisarz J. J. Szczepański, analizując w „Logice terroru” (*Więź* nr 7/8 z 1981 roku) sprawę zamachu na Papieża, zupełnie pomija problem inspiratorów tego aktu, co czyni rozważania autora — pomimo całej ich głębi — nieco jałowymi.

Czy można już dziś mówić o wyniku trzeciej wojny światowej? I czy rzeczywiście — jak sądzi Z. Byrski — istnieją jakieś symptomy rozkładu sowieckiego imperium? Autor twierdzi, że Sowiety zżerane są od lat wewnętrznymi chorobami. Jeśli za takie uznać demoralizację społeczeństwa, nikłą wydajność pracy, braki na rynku, rozpad więzi międzyludzkich, pijaństwo, plagę złodziejstwa i chuligaństwa — to w istocie — są to choroby, tyle że wyłącznie z zachodniego punktu widzenia. W sowiectwie są to cechy zupełnie naturalne i bezsensu jest przykładanie do nich zachodnich miar. Te zjawiska nie tylko nie świadczą o rozkładzie systemu, ale — ośmielę się twierdzić — dowodzą jego *ukrieplienija*. Podobnie fakt, że ZSSR nie jest w stanie wyżywić swoich obywateli nie jest żadnym objawem choroby sowieckiej gospodarki. Ta gospodarka nie potrafi zaspokoić elementarnych potrzeb społeczeństwa od ponad 60 lat. Ale to tylko dowód normalnego funkcjonowania sowieckiego systemu ekonomicznego. Zresztą Zachód chętnie pomoże.

Większość obywateli ZSSR zupełnie nie wie, że istnieją normalne wybory, demokracja, praworządność, swobody ludzkie. Nie wie i nie będzie wiedzieć. Kto zatem rozsądzi sowieckie imperium? Chyba nie grupka dysydentów, skutecznie izolowana w kon-łagrach i psychuszkach.



Choroba i to śmiertelna toczy natomiast Zachód. Można o tym napisać cały traktat, a nie kilka linijek w artykule. Ogólnie nazwałbym ten proces totalnym kryzysem cywilizacyjnym czy kulturowym, bo sięga on od moralności poprzez sztukę, kulturę polityczną po sferę zjawisk ekonomicznych. Zachód traci fundamenty jednoczące przez stulecia jego rozwój kulturowy; to zjawisko przenika całą historię XX wieku. Ze świadomości tego kryzysu wywodzi się naczelną kierunek obecnego pontyfikatu: odrodzenie chrześcijańskiej jedności Europy. Jeśli podstawą nowożytnej kultury politycznej były ideały demokracji i niepodległości, kodyfikowane w prawach narodowych i obywatelskich, to trudno dziś wskazać siłę polityczną, która chciałaby i mogła bronić tych zasad. Sowiecka ideologia jest zbiorem pustych frazesów. Stopniowo jednak Historia — nie bez pewnej pomocy Kremla — zaczyna się dostosowywać do niektórych haseł: zachodni kapitalizm wszedł w fazę rozkładu i gnicia.

Choroby toczą też Amerykę (najciekawsze teksty jakie czytałem na ten temat wyszły spod pióra Z. Byrskiego). I czy można pomijać taki istotny fakt, że obecna polityka Reagana, jego „twardy kurs”, zbrojenia, etc. będą natrafiały na coraz silniejszy opór amerykańskiej opinii publicznej? Jak wiadomo, politykę Breżniewa popiera 99,99 % sowieckich obywateli.

Zachód nie może wygrać trzeciej wojny światowej, nie można bowiem wygrać żadnej wojny, nie biorąc w niej udziału. Włącznie się Ameryki do tej rozgrywki — powodowane raptowną utratą wpływów na rzecz Sowietów — przyszło niestety za późno, gdy sprawa neutralizmu Zachodniej Europy została już przesądzona. Jak starałem się pokazać, żaden z wariantów politycznych (sankcje ekonomiczne, polityka praw człowieka, ofensywa ideologiczna) nie jest w stanie zmienić światowego układu sił. Szansy stworzonej przez amerykańską broń neutronową Europa Zachodnia nie chce wykorzystać, bo — w istocie — nie ma w tym żadnego interesu. Jest to dalekim refleksem lat 40-tych, gdy Zachód — dzięki posiadaniu bomby atomowej — mógł powstrzymać ekspansję komunizmu. Nie uczynił tego wówczas, tym bardziej nie uczyni tego teraz. Jedyнным czynnikiem, który rozłożyłby sowieckie imperium, byłaby „prawdziwa” wojna. Na niej jednak nikomu nie zależy. Mnie też nie.

Co w perspektywie cywilizacyjnej będzie oznaczać stopniowe rozszerzanie sowieckiego panowania nad światem? Na to pytanie mogliby odpowiedzieć uchodźcy z Wietnamu, z Afganistanu czy z Kuby. Tysiące Wietnamczyków wołają ryzyko śmierci w oceanie od udziału w „budownictwie socjalistycznym” we własnym kraju. Czy nie wiedzą o tym zachodni „mężowie stanu”? Wiedzą, a jakże. I humanitarnie udzielają pomocy uciekinierom, a nad problemem uchodźców obradują wysokie międzynarodowe gremia. Tylko że Wietnam jest daleko od Europy. Afganistan też.

Sowietyzm jest największą groźbą jaka zawisła nad cywilizacją śródziemnomorską. Jeżeli cywilizacja ta opiera się na war-

tościach, o których tak wiele mówi się z najpoważniejszych trybun politycznych — na prawach człowieka, na demokracji i wolności — to zasady te na coraz większych połaciach globu są teraz unicestwiane. Zachód bronić tych wartości nie zamierza.

Zatytułowałem ten artykuł „wynik trzeciej wojny światowej”. Chociaż ta wojna trwa jeszcze, jej wynik jest już znany.

Tomasz MIANOWICZ

Paryż, 5 listopada 1981

Najlepsze PACZKI do POLSKI

NOWY DOM WYSYŁKOWY

**PAKPOL**

4 BROWN ST., ASHFIELD, N.S.W. 2131

(naprzeciw stacji)

TELEFON: 799 8590

**Całkowity dochód PAKPOL-u przeznaczony jest na pomoc dla Polski (lekarstwa, żywność itp.)**

SPRAWOZDANIA Z DZIAŁALNOŚCI FINANSOWEJ PAKPOL-u PRZEDKŁADANE BĘDĄ COROCZNIE RADZIE NACZELNEJ POLSKICH ORGANIZACJI W AUSTRALII, A TAKŻE PODAWANE DO PUBLICZNEJ WIADOMOŚCI W PRASIE POLSKIEJ.

WYKONUJEMY NAJSZYBCIEJ ZLECENIA NA PACZKI LONDYŃSKIE, WIEDENSKIE I INNE.

POMAGAJĄC RODZINIE MOŻESZ TAKŻE POMÓC KRAJOWI!

## Kraj

# Nasza wielka stabilizacja

## *Interwencja wewnętrzna*

W parę dni po wybuchu „wojny polsko-jaruzelskiej” przeglądałem prasę zachodnią z okresu sierpnia 80 i następnych miesięcy. Zachód rozważał od początku interwencję i „znormalizowanie Polaków” jako oczywisty finał naszej rewolucji. My udawaliśmy sami przed sobą, że problem nie istnieje. Za każdym razem, gdy świat zewnętrzny pokazywał nam prężące się szeregi i rząd sowieckich bagnetów zamykaliśmy oczy. To była siła wyższa. Gdy minął okres nadzwyczajnego zjazdu partii, wszystkim zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło. Tymczasem w doktrynie Breżniewa o ograniczonej suwerenności państw socjalistycznych, syndrom czeski został uzupełniony o syndrom polski: nastąpiła interwencja i okupacja wewnętrzna. Ożyła cała sowiecka specyfika „kraju wyzwalanego”: szachowanie gorszym złem i kolejną utratą kolejnej „niepodległości”.

13 grudnia uświadomił nam karygodną naiwność naszej wiary w historyczny kompromis, jaki rzekomo miał się w Polsce dokonać. Wiary w to, że możliwe jest pogodzenie komunistycznego totalitaryzmu z autentycznym ruchem społecznym, że obie strony w imię nadrzędnych racji narodowych będą dążyć do kompromisu. I tak od mianowania Jaruzelskiego premierem każdy krok władzy usiłowano interpretować jako poszukiwanie — w wewnętrznych tarcjach frakcji partyjnych — wyjścia z ciężkiego impasu. Wiara w „historyczny kompromis” nie pozwalała widzieć w kolejnych wydarzeniach konsekwentnej gry na zwłokę rozpoczętej w sierpniu 1980 roku podpisaniami porozumień społecznych. Nieważnych przecież — jak głosi memento „Człowiek z żelaza” Wajdy — bo podpisanych pod przymusem.

Konflikt bydgoski okazał się z obecnej, wojennej perspektywy, nie tyle prowokacją wymierzoną w Jaruzelskiego co prowokacją jego ekipy, o czym świadczy fakt, że nie chciała ona jednoznacznego potępienia inspiratorów zajść. Potem przyszły kolejne etapy przygotowań do stanu wojennego: narastająca agresywność propagandy, prowokowanie strajków lokalnych, wysłanie wojskowych grup operacyjnych na prowincję. Atak na Wyższą Oficerską Szkołę Pożarnictwa był już próbą generalną. Zamiast śledzić następną walkę frakcji partyjnych trzeba wyciągnąć wnioski z rezultatu poprzednich walk. Ponieważ poszczególne ugrupowania aparatu walczą nie o programy, a o władzę, zwycięża zawsze złoty środek. W konfrontacji liberalizmu z zamordyzmem złotym środkiem jest liberalny zamordyzm. Nic więc dziwnego, że i tym razem poszczególne orientacje w KC doprowadziły do pata. Nie inaczej w końcu było poprzednio, gdy natolińczycy walczyli z puławianami, gomulkowcy z moczarowcami, gierkowcy z lobby Jaroszewicza. Dlaczego więc inny ma być rezultat starcia liberałów Jaruzelskiego z neostalinowcami? Argumenty merytoryczne mają znaczenie drugoplanowe. W walce o władzę liczy się tylko układ sił i nie ma nic bardziej względnego niż terminy „liberał” i „zamordysta”. Frakcja liberałów, biorąc za mordę, tłumaczy się zawsze przed społeczeństwem, że choć trochę je musiała przydusić ze względu na aparat. Frakcja zaś zamordystów tłumaczy się przed aparatem z jakiegoś ideologicznego ustępstwa tym, że choć trochę musi popuścić społeczeństwu cugli.

Wypowiadając wojnę narodowi partia wraca do swoich źródeł, do roku 1944. Będzie znów próbowała dzielić społeczeństwo i jednoczyć jego nieautentyczne organizacje (PZPR zapowiedziała to już na swoim nadzwyczajnym zjeździe, deklarując w uchwale zjazdowej wolę przewyciężenia rozłam w ruchu związkowym). Z wielu względów powrót do źródeł jako propozycja nasi okupanci jest już niemożliwy. Społeczeństwo zdobyło w masowej skali doświadczenie w walce politycznej. „Solidarność”, a przedtem jawna opozycja, nauczyły nas żyć w wolności. Można więc powiedzieć, że partia ma dziś dobre, sprawdzone koncepcje tylko nie dla tego kraju i narodu. Tym razem komunistyczny terror nie spadł na nas, mówiąc słowami Gombrowicza, jak klatka na ogłuszone ptaki. Sowiecka rutyna sztabowa, polegająca na otwieraniu kopert z dawno przygotowanymi dekretemi stanu wojennego wystarczyła zaledwie na kilka dni. Przegrana władza nastąpiła już w momencie, w którym zorganizowane w „Solidarności” społeczeństwo nie dało się zastraszyć i przystąpiło do walki strajkowej. Jaruzelski nie zdobył się na to, by powtórzyć polskimi rękami Budapeszt — należymy koniec

końców do cywilizacji zachodniej — nie zawahał się jednak przelać krew. Na tyle, by nas rozjuszyć i wzmoc determinację. Nie na tyle, by nas sterroryzować.

Intencje junty są jasne: „Solidarność” ma pozostać kadłubowym związkiem zawodowym, któremu trzeba zmontować nową ekipę ze starych działaczy, „ekstremistom” zaś na podstawie takich lub innych zarzutów zostaną wytoczone pokazowe procesy lub też deportuje się ich mniej lub bardziej dobrowolnie. PZPR opuszczona przez część dołów partyjnych zostanie poddana jeszcze odgórnej czystce, związki zawodowe przygotowują się do zjednoczenia i władze rozpoczną „husakizację” Polski. Marzenia a możliwości to jednak dwie różne rzeczy. Pokazują to już pierwsze procesy działaczy „Solidarności”, w których sędziowie, nawet w stanie wojennym, nie są dyspozycyjni wobec junty. Zapowiedzią „husakizacji” jest nie tylko propaganda, ale rozmaite warianty deklaracji wiernopoddanych (od „obojętnych” po poniżające w swej czołobitności), przy pomocy których władza „weryfikuje” społeczeństwo. Dylemat: podpisywać deklarację lojalności czy nie, odwraca uwagę od faktu podstawowego — funkcji samego aktu weryfikacji w niewoleniu społeczeństwa. Nie chodzi o sens deklaracji lecz o sytuację. Deklaracje lojalności mają w miejsce podziału: nie — komunizmowi, tak — wszelkim formom walki o demokrację, wprowadzić łagijną drabinę konformizmów. Jest więc obojętne, kto robi interwencję, Jaruzelski, UB czy ambasada sowiecka. Chodzi o „normalizację” społeczeństwa. Jeśli ktoś zgodził się być komendantem obozu pracy — jego problem. Gdyby cokolwiek w postępowaniu Jaruzelskiego świadczyło o myśleniu w kategoriach państwa niepodległego a nie — podległego Rosji, miał możliwość to już społeczeństwu udowodnić. Być może zasługi Jaruzelskiego dla Sowietów są większe niż przypuszczamy i polski eksperyment zapoczątkowany 13 grudnia 1981 roku jest początkiem militarystyki władz w bloku. Od dawna rozważa się wariant przejścia władzy po śmierci Breżniewa przez lobby wojskowych. Skoro, w myśl starego dowcipu, sowieccy marszałkowie nie noszą już baranich czapek, ponieważ pogłowie generałów rośnie szybciej niż pogłowie baranów, być może ktoś wyciągnie z tego wreszcie wnioski kadrowe.

Finał polskiego Sierpnia oznacza wyeksploatowanie kolejnej szansy ewolucji systemu. Jeszcze raz okazało się, że komunizm jest niereformowalny. Każda odwilż w krajach satelickich wydaje się Moskwie śmiertelnym zagrożeniem. Dla władzy komunistycznej wszystko, co nawet legalnymi środkami, w ramach umowy społecznej zbliża nas do autentycznej demokracji i autentycznej niepodległości jest niebezpiecznym ekstremizmem. Jedyną sensowną taktyką w tej sytuacji jest więc dawna taktyka sa-

mych komunistów. Walczyć w ramach systemu przeciw temu systemowi, jawnie — legalnymi środkami i niejawnie — nielegalnymi, i zawsze być przygotowanym na delegalizację.

Podstawową rzeczą, którą można zarzucić politykom 10-milionowej organizacji jest to, że traktowali zbyt dosłownie hasła, które głosili wobec władzy. Uwierzyli, że zdarzył się ten cud i w rozkładzie jazdy może się zmieścić ileś nowych pociągów „Solidarności”. Zapomnieli o wstępnym zastrzeżeniu, jakie zgłosił Kuroń używając tego porównania w sierpniu 80: jeśli rozkład jazdy nie zostanie zmieniony dojdzie do katastrofy. Czy 13 grudnia był konsekwencją ekstremistycznych żądań, czy natury samego systemu? Sądzę, że nieuniknioną przyczyną konfliktu między władzami a „Solidarnością” była autentyczność ruchu. W społeczeństwie, które prócz Kościoła składa się z samych fasadowych budowli powstało nagle coś, co musiało być zniszczone jako wzorzec, ukazujący ponurą prawdę naszego życia społecznego, albo wymienione na rzecz podobną tylko z nazwy. Przy obecnej koniunkturze międzynarodowej interwencja stała się nieunikniona. Sytuacja była tragiczna w klasycznym sensie tego słowa: każde wyjście było złe.

Zbyszek Bujak powiedział na początku grudnia: „Lepiej przegrać konfrontację, niż jej nie podjąć”. Dramatyzm grudniowej alternatywy, przedstawionej przez Bujaka polegał na wyborze między okopaniem się na pozycji wąsko rozumianego związku zawodowego („i to takiego, który nie będzie mógł nawet walczyć o rękawice robocze, bo ich po prostu nie ma”), a obroną autentyczności ruchu społecznego o demokratyczno-niepodległościowym charakterze. Zwolennicy pierwszego rozwiązania sądzą, że 13 grudnia był ostatecznym przekreśleniem naszych nadziei, zwolennicy drugiego, że 18 miesięcy naszej obozowej wolności trzeba traktować jako wielki krok ku niepodległości. Dla tych, którzy za początek walki uważają rok 1980, 13 grudnia jest przegraną wojną. Jednak dla tych, którzy początek wojny z narodem widzą w roku 1944 jest to tylko przegrana bitwa w wygranej kampanii.

### Błędy

Pora przeanalizować błędy „Solidarności”. Nie po to by rozważać możliwy do odwrócenia bieg wydarzeń, lecz by skorygować naszą politykę, by następna kampania w tej wojnie po raz drugi wypowiedzianej narodowi mogła być wygrana.

„Solidarność” politycznie nie sprostała konfrontacji. Mimo deklaracji gotowości dała się zaskoczyć. Nie była przygotowana

na działanie w konspiracji. Mimo spodziewanego ataku władz nie miała zastępczych struktur organizacyjnych, sieci informacyjnej, lokali. Niepotrzebnie odsłoniła całą infrastrukturę intelektualną społeczeństwa, nie pozostawiając drugiego rzutu, który mógłby podjąć dalszą działalność. Społeczeństwo natomiast, choć pozbawione przywódców, zareagowało w myśl zмовы społecznej: fala strajków i determinacja strajkujących stanowią świadectwo woli i zdolności samoorganizacji nawet w szokowych warunkach.

Spory, które prowadzono w opozycji w latach 1976-1980 i które zaznaczyły się ostro w ciągu ostatniego półrocza działań „Solidarności” okazały się jeszcze raz przedwczesne. Zagubiła się w nich podstawowa prawda, o której tak wiele przed Sierpniem i po Sierpniu mówił Bratkowski. Władza komunistyczna, choć ideologicznie wydrażona, wcale się nie sypie. Władza to nie KC plus sekretarze KW. To półmilionowa grupa społeczna zainteresowana funkcjonowaniem systemu w jego dotychczasowej formie. Rząd zawsze się wyżywi, jak stwierdził ostatnio rzecznik prasowy rządu — Urban. Samo postawienie przez „Solidarność” problemu walki o władzę było błędem propagandowym. Nie dlatego, że dało to władzy jakikolwiek pretekst do ataku na Związek, lecz dlatego, że odwróciło uwagę społeczeństwa od polityki globalnej: nie ma po co zdobywać władzy w państwie niesuwerennym, które geopolitycznie nie ma żadnych szans na finlandyzację. Skoro nie uległ jeszcze zmianie układ geopolityczny, samo przejście władzy jest tylko zastąpieniem wasala swoją osobą.

Walka o demokratyczną i niepodległą Polskę przybrała szkoldliwy charakter licytacji na słowa. Tromtadracja socjalna o Rzeczypospolitej Samorządnej i tromtadracja narodowa o Tym, który jest Majestatem Polski kroczącej do Niepodległości ścierały się w walce cieni. Był to spór nieistotny: nie powodował on zmian w rzeczywistości. Dotyczył tylko pewnego stanu w przyszłości i na podstawie domniemanego postępowania własnego i protagonisty wywodzono w nim swoje racje. W czasie tej licytacji na słowa zacierzewieni rozmówcy nie zauważyli czołgu za plecami i tego, że nie jest on papierowy. Wielkie słowa o zdobyciu władzy odegrały w wojnie polsko-jaruzelskiej taką rolę, jak guziki od munduru w propagandzie przedwrześniowej. Tę konfrontację lepiej było przegrać niż jej nie podjąć. Dzięki temu syndrom polski lat 80-81 nie przypomina syndromu czeskiego z 1968 roku. Ale co innego podjąć konfrontację w świadomości siły przeciwnika, a co innego w naiwności okraszanej patosem. Trzeźwość w ocenie perfidii komunistów pozwala nawet w niepowodzeniu i przegranej uniknąć szoku. Tymczasem tego uniknąć się nie dało. Poważna część społeczeństwa jest zawiedziona i zastraszona.

Przywódcy „Solidarności”, których obowiązkiem było być bardziej czujnymi i kompetentnymi niż ich współobywatele, okazali się łatwowierni. Między stanem, w którym po „bibułę” w siedzibie „Mazowska” stała kolejka jak po kiełbasę (tyle, że bez kartek), a stanem, w którym otwarcie rozcina się i cenzuruje nasze listy, jest przepaść — nikt nikogo na nią nie przygotował. Między stanem, w którym złapanie kogoś z bibułą oznaczało zatrzymanie na 48 godzin i niezależne życie przypominało zabawę w policjantów i złodziei, a stanem wojennym, w którym za to samo „przestępstwo” dostaje się kilkuletni wyrok, jest pustka. Jeśli tylko nie zdołamy szybko odtworzyć ognisk oporu społecznego, tę pustkę wypełni strach i przygnębienie, towarzyszące każdemu odpływowi fali rewolucyjnej.

Niewątpliwie oprócz wspaniałych cech, które ujawniły się w ludziach w ciągu ubiegłych miesięcy, trudno nie zauważyć rysów świadczących o zsowietyzowaniu naszego społeczeństwa, większym niż to na ogół o sobie sądzimy. Łatwość wybuchu sporów wokół kwestii — jak czas pokazał — zupełnie nieistotnych wynika z charakterystycznego dla *homo sovieticus* skupienia na warstwie słownej, makroekonomicznej i ideologicznej, i nieumiejętności przełożenia abstrakcyjnych postulatów politycznych na codzienne, normalne życie. Dużo łatwiej byłoby nam dziś bronić zdobyczy „Solidarności”, gdyby ramy wolności przez nas wywalczone zostały zagospodarowane tysiącami małych i średnich inicjatyw społecznych i gospodarczych. Tak się jednak nie stało. Panowało typowe dla *homo sovieticus* przekonanie, że rewolucje robi się dopiero po dojściu do władzy. To jeden z grzechów najcięższych. On właśnie umożliwia przeniesienie każdego pytania o sens i możliwość rozpoczęcia jakichś działań organizacyjnych na szczebel abstrakcyjny. Wszelkie niemożności sprowadza do braku społecznej i narodowej niezależności, do braku wyjściowych, fundamentalnych warunków. Argument rzucany w twarz władzy zaczyna paraliżować samych obywateli.

Jeśli w nasz niepodległościowy radykalizm nie wpisujemy tego, co prof. Kurowski określił jako gospodarcze podstawy niepodległości, stracimy nie tylko nadzieję na silne państwo w przyszłości, ale stracimy ludzi. Bowiem najgorsze nasze cechy narodowe komuniści wyciągają i wzmacniają: tę tradycyjną lekomyślność, niegospodarność, chciwość, skłonność do pustosławia, odziedziczymy jako rewers odwagi, determinacji, umiłowania wolności i godności ludzkiej. Dziś będąc jako społeczeństwo w defensywie musimy tym ostrzej widzieć ten problem. Nie musimy być Winkelriedem Narodów. Czechosłowacja i Węgry będą po komunizmie w dużo lepszej sytuacji niż Polska — wolny nędzarz Europy.

*Warianty działań władz*

Skrajny „pozytywny”: władze mają szlachetną intencję zreformowania kraju, likwidują biurokrację sprowadzając ją do menadżerskiego minimum. Junta dyktuje aparatowi partyjnemu głęboką reformę gospodarczą, której tak chciało społeczeństwo, reaktywując „Solidarność” jako czysty związek zawodowy. Władze pozwalają na kanalizowanie inicjatyw gospodarczych i społecznych w ruchu samorządowym i we władzach lokalnych, zakładając że militaryzacja centrum wystarczająco je wzmacnia. Trudno powstrzymać się od ironii opisując ten wariant.

Wariant pośredni: reforma jest kontynuacją uprawianej od Sierpnia polityki małych kroków, co umożliwi brak zorganizowanej presji społecznej. Junta rozpoczyna parę propagandowych inwestycji, czego zapowiedzią może być budowa metra w Warszawie. Reaktywuje „Solidarność” w formie kadłubowej, przygotowaną z góry do zjednoczenia z innymi związkami zawodowymi. Związane z tym walki członków „Solidarności” o „godny kompromis” przypominają doświadczenia socjalistów z PPS w początkach dyktatury komunistycznej i ich „jednoczenie” z PPR. Odbywa się rugowanie przerostów w administracji przez umożliwienie ludziom wejścia na rynek prywatny. Junta zagrożona bankructwem ratuje się NEP-em, szczególnie dla wybranych. Inicjatywy samorządowe wracają do dawnej fasadowej postaci.

Wariant „czarny”: militaryzacja władzy obejmuje także sferę gospodarczą. Niekompetencja wojskowych wyzwala kolejne kryzysowe zjawiska. Utrwała się obecna postać rządów: komunizm wojenny. Robotnicy przez politykę akordu doprowadzeni są do nędzy i przepracowania. Reforma gospodarcza jest tylko etykietą podwyżki cen, następuje radykalny spadek poziomu życia ludności.

Trudno określić stopień prawdopodobieństwa realizacji poszczególnych wariantów. Nie możemy rozważać, co sami zrobilibyśmy na miejscu Jaruzelskiego. Nie przypadkowo nie jesteśmy na jego miejscu. Dzisiejsi komuniści-nie-komuniści, choć pozbawieni obciążeń ideologicznych żyją w innym świecie niż my, mają inne mózgi i inne sumienia. Władze posługując się nowo-mową w swoich, nawet tylko wewnętrznych, dyskusjach o obecnej sytuacji, nie są w stanie takim instrumentem intelektualnym jasno sprecyzować celu swoich działań. Nie mówiąc już o możliwości odczytania reakcji społeczeństwa. Na przykład realizując wariant pośredni Jaruzelski może uważać go za skrajnie pozytywny. Mimo tych szumów informacyjnych najbardziej prawdopodobna wydaje się polityka wiecznego pata, najbardziej schematyczna

i zgodna z trzydziestosiedmioletnią tradycją lokalną. Ani neostalinizm, ani nasza mała stabilizacja już nie przejdą — stopień biernego oporu jest zbyt duży. Władze będą musiały iść na koncesje wobec społeczeństwa, ale będą to koncesje czysto ekonomiczne i z definicji nie przełamają obecnego kryzysu. Każda bowiem nowa, zdrowa ekonomicznie struktura będzie jednocześnie inną nie-łagierną strukturą społeczną, w której aparat widzi zagrożenie.

Walka pozycyjna o reformę, którą „Solidarność” prowadziła z władzą przez 18 miesięcy musi być zastąpiona wojną partyzancką: każda niezależna struktura ekonomiczna, każde niezależne działanie to kawałek umocnionego terenu, który trudniej będzie zdobyć przeciwnikowi w każdej konfrontacji. Nieprzypadkowo jedno z pierwszych posunięć władz wojskowych to kolejna etatyzacja pracy. Wolność może dać albo samorządna organizacja albo też samowystarczalność i podporządkowanie tylko prawom rynku. Dla komunistów każde z tych wyjść jest złe.

Reakcja społeczna na tak złożoną sytuację, w której nie tyle wygrywa jakaś orientacja, co równolegle realizowane są przeciwstawne często intencje władz, musi być wieloplanowa. „Jeśli chcemy utrzymać w działaniu jedność i nie dać się 'znormalizować', musimy zachować środki komunikacji społecznej: wolną prasę i niezależne wydawnictwa (...). Zasadą powinno być tworzenie niezależnych grup działających według własnych schematów. Odtworzenie regionów Związku czy powołanie odgórnie jakichś ogólnopolskich organizacji grozi w pierwszej fazie masowymi wyspami. Nie można powielić doświadczeń KOR-u czy 'Solidarności' w zupełnie zmienionej sytuacji” — pisaliśmy w jednej z pierwszych ulotek: „Solidarność w stanie wojennym”. Odnowie totalitarnego państwa, jaka nastąpiła 13 grudnia nie można przeciwstawić Państwa Podziemnego na wzór lat 1939-45. Można natomiast stopniowo z niezależnych grup oporu budować instytucje Podziemnego Społeczeństwa.

*Nasza wielka stabilizacja*

Co jest zdobyczą tych 18 miesięcy, których już nikt nam nie zabierze? To, że nie tylko 10 milionów ludzi a cały naród był wolny w obozie. Nie mógł rządzić, ale żył niezależnym, samorządnym życiem społecznym. Jeśli jeden na stu członków „Solidarności” wykaże się determinacją i podejmie działalność polityczną mimo stanu wojennego, a jeden na dziesięciu będzie z nim sympatyzował, to mamy już 100-tysięczną podziemną organizację i milionową społeczność jej sympatyków. To jest prawo

wielkich liczb, któremu władza na dłuższą metę nie może nic przeciwstawić. „Człowiek z żelaza” Wajdy jest dziś filmem szkoleniowym: jak romantyczny wysiłek osamotnionej elitarnej grupy solidaryzującej się ze sterroryzowanym społeczeństwem owocuje solidarnością całego społeczeństwa.

Na nic nie zda się taktyka „patrzeć i czekać” aż sytuacja się ustabilizuje. Po każdym siłowym zduszeniu fali społecznego buntu: po 1956, 1968, 1970 i 1976 roku, przychodziła fala rezygnacji i apatii. Tej fali społecznej bierności próbowały się przeciwstawić nieliczne grupy opozycyjne przekonując społeczeństwo, że ważniejsze od obiegowej mądrości — „wiadomo jak to się skończy” jest wspomagać to, o czym nie wiadomo jeszcze jak się zacznie. Każda odnowa w Polsce była w swoim ostatecznym, faktycznym wymiarze zaskoczeniem dla jej uczestników. Marconi „komandosi” byli zapalnikiem bomby, której siły wybuchu nie znali. Jednak gdyby tylko „patrzyli i czekali”, rewolta nigdy by nie wybuchła lub skończyłaby się na tym, czego chciała władza — na antysemickiej prowokacji.

Podziemnego Społeczeństwa nie powołamy do życia tak jak powstawał ruch oporu po 1939 roku. To znaczy na zasadzie uformowania się elit kierowniczych i wypełniania kolejnych szczebli struktury organizacyjnej. Potrzebne są równoległe różne metody, schematy organizacyjne i techniki działania. Nie wszyscy nadają się do każdego rodzaju pracy organizacyjnej. Sieć kontaktów będzie bardziej mozaiką powiązań niż piramidą wojskowych zależności. Zbiorowe jawne wystąpienia muszą budować solidarność bez przywódców i inicjatorów. Działania niejawne muszą mieć zwartą, sprawną i dobrze zakonspirowaną sieć organizacyjną. Nigdy już nie ma w naszej walce miejsca na takie odkrywanie kart, by sprzedając posądzenia o nielegalne działanie (a cóż jest w tym systemie legalne?), samemu ułatwiać robotę drugiej stronie. Władza podejrzewa całe społeczeństwo, dopóki musi liczyć się z inwigilacją 10 milionów obywateli jest rzeczywistość bezsilna. Po to niezbędna jest zmowa społeczna: współdziałanie elit opozycyjnych z milczącą większością. Tajna organizacja to nie ukrywające się osoby, a ukryte powiązania między ludźmi, ukryte struktury. Jawna dla władz musi być tylko nasza solidarność.

Natomiast nie stać nas już dziś na solidaryzm poprzednich miesięcy, na rozmywanie naszego systemu wartości, na sprawdzanie wielkich narodowych symboli i autorytetów do rangi sentymentalnych odniesień i rozpoznawczych etykiet. Kiedy nie tak dawno cała „Solidarność” krzyczała wielkim głosem o wolne wybory do rad narodowych, przypomniałem sobie z zażenowaniem

nie tak znowu odległy od Sierpnia cyrk wyborczy. Miliony ludzi wbrew wezwaniom i perswazjom opozycji uczestniczyły potulnie w obrządku, który — trzeba to sobie jeszcze raz powiedzieć — świadczy nie tylko o komunistach, ale i o nas. Nikt za indywidualny akt bojkotu wyborów nie zostałby zwolniony z pracy, w najgorszym razie skończyłoby się na pogróżkach. O tym wielu w „Solidarności” zapomniało. A takiej właśnie solidarności i umiejętności takich demonstracji będziemy teraz musieli dawać dowody. Pójść — nie pójść na wybory, rozmawiać — nie rozmawiać z UB, podpisać — nie podpisać aktu lojalności, ta suma indywidualnych decyzji, milczących protestów wobec psychicznego terroru, wyznaczy poziom naszej wolności. Nie możemy tolerancji dla ludzkiej słabości relatywizować aż po formułkę, że przecież oświadczenie podpisane pod przymusem nie jest ważne. To tylko mądrość Polaka po szkodzie. Jeśli po oczyszczającej kąpieli ostatnich kilkunastu miesięcy zaczniemy znów interpretować nasze postępowanie w kategoriach nowomowy, spadniemy z wyżyn na dno. To, co pozostało nam jako masowy odruch solidarności w stanie wojennym, to rygorystyczne okopanie się na pozycjach legalistów i odmowa życia w kłamstwie. Nikt za bojkot wyborów, pochodów pierwszomajowego i podobnych poniżających hec nie zginie na stokach Cytadeli. Dni, które upływają są dla nas ciężką próbą rozmienniania wielkich słów na codzienny upór i odwagę.

Wkraczamy, jak sądzę, w etap naszej wielkiej stabilizacji przed ostatecznym zburzeniem porządku jałtańskiego. Można już zaryzykować określenie horyzontu czasowego eksperymentów, jakie komuniści przeprowadzają na umęczonym ciele Polski. Sądzę, że jest to dziesięć, może piętnaście lat. Jak naiwny i wygodny nie byłby Zachód, imperialistyczna polityka Sowieców dotknie w końcu jego nienaruszalnej, strategicznej strefy interesów. Rosjanie muszą iść naprzód, bo nie mogą się cofnąć. Albo będą w walce o pokój kontynuować podbój świata, albo muszą przyznać się do porażki gospodarczej i militarnej we współzawodnictwie ze Stanami Zjednoczonymi. Zarówno zimne jak i gorące wojny przegrywa przeciwnik słabszy ekonomicznie. Każdy, choćby tylko krótkotrwały paraliż Sowieców, związanych kolonialnymi awanturami czy odśrodkowymi ruchami narodowościowymi, będzie dla nas sygnałem do rozpoczęcia walki niepodległościowej. Do tego nie wystarczy, jak pokazał grudzień 81, być dobrze zorganizowanym społeczeństwem. Musi być jeszcze dobrze zdezorganizowany aparat namiestniczej władzy. Niejeden ustrój totalitarny upadł dzięki współdziałaniu demokratycznej opozycji z ruchem młodych oficerów. Wojsko musi być objęte pracą niepodległościową.

Zasadą stalinowską było: kto nie z nami, ten przeciw nam. W 1956 roku odwrócono ją: kto nie przeciw nam, ten z nami. Inne credo naszej małej stabilizacji brzmiało: wy nam dajcie rządzić, my wam damy żyć. Istotą naszej wielkiej stabilizacji jest powszechne poczucie prowizoryczności komunistycznej władzy. Nie ma żadnych szans na powtórzenie dramatu stalinowskiego. Społeczeństwo nie da się zastraszyć. Elita opozycji z lat 1976-1980 została rozbudowana do dziesiątków tysięcy działaczy, których zapleczem są dawni członkowie „Solidarności”. Teraz my możemy powiedzieć: kto nie przeciw nam, ten z nami. I my możemy powiedzieć: dajcie nam żyć, to damy wam rządzić.

Maciej POLESKI

## Reformy gospodarcze Jaruzelskiego

### Zaniedbana alternatywa

Zaniedbaną, jeśli nie zaprzepaszczonej alternatywą do rządowego programu PRL wyprowadzenia kraju z kryzysu gospodarczego była, jest i — jak sądzę — będzie koncepcja polskiego NEP. Koncepcja ta nie została nigdzie wyraźnie sformułowana, ale jej elementy znaleźć można w różnych projektach reformy gospodarczej. Powiedzmy od razu, że pod hasłem NEP rozumieć należy program pragmatycznego działania w szczególnie ciężkich sytuacjach. Program ten powinien być wolny od założeń ideologicznych i całkowicie nastawiony na rzecz dziś najważniejszą, jaką jest pobudzenie ludzi do pracy twórczej i wydajnej oraz możliwie szybkie zaopatrzenie kraju w środki żywności i artykuły pierwszej potrzeby.

Z alternatywy tej nie skorzystał Jaruzelski. Dla ratowania partii i jej założeń ideologiczno-strategicznych dokonał zamachu stanu i wprowadził naładowaną sprzecznościami gospodarkę koczarską. Po niemal trzech miesiącach tej gospodarki, nadal jeszcze kontynuowanej, przeprowadził w dniu 26 lutego przez Sejm uchwalenie pakietu ustaw gospodarczych. Ustawy te — do których później powrócę — stanowią „legislatywne podstawy reformy”, oczywiście „reformy systemowej” według projektu rządowego, a więc bez uwzględnienia postulatów i aspiracji społeczeństwa.

### Projekty reformy gospodarczej

Przypomnijmy, że wszyscy w kraju jednomyślnie wypowiedzieli się za koniecznością gruntownej reformy gospodarczej, ale wychodzili z różnych założeń, które tę reformę warunkują. Sformułowano wiele projektów. W rezultacie powstał obraz zamazanego tła ustroju społeczno-gospodarczego z jaskrawym uwytkowaniem wielości konkretnych postulatów, leżących często w sferze pobożnych życzeń<sup>1</sup>.

Autorzy memorandum DIP zakładali nie bez racji, że rozważania nad reformą zakreślone być powinny: a) istniejącą w Polsce organizacją państwową, której nie da się zmienić z dnia na dzień; b) pozostawianiem PRL w dotychczasowych układach politycznych przy jednoczesnej konieczności c) zachowania związku z Zachodem. Przy tych założeniach szukano możliwości korektury systemu sprawowania władzy i wskazań dla poprawy gospodarki.

Podstawą oficjalnego programu rządowego był projekt Komisji do Spraw Reformy Gospodarczej<sup>2</sup>. Projekt ten zmierzał do „urzeczywistnienia socjalistycznej odnowy” przez „kompleksową reformę gospodarczą”. Zachowując w zasadzie model organizacji państwowej chciano zmienić „autokratyczny system sprawowania władzy i błędną woluntarystyczną politykę społeczno-gospodarczą”. Opierając się na doświadczeniach krajów socjalistycznych, a zwłaszcza — jak podkreślono — Węgier i Związku Sowieckiego, postulowano: rozwój demokracji socjalistycznej i samorządności we wszystkich jej formach; uspołecznienie procesów zarządzania; zapewnienie prawidłowego sprawowania przez partię przewodniej roli w społeczeństwie; zapewnienie „socjalistycznego, planowego charakteru rozwoju kraju” oraz „umocnienie strategicznej roli planowania centralnego” jako jedną z podstaw gospodarki socjalistycznej.

Alternatywną koncepcją reformy był m.in. projekt zespołu młodych ekonomistów pod przewodnictwem L. Balcerowicza<sup>3</sup>, którego głównymi punktami były: decentralizacja gospodarki; całkowite wyeliminowanie rozkazodawczego centralnego planowania i zastąpienie go przez planowanie indykatywne; samofinansowanie się przedsiębiorstw; reforma pieniężna i budżetowa; zastąpienie systemu administracyjnego wyznaczania cen przez mechanizmy wolnego rynku.

Niezależne Samorządne Związki Zawodowe „Solidarność” nie sprecyzowały wyraźnie założeń. Ich program polityczno-gospodarczy, przyjęty na kongresie w Gdańsku w końcu października

1. Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, Memorandum *Jak z tego wyjść?*, Paryż 1980.

2. „Podstawowe założenia reformy gospodarczej” (projekt), nakładem *Trybuny Ludu*, Warszawa, styczeń 1981.

3. „Reforma Gospodarcza — główne linie kierunkowe i metody realizacji” — publikacja w *Życiu Gospodarczym*.

1981, zmierzał jednak wyraźnie do nadania istniejącemu w kraju systemowi innego oblicza. Trzeba jednak stwierdzić, że i ten program daleki był od tendencji „kontrrewolucyjnych”, co Sowietom i władze PRL zarzucają „Solidarność”. Nowy system miał być nadal systemem socjalistycznym z dominującą cechą idei altruistycznej i kolektywizmem, jako zasadą organizacyjną. Tym ideom i zasadom nadano jednak inny sens w nawiązaniu do etyki chrześcijańskiej, tradycji narodowej i tradycji demokratycznej polskiego ruchu robotniczego<sup>4</sup>.

Formułując te założenia „Solidarność” nie zdołała uzgodnić w swym łonie jednolitego programu gospodarczego. Kongresowi przedłożono trzy projekty: rewizjonistyczny, reformistyczny i pragmatyczny<sup>5</sup>. Załączono je w aneksie do ogólnej uchwały programowej, jako materiał do dalszej dyskusji. W dziale VII Uchwały powiedziano tylko: „Porozumienie w sprawie reformy gospodarczej wymaga współdziałania władzy i społeczeństwa na rzecz radykalnej zmiany dotychczasowego porządku gospodarczego. Reforma zagwarantować powinna zarządzanie zakładami pracy przez załogi w systemie gospodarczym kojarzącym prawa rynku z uspołecznionym planowaniem”.

Kreśląc projekty reformy ekonomicznej w kraju nie byli zgodni co do tego, jak można możliwie szybko wyjść z kryzysu. Większość domagała się reformy „gruntownej”, „głębokiej”, „radykalnej” i jej szybkiego całościowego wdrożenia, jako warunku poprawy gospodarki. Inni, nie negując konieczności reformy jako sprawy na długą metę, zalecali przede wszystkim program działań doraźnych. Postulowali najpierw przeprowadzenie operacji deflacyjnej, a więc zniesienia lub zmniejszenia tzw. „nawisu inflacyjnego”, wyrażającego się w olbrzymiej sile kupna dochodów pieniężnych przy niskich oficjalnych cenach towarów i ich braku na rynku. Uważali, że właśnie ta operacja musi wyprzedzić reformę systemową.

Jaruzelski zamachem stanu z 13 grudnia zlikwidował dyskusję, podobnie jak Stalin (o czym później) w roku 1927. Opowiedział się po stronie ekonomistów, idących utartym torem praktyki komunistycznej administracji. Zdecydowano się na wielokrotnie już stosowany zabieg podwyżek cen, który w zastosowaniu do gospodarstwa PRL przybrał rozmiary brutalnej operacji deflacyjnej. Zabieg ten sprezentowano jako „pierwszy etap wdrożenia reformy”.

### Reforma cen

W krajach komunistycznych struktura cen i płac, zabezpie-

4. Broszura „Uchwała programowa I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” oraz załącznik do nr. 24 tygodnika *Solidarność* z 11 września 1981.

5. Te trzy projekty omówiłem w artykule „W błędnym kole reformy” drukowanym w londyńskim *Tygodniu Polskim* nr 52 z 24.12.1981.

czająca równowagę rynkową, jest „piętą achillesową” centralnego planowania. Głównym powodem zaburzeń jest stale w tych krajach praktykowana inflacja pieniężna jako środek finansowania planów uprzemysławiania. Antycypacyjne kredyty banków emisyjnych nie znajdują odpowiednika we wzroście wydajności pracy (brak motywacji ekonomicznych). Co pewien czas zachodzi potrzeba wyrównywania zwicznijętej równowagi przez reformę cen, która — w braku regulacyjnej funkcji wolnego rynku — jest w systemach socjalistycznych rodzajem reformy monetarnej.

W ZSSR wielokrotnie uciekano się do tego zabiegu. Świeżo zastosowano go znów w Czechosłowacji, podnosząc ceny przeciętnie o 27% i w Rumunii — o 35%.

Reforma cen była w Polsce niewątpliwie konieczna. Równowaga rynkowa została poważnie zwicznijęta nie tylko przez fałszywą politykę cen i płac i brak podstaw dla ich właściwego administracyjnego wyznaczania, ale też — trzeba to przyznać — przez opory społeczeństwa, protestującego ze zrozumiałych względów w sytuacji powszechnej biedy przeciwko reformom za czasów Gomułki i Gierka. Przykładowo tylko: nie można było tolerować absurdu, że jeszcze w połowie 1981 roku cena sprzedaży 1 litra mleka wynosiła 2,90 zł przy żądanych przez „Solidarność wiejską” 14 zł i obliczanych w niektórych skolektywizowanych gospodarstwach kosztach własnych około 20 zł. Różnicę subwencjonowano z budżetu państwowego. W roku 1981 subwencje rolnicze obliczano na astronomiczną kwotę około 360 mld zł.

Niszcząc pluralistyczne struktury powstałe w ostatnich 16 miesiącach przed zamachem, stosując terror i wprowadzając zakaz strajków — reżym wojskowy miał oczyszczone pole dla rozwinięcia strategii cen. Piszę „strategii”, a nie polityki, gdyż w systemach komunistycznych stale jeszcze uprawia się nie politykę gospodarczą ale strategię polityczną dla osiągnięcia celów marksizmu-leninizmu.

Do 13 grudnia 1981 podwyżka cen, którą wszyscy uznali za konieczną, traktowana była w dyskusjach jako integralna część ogólnej reformy gospodarczej pod hasłami samodzielności, samorządu i samofinansowania przedsiębiorstw. W projekcie Komisji do Spraw Reformy Gospodarczej „wdrożeń reformy cen zaopatrzeniowych oraz parametrów i regulatorów ekonomicznych” przewidywano dopiero w trzeciej fazie prac nad reformą po uprzedniej gruntownej pracy przygotowawczej. Rząd Jaruzelskiego zdecydował inaczej.

Jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego, w końcu listopada 1981, zarządzono wyższe ceny na alkohol o około 50% a benzynę o 70% bez rekompensant. Cenę benzyny podniesiono z 12 na 32 zł za litr, co równa się mniej więcej jednogodzinnemu zarobkowi robotnika. Tym zarządzeniem nie można było oczywiście złagodzić „nawisu inflacyjnego”.



Od 1 lutego 1982 zarządzono podwyżkę cen podstawowych artykułów żywnościowych, opału i energii, jako główne uderzenie deflacyjne. Zmiany cen były kompromisem między projektem Komisji Cen (prof. Krasiński) i Komitetu Gospodarczego (prof. Obodowski). Proponowane przez Komisję Cen podwyżki o 300 do 400 % zmniejszono, a rekompensaty podwyższono. Według prasy krajowej ceny środków żywności wzrosły przeciętnie o 241 %, opału o 171 %. Szczególnie silnie podwyższono ceny mięsa, którego raczej kartkowe już wcześniej zredukowano, gdyż o około 350 %.

Tym razem jednocześnie ze zmianą cen wprowadzono rekompensaty. Nie mam pod ręką dokładnych danych. Prof. Krasiński proponował podniesienie zarobków w najniższych klasach o 1.200 zł, rent w miastach o 350 zł, dla chłopów o 340 zł oraz dodatki dla rodzin z większą liczbą dzieci. W kompromisie stawki te podwyższono.

Jak to się zwykle dzieje przy zmianie władzy (np. Mitterrand we Francji), Jaruzelski wcześniej jeszcze zadekretował podniesienie „minimum socjalnego” do 3.000 zł przy przeciętnym zarobku 7.000 zł dla zjednanego sobie sympatii społeczeństwa dla przewrotu.

Czy ta strategia na polu cen i płac może przynieść pożądane zwycięstwo w walce z inflacją?

Prof. Czesław Bobrowski, jeden z bardziej dziś trzeźwych ekonomistów krajowych starej daty twierdzi: „Globalnie biorąc, rekompensaty dają nadwyżkę nad obciążeniami konsumentów... Ostrze deflacyjne ongisiejszych zamierzeń zmieniło się najpierw na pewną redystrybucję dochodu między zamożniejszymi i mniej zamożnymi, a w końcu operacja przestała być elementem bezpośredniego przywracania równowagi<sup>6</sup>”.

Bobrowski pisze dalej: „Jeżeli jako konsument cieszę się, że moja rekompensata będzie wyższa niż w projekcie ministra prof. Krasińskiego, to jako ekonomista martwię się, że wielka operacja cenowa daje tak małe skutki antyinflacyjne na bliski dystans. I to prowadzi mnie do oczywistego stwierdzenia, że musimy poszukiwać innych jeszcze środków przywracania równowagi rynkowej, zarówno od strony podaży, co jest przyjemniejsze ale trudniejsze, jak i od strony dochodowej, przez użycie środków podatkowych czy zwiększających stopę oszczędności (nawet przymusowych)”.

Ogromne trudności nastrocza planistom warszawskim sprawa cen artykułów przemysłowych i ich ustosunkowania do cen żywności. Cen przemysłowych nie zadekretowano — jak dotychczas. Zagadnienie chce się rozwiązać przez zezwo-

6. *Życie Warszawy* nr 7 z 23-24 stycznia 1982. Czesław Bobrowski był przed wojną dyrektorem Departamentu Ekonomicznego w Ministerstwie Rolnictwa. Po wojnie podjął współpracę z reżymem, zapalił się do idei gospodarki planowej, był autorem pierwszego planu 3-letniego, ale wkrótce odstawiłony został przez Hilarego Minca na boczny tor. Dziś jest zwolennikiem reformy przestarzałego sowieckiego systemu planowania.

lenie przedsiębiorstwom na swobodne wyznaczanie cen ich produktów stosownie do kosztów własnych, przy jednoczesnym ustalaniu we własnym zakresie podatku obrotowego wpłacanego do kasy państwowej. Podatek ten jest w gospodarce komunistycznej głównym źródłem dochodów budżetu państwowego (około 80 %). Kalkulując ceny, przedsiębiorstwa mają przestrzegać zasady rentowności i wypracowania zysku na cele inwestycyjne.

Ta swoboda wyznaczania cen jest próbą częściowego związania gospodarki z wolnym rynkiem. Jednakże bez spełnienia wielu warunków prawidłowej działalności przedsiębiorstw, a przede wszystkim właściwego rachunku ekonomicznego, można powątpiewać w skuteczność tych zamierzeń w sensie wyznaczania właściwych cen zaopatrzeniowych i rozwinięcia produkcji. W poszukiwaniu rentowności łatwo mogą powstać nadużycia w podnoszeniu cen z fatalnymi skutkami w skali ogólnej gospodarki, tzw. dziś „makroekonomii”. Już dziś ceny w handlu detalicznym na meble, obuwiu, tekstyliu i różne artykuły użytku domowego poważnie wzrosły. Nie wiadomo jeszcze jak dalece wzrosną gdy przedsiębiorstwa zaczną ogłaszać swe ceny sprzedażne. Pewne jest jednak, że ceny te powiększą się wielokrotnie, podobnie jak administracyjnie zarządzane ceny środków spożywczych.

#### Reforma systemowa

Zaskakiwanie opinii publicznej faktami dokonanymi jest powszechnie stosowaną metodą politycznej strategii komunizmu. W dniu 26 lutego, w niecały miesiąc po zarządzanej zwwyżce cen i regulacji stosunków cenowo-płacowych, Sejm warszawski „uchwalił” w nagłym trybie 8 ustaw gospodarczych:

- 1) o planowaniu społeczno-gospodarczym;
- 2) o cenach i zasadach ich kształtowania;
- 3) o opodatkowaniu jednostek gospodarki uspołecznionej;
- 4) o prawie bankowym;
- 5) o nadaniu statutu Narodowemu Bankowi Państwowemu;
- 6) o gospodarce finansowej przedsiębiorstw państwowych;
- 7) o statystyce państwowej;
- 8) o uprawnieniach do prowadzenia handlu zagranicznego oraz w sprawie określania wykazu towarów i usług na które ustala się ceny urzędowe.

Projekty tych ustaw opracowane były przez cywilną ekipę w rządzie Jaruzelskiego<sup>7</sup>. Wraz z ustawą o przedsiębiorstwach państwowych i ustawą o samorządzie załogi (uchwaloną we wrześniu 1981 pod naciskiem ruchu „Solidarności”) mają one stanowić „legislatywne podstawy reformy oraz jej prawne gwarancje”.

7. Do ekipy tej wchodził m.in.: Mieczysław Rakowski (nota bene żaden mój krewny) i ekonomiści — profesorowie, Zbigniew Madej, Obodowski, Baka, Krasiński, Marian Krzak.

Posel-referent (Zbigniew Gertych) przedstawiając te projekty w imieniu 3-ch Komisji sejmowych powiedział<sup>8</sup>:

„Mechanizm funkcjonowania gospodarki narodowej w rozumieniu reformy oparty został na 3-ch zasadach:

- 1) na samodzielnym przedsiębiorstwie działającym na podstawie słynnej formuły 3 S [samodzielność, samorząd, samo-finansowanie — J.R.];
- 2) na ekonomicznych narzędziach polityki gospodarczej, przy czym w tym systemie istotnego znaczenia nabierają takie instrumenty rynkowe jak cena, zysk, podatki i system finansowy;
- 3) na uspołecznionym planowaniu całej gospodarki ze zmianą jego roli z dyrektywnego na strategiczne, stwarzające warunki i motywacje dla dynamicznej i efektywnej działalności przedsiębiorstw”.

W dniu w którym piszę te słowa (3 marca) nie znam jeszcze szczegółów wszystkich tych ustaw i muszę ograniczyć się do kilku ogólnych uwag.

Uderza przede wszystkim, że reżym wojskowy Jaruzelskiego jako forum do tzw. „dyskusji ze społeczeństwem” po uwięzieniu przywódców „Solidarności” wybrał Sejm, instytucję nominatów, która posłusznie zatwierdziła stan wojenny i natychmiast uchwaliła przedłożenia rządowe. Przedkładając projekt ustawy o planowaniu, jako podstawowy w tym pakiecie legislacyjnym, poseł-referent powiedział, że „zmierza on w kierunku zwiększenia roli Sejmu w podejmowaniu strategicznej (zawsze „strategicznej”) decyzji”. Służyć temu będzie rozpatrywanie przez Sejm różnych wariantów planu wieloletniego jeszcze przed sformułowaniem ostatecznego projektu narodowego planu społeczno-gospodarczego. Wiadomo o co chodzi: społeczeństwo nadal będzie reprezentowane przez Sejm nominatów. Paru odważnych posłów złożyło przy otwarciu tej „izby ustawodawczej” swe mandaty i zostało natychmiast zastąpionych.

Jaruzelski spieszył się z uchwaleniem pakietu ustaw dla pokazania, że „stan wojenny nie oznacza zamrożenia reformy”. Z emfazą mówił w referacie na VII plenum Komitetu Centralnego PZPR w dniu 24 lutego, w przeddzień posiedzenia Sejmu: „Po raz pierwszy w historii naszego państwa ludowego zasady i system funkcjonowania gospodarki określone zostaną przez najwyższy organ przedstawicielski”. Nie miał wątpliwości, że ustawy zostaną uchwalone. Organ ten miał wprawdzie obradować w 3 komisjach przez 3 miesiące nad wnioskami rządowymi, ale nic zasadniczo nie zmienił. „Bezprecedensowy” program uzdrowienia gospodarki — jak twierdził Jaruzelski — opiera się na decyzjach partii powziętych na IX jej zjeździe, którego realizację miały opóźnić „siły destrukcji”. Nie zaniedbał dodać:

8. Cytaty i informacje z radia warszawskiego, obrady sejmowe, nagrane na taśmę oraz artykuły w *Życiu Warszawy*.

„Nasza ideologia jest jedna, tylko jedna. Jeden jest socjalizm: marksistowsko-leninowski” (*Życie Warszawy* z 25 lutego 1982). Taka interpretacja ustaw była Jaruzelskiemu niewątpliwie potrzebna przed jego wyjazdem do Moskwy.

Ustawy okrzyknięto jako wielkie wydarzenie mające wdrożyć drugi etap reformy gospodarczej. „Nie znam ustawodawstwa — powiedział referent sejmowy — które by podjęło na tak szeroką skalę próbę prawnego uregulowania zasad funkcjonowania gospodarki narodowej”. Można by dodać, że w historii parlamentaryzmu nieznanne jest też załatwienie tak poważnego kompleksu ustaw w ciągu jednego posiedzenia.

Uchwalone projekty „mają sprzyjać wychodzeniu Polski z kryzysu i powinny przyczynić się do szybkiego uzyskania równowagi gospodarczej”. Co do tego można mieć poważne wątpliwości. Wprowadzenie w życie reformy — jak to stwierdził referent — „będzie musiało trwać kilka lat”. To jest rzeczą oczywistą. Żadna reforma nie może wydać natychmiastowych skutków. Ale czy znaleziono właściwą drogę? Czy dopisze społeczeństwo, do którego znów apeluje się o „wzrost wydajności pracy” w oparciu o narzucony mu kierunek reformy? Wątpliwości trapiły również referenta gdy powiedział w zakończeniu prezentacji przedłożeń rządowych: „Pragnę również zwrócić uwagę wysokiej izby na fakt, że warunki panujące obecnie w kraju w jakich rozpoczęliśmy reformę naszej gospodarki, wzmocniają stopień niepoprawności co do poprawności proponowanych rozwiązań...”.

### Zaopatrzenie

Jedno jest pewne: ani zastosowany zabieg deflacyjny, ani decyzje w sprawie legislacyjnych podstaw reformy nie dadzą rezultatu, jeśli nie poprawi się zaopatrzenie w kraju w żywność i towary powszechnego użytku. To zaopatrzenie pogarsza się z każdym dniem, mimo ustawicznej propagandy środków masowego przekazu, bombardujących słuchaczy i czytelników cyframi wzrastającego wydobycia węgla czy produkcji w tym czy innym zakładzie przemysłowym, rzekomo „z inicjatywy komitetów partyjnych” i przy „powrocie do zdrowych zasad marksizmu-leninizmu”.

Sytuacja pogarsza się w dwóch głównych płaszczyznach: motywej do pracy wydajnej i w obiektywnych warunkach gospodarki.

Reżym wojskowy PRL neglizuje psychologiczne czynniki gospodarki. Ustawa o samorządzie robotniczym została zawieszona w wykonaniu, a była nadzieją na wytworzenie lepszej atmosfery pracy w przedsiębiorstwach. Nie widać żadnych tendencji do demokratyzowania struktur organizacyjnych; „demokratyzacja” w wypowiedziach Jaruzelskiego czy Mieczysława Rakowskiego ma janusowe oblicze. Większość fabryk produkują-

cych ważne artykuły poddano wojskowemu nadzorowi i obowiązują w nich dyscyplina koszarowa. W przedsiębiorstwach działają dwie instancje: pełnomocnicy wojskowi i dyrektorzy kierujący zakładami według ich wskazówek. Utworzono tzw. „Komisje Socjalne” reprezentujące wobec kierownictwa przedsiębiorstw problemy lokalne w imieniu załogi. W praktyce są one poddane partii i komendantom wojskowym. Jest mało prawdopodobne aby po ustaniu stanu wojennego powrócono do koncepcji, które były nadzieją społeczeństwa. Samorząd robotniczy, o którym się mówi, praktycznie skreślony został z programu, a z nim i motywacja do pracy twórczej.

Nikt dziś nie ma w kraju zaufania do rządu, tym bardziej do rządu Jaruzelskiego. Stan wojenny, a przynajmniej reżym wojskowy, wydają się być na długo zjawiskiem trwałym. Konferencja biskupów polskich 26-27 lutego stwierdziła wyraźnie, i powiedziano to z ambon kościelnych, że sytuacja w Polsce jest „moralną, społeczną i stale pogłębiającą się katastrofą”. Kryzys moralny grozi spotęgowaniem się trudności gospodarczych. Humanitarna akcja zachodnia nie może być pomocą na lata i nie załatwi problemu zaopatrzenia.

Wśród obiektywnych warunków gospodarki PRL wielką katastrofą jest pogorszenie się stosunków finansowo-gospodarczych z zagranicą, a przede wszystkim z Zachodem. Rząd warszawski stara się o konsolidację góry długów zachodnich i zabiega o nowe kredyty w sumie 10 mld dolarów. Tymczasem Zachód, który sparzył sobie palce na kredytach dla krajów socjalistycznych nie bardzo już jest skłonny kłaść w ogień całą rękę. Tylko dla zaopatrzenia kraju w chleb PRL potrzebuje miesięcznie 0,5 mln ton zboża z zagranicy. W roku 1982 Jerzy Wojtecki, minister rolnictwa PRL, oblicza niezbędny import zboża z Zachodu na 2-2,5 mln ton, sądząc, że uda się to zboże pozyskać z Francji i Niemiec Zachodnich.

Ataki Jaruzelskiego i jego reżymu na USA i coraz bardziej widoczna ideologiczna i praktyczna orientacja na Moskwę wywołują w oficjalnych kołach warszawskich złudzenie, że na tej drodze można będzie osiągnąć pomoc dla wyjścia z kryzysu. Prof. Czesław Bobrowski nie jest tu optymistą. Pisze w cytowanym już artykule w *Życiu Warszawy*: „wskutek tych trudności „warunki wdrażania reformy uległy poważnemu pogorszeniu... Pomoc krajów socjalistycznych tylko w części osłabia skutki tego faktu, gdyż kraje te nie dysponują towarami, które mogłyby zastąpić import z krajów zachodnich”.

Konkluzja: Polska bardziej niż kiedykolwiek liczyć dziś musi na własne siły w rozbudowie swej bazy zaopatrzeniowej i zastosować w tym kierunku odpowiednie konkretne środki działania. Dla każdego ekonomisty jest rzeczą jasną, że dla wyprowadzenia kraju z kryzysu i osiągnięcia równowagi rynkowej trzeba działać nie tylko na zmniejszenie popytu przez wyższe ceny, lecz również przez zwiększanie podaży. Aby zwiększyć podaż — trzeba pracować i produkować.

I tutaj powracam do tej — jak ją nazwałem — zaniedbanej koncepcji polskiego NEP.

### NEP — Historia i analogie

Co to jest NEP i jaka była rola NEP-u w historii rosyjskiego komunizmu? Sprawę warto przypomnieć.

Mimo marksistowskiej nauki, że Rosja tylko wtedy może dojrzeć do socjalizmu, jako niższego stopnia komunizmu, gdy przejdzie przez fazę kapitalizmu, bolszewicy po objęciu władzy w roku 1917 chcieli natychmiast rozwinąć socjalizm. Był to okres tzw. „komunizmu wojennego”, który trwał do roku 1921. Rezultatem było całkowite załamanie się gospodarki. Produkcja rolnicza spadła o 50% w porównaniu z rokiem 1913, produkcja przemysłowa jeszcze w większym stosunku, w niektórych zakładach do 1%. Zapanowały głód i nędza. Leninowi nie pozostało nic innego, jak tylko albo ustąpić albo zmienić politykę gospodarczą odstępując od dogmatów<sup>9</sup>.

Rozpoczął się drugi okres gospodarki ZSSR (1921-1924), nazwany okresem NEP — „Nowąją Ekonomiczeskąją Politika” — okres częściowego powrotu do kapitalizmu. Celem tej nowej polityki było ożywienie gospodarki, która przez upaństwowienie i biurokrację została całkowicie sparaliżowana. Jakie środki wówczas zastosowano?

Przed wszystkim zniesiono monopol zbożowy i przymusowe dostawy zbiorów i produktów rolnictwa. Jednocześnie zezwolono działać prywatnym zakładom przemysłowym i handlowym. Były to koncesje dla chłopów i mieszczan, których uwolniono od ciężaru państwowego ucisku. Te zabiegi otworzyły drogę dla produkcji dóbr, które chłop mógł kupić na wolnym rynku. Cały ciężki przemysł pozostawał w rękach rządu, ale otrzymał w tym okresie większą swobodę działania. Był on już w 93% upaństwowiony i tylko w 7% znajdował się jeszcze w rękach prywatnych. W małym przemyśle łącznie z rzemiosłem stosunek był odwrotny. W ogólnym obrazie sytuacji sektor państwowy obejmował ponad 75% produkcji przemysłowej. Również handel w 55% podlegał kontroli państwowej.

Podjęte zabiegi dały rezultaty, choć nie od razu. Częściowe przywrócenie prywatnych przedsiębiorstw podniosło produkcję, doprowadzając ją w latach 1926-1927 do stanu z roku 1913. W roku 1928 wytwórczość przemysłowa przekroczyła ten poziom. Nie tylko chłopci, ale przedsiębiorczy ludzie i handlowcy, zachęceni przez rząd, wyzwalali energię dla zwiększenia ilości i poprawy jakości swych produktów, widząc w tym korzyści osobiste i sens zwiększania wysiłku pracy. Zaopatrzenie rynku w towary poprawiło się wyraźnie.

9. Rolf James, *Handbuch des Weltkommunismus*, Fryburg-Monachium 1958, dzieło wydane pod auspicjami Ojca Prof. J. Bocheńskiego.

Jednakże nie trwało to długo. W roku 1928 gospodarstwo sowieckie wpadło w nowy ciężki kryzys. Powodem były nadmierne koszty w sektorze państwowym, spowodowane fałszywą polityką finansową i nadmiernym tempem industrializacji. Społeczeństwo gnębiono podatkami, przymusowymi pożyczkami i inflacją pieniężną. Te środki działania, zalecane przez Marksa dla krajów przechodzących z prostych do „rozwijających” się form produkcji socjalistycznej, spadły znów ciężarem na konsumentów. Jednocześnie rosły olbrzymie koszty rozbudowanego aparatu państwowego.

Forsując uprzemysławianie kraju przy tych metodach zaczęto znów prowadzić politykę „tanich cen żywności”. Chłopom nie zezwolono na podwyższanie cen rolniczych przy postępującej inflacji. Powstała przepaść między cenami rolniczymi i przemysłowymi. Chłopi musieli płacić za towary przemysłowe więcej niż przed wojną 1914-1918 choć lepiej pracowali. Coraz mniej skłonni byli sprzedawać produkty swej pracy. Więzy, łączące oba sektory gospodarki zerwały się. Powstała sytuacja, jaka wytworzyła się wiele lat później w Polskiej Republice Ludowej, choć w innych warunkach „rozwinętego socjalizmu”. Podobnie jak wówczas w Rosji, chłop polski wzbrania się dziś sprzedawać swe wytwory za „małpi pieniądz”, jakim jest złoty polski.

Tak jak od wielu miesięcy w Polsce, również wówczas w Rosji w latach 1924-1927 powstały rozdźwięki w partii i gwałtowne dyskusje jak wyjść z tej sytuacji. N. I. Bucharin był za zwolnieniem tempa industrializacji i przeniesieniem jej kosztów na chłopów z dalszym zachęcaniem ich do zwiększania wytwórczości. Kryzys chciał przezwyciężyć przez nowy NEP. Preobrażeński uważał, że tak zacofany kraj, jak Rosja, musi się szybko uprzemysławiać i zdobywać w tym celu środki, tak jak odbywała się akumulacja kapitałowa w czasie przedkapitalistycznym, a więc — według nauki marksistowskiej — przez „wyzysk przedsocjalistycznych form ekonomicznych na użytek i korzyść socjalizmu”.

Stalin przeciął ten ówczesny spór w roku 1927. Zlikwidował brutalnie, również fizycznie, opozycję L. Trocki - Preobrażeński, przejmując zresztą jej program, z wyjątkiem uderzenia w biurokrację. Narzuca się analogia historyczna z zamachem stanu Jaruzelskiego 13 grudnia 1981, który też przeciął dyskusję ze społeczeństwem i uwięził przywódców „Solidarności”.

W Rosji rozpoczął się długi okres czystki w partii. Rząd sowiecki wprowadził znów przymusowe dostawy produktów agrarnych, a gdy chłopci poczęli buntować się, zarządził kolektywizację zagród, co w konsekwencji doprowadziło do ponownego głodu i śmierci około 7 milionów ludzi.

Związek Sowiecki wszedł w trzeci okres polityki gospodarczej, okres leninizmu-stalinizmu z jego „modelem” społeczno-gospodarczym, centralnym planowaniem i planami pięcioletnimi. Od 1929 roku zrealizowano już 11 tych pięcioletek (12-ta rozpoczęła się w roku 1981) „rozwijającego się i zwycięskiego socjalizmu”.

Praktycznie Rosja sowiecka nie osiągnęła jeszcze — i nie osiągnie nigdy — wejścia w fazę prawdziwego „komunizmu”, w którym, jak głosi piękna teoria, każdy człowiek czerpać będzie do syta dobra materialne i duchowe według swoich potrzeb. W fazie „socjalizmu” dobra te rozdzielane są według zasady „użyteczności pracy” i tzw. „sprawiedliwego udziału” w wytwarzaniu produktu społecznego, o czym decyduje administracja państwowa. Tymczasem więc trwa nadal niekończący się drenaż pracy ludzkiej, przy ciągłych apelach o zwiększanie jej wydajności i niskim poziomie życia.

Ten stalinowski model narzucony został po drugiej wojnie światowej Polsce i sowieckim krajom satelickim. Z pewnymi modyfikacjami w niektórych krajach przetrwał do dni dzisiejszych.

Sytuację jaka powstała w Polsce po 36 latach komunizmu można oczywiście tylko w pewnym stopniu porównać z sytuacją w Rosji w roku 1921. Dzisiejsza struktura gospodarstwa polskiego jest inna. Polska przeszła już przez pierwszą wojnę światową, a szczególnie w okresie międzywojennym przez fazę kapitalizmu przy wielu pozytywnych osiągnięciach. Mimo olbrzymich zniszczeń w czasie drugiej wojny nie spadła do poziomu krajów gospodarczo zacofanych, a w ramach powojennego komunistycznego kapitalizmu państwowego rozbudowała swój potencjał przemysłowy. Ale są pewne podobieństwa w obu sytuacjach. Ówczesny rosyjski i dzisiejszy polski kryzys gospodarczy mają bowiem to samo źródło: dogmatyzm ideologiczny i związaną z nim fałszywą strategię polityki ekonomicznej.

Na NEP jako na drogę wyjścia z kryzysu polskiego zwracają już uwagę kilku autorów krajowych, m.in. Jerzy Rey w krakowskim *Tygodniku Powszechnym* z 22 listopada 1981. Słusznie odgrzebywano z historii NEP, a nie rooseveltowski *New Deal* z roku 1928, gdyż chodzi o doświadczenia w ramach systemu komunistycznego.

#### *Wariant obawy czy wariant nadziei*

Nie tutaj miejsce na rozważania jaką mogłaby być dzisiejsza polska wersja NEP-u możliwa do zrealizowania w systemie społeczno-gospodarczym, od którego PRL nie chce czy może odstąpić. Powrócę jeszcze do tego zagadnienia w związku z analizą wspomnianych legislacyjnych podstaw „reformy systemowej”. Ustawy te, jeśli nie są manewrem propagandowym, mogą być tylko programem na długą metę. Bez zastosowania pragmatycznych zabiegów stymulujących atmosferę dla pracy twórczej nie rozwiążą najważniejszej dziś sprawy jaką jest produkcja i zaopatrzenie.

Polska wersja NEP-u musi być całkowicie ukierunkowana na ten problem pod hasłami pobudzenia INICJATYWY, włączenia do gospodarki praw RYNKU i uzdrowienia PIENIĄDZA. Trzeba

być wiernym jakimś zasadom — to prawda — ale nie należy twierdzić, że są one słuszne i uniwersalne dla każdego kraju i w każdej sytuacji. Zadaniem polityki gospodarczej jest zaspokajanie potrzeb ludzkich i zapewnienie ludziom rozwoju poziomu życia. Gospodarkę trzeba dziś wysunąć na czoło ponad wszystkie inne problemy i zasady ideologiczne.

Najlepsza lokomotywa nie pociągnie jeśli zawodzi sprzężenie. Sprzężenie rządu PRL ze społeczeństwem, zawsze złe, zerwane zostało po zamachu Jaruzelskiego. Nie pomoże grubymi niemi szyta propaganda usiłująca złożyć odpowiedzialność za kryzys na „Solidarność” i na kraje zachodnie (Jaruzelski w Moskwie!). Nie pomogą apele o jedność narodową na podstawie konstytucyjnego legalizmu i ustawicznego podkreślania „sojuszu” i „braterskiej pomocy” Związku Sowieckiego. Ekipa cywilnych zarządców przy juncie wojskowej nie przeprowadzi w tej atmosferze zamierzonej reformy bez porozumienia się ze społeczeństwem i zdobycia jego zaufania do programu gospodarczego.

Z drugiej strony — społeczeństwo polskie musi też dojrzeć do świadomości, że po 36 latach „woluntarystycznej polityki społeczno-gospodarczej” i popełnianych błędów żaden program nie da szybkich rezultatów. Długo trzeba będzie płacić cenę tych błędów.

Prof. Czesław Bobrowski, krytycznie oceniając zarządzenia cenowo-płacowe, skreślił — jak pisze — wariant nadziei, że reforma rządu przyniesie pożądany skutek w terminie poniżej 3-ch lat. Pozostawia wariant obaw, że to trwać będzie znacznie dłużej.

Nie można wyobrazić sobie nic gorszego, jak odebranie narodowi choćby promyka nadziei. Więc może jednak ten polski NEP? Ale jak i kiedy? Redaktor Giedroyc programuje: po odejściu Jaruzelskiego.

Janusz RAKOWSKI

Zurych, 3 marca 1982

## W OCZACH „NARODOWCA”

Obraz sytuacji w Polsce jest w oczach *Narodowca* stosunkowo prosty. Istnieje „jedyna droga wyjścia z tragicznego kryzysu w Polsce”, a mianowicie „porozumienie Kościół-Jaruzelski-Solidarność”. Co i kto temu „porozumieniu” przeszkadza? Po pierwsze, po stronie Jaruzelskiego: „twardogłowi członkowie partii, wspierani przez Moskwę”. Po drugie, po stronie Solidarności: „nowa lewica” (wywodząca się z KOR-u), „obcy agenci” (na usługach głównie „rewizjonizmu niemieckiego”), „trockiści” (na usługach „masonerii zachodniej”). Po trzecie, po stronie

Kościół: część księży o „gorących, zapalnych i patriotycznych sercach”, którzy „nie widzą jakiej robocie służą wspierając rozbijaczy” (chodzi oczywiście o rozbijaczy „pilnej sprawy porozumienia rządzących komunistów z narodem”); „problem tych księży (sugeruje *Narodowiec*) powinien załatwić” sam Kościół, jest to bowiem „zadanie Kościoła a nie Jaruzelskiego, który gdyby podjął kampanię wprost przeciw tym księżom, utrudniłby jeszcze bardziej a nie ułatwił sytuację i zmniejszyłby jeszcze bardziej szanse porozumienia, tak rozpaczliwie obecnie potrzebnego”.

Na czym miałyby to „porozumienie” polegać? Na uzyskaniu, poprzez Jaruzelskiego, „zgody Moskwy na powrót do zakresu wolności, wywalzonego przez Solidarność”. Jakiego zakresu i jakich wolności? Tego *Narodowiec* dokładnie nie precyzuje. Wyjaśnia natomiast, że „Solidarność jest i formalnie pozostaje tylko i wyłącznie związkiem zawodowym, a nie organizacją o charakterze politycznym”, dodając melancholijnie, że „w sytuacji polskiej trudność nie do przewyżnienia stanowi fakt, że gospodarki polskiej i stosunków społecznych nie można poprawiać, ratować, uzdrawiać bez gruntownej zmiany samego politycznego systemu rządów”. A skoro jest to „trudność nie do przewyżnienia”, wolno się domyślać, że „zakres wolności wywalczony przez Solidarność” sprowadzałby się w praktyce do zezwolenia władz na noszenie odznak Solidarności oraz odbywanie co pewien czas zjazdów o charakterze rekreacyjnym, czyli na przywrócenie NSZZ w postaci swego rodzaju syndykalistycznego harcerstwa z nabożeństwami, ogniskami, śpiewami i tańcami (pod czujnym okiem spokojniejszych i rozważniejszych księży oraz milicji).

Projekt mógłby przypaść do gustu Jaruzelskiemu i nawet zdobyć placet Moskwy, zwłaszcza gdyby tak „wywalczony zakres wolności” udało się połączyć z odnowieniem ruchu stachanowskiego w duchu *Człowieka z marmuru*. Zbyteczne dodawać, że za warunek *sine qua non* tego „porozumienia rozpaczliwie nam obecnie potrzebnego” *Narodowiec* uważa rezygnację z „podziemnej, tajnej akcji przeciw stanowi wojennemu”. Co wyjątkowo już, szczególnie na najbliższą metę, powinno się podobać Jaruzelskiemu. I on to w rzeczywistości, spośród trzech członków „porozumienia”, jest jedynym beneficjentem „narodowej” troski *Narodowca*.

## KORESPONDENCJA JOHNA DARNTONA Z KRAKOWA

W korespondencji Johna Darntona z Krakowa (*New York Times* z 12 marca br.) ciekawa jest wypowiedź Macieja Szumowskiego, b. redaktora *Gazety Krakowskiej*. Szumowski — według informacji Darntona — wy-

stąpił z partii po ogłoszeniu stanu wojennego. Z czterdziestoosobowej redakcji *Gazety Krakowskiej* połowa odpadła przy „ideologicznej weryfikacji”.

„Program Solidarności (mówi Szumowski), mimo że związek został zawieszony, żyje ciągle w świadomości ludzkiej. Jest to coś, co może być użyte jako punkt odniesienia. Teraz kiedy władza użyła siły, wciąż nie ma programu. Głównym sprawdzianem będzie stosunek gen. Jaruzelskiego do twardogłowych dogmatyków. Nie sądzę by był możliwy nawrót do neo-stalinizmu, mimo wszystkich krzyków i wrzasków neo-stalinistów. Ale jeśli metody zastosowane podczas weryfikacji dziennikarzy zapanują wszędzie, w nauce i w kulturze, widzę czarno przyszłość Polski na pokolenia”.

„Trudno jest złamać Polaka. Paradoksalnie ludziom dzierżącym władzę uderzyła do głowy okoliczność, że tak łatwe okazało się wprowadzenie stanu wojennego. Dlatego sądzą, że będzie też łatwo rządzić. Zaczynają żyć w świecie fikcji — jest w tym fascynacja technicznymi aspektami operacji, iluzja władzy. A dla Solidarności i społeczeństwa była to twarda lekcja realizmu, było to zejście na ziemię. Sytuacja obecna jest dokładną odwrotnością sytuacji sprzed wprowadzenia stanu wojennego. Przedtem panowała swego rodzaju euforia w Solidarności, władza leżała na ulicy czekając kto ją podniesie. Teraz rządzący żyją złudzeniem sprawowania władzy, a społeczeństwo żyje nowym realizmem. Co jest w Polsce trudne, co zawsze było trudne, to zachować własne poglądy, a kiedy następuje zmiana — odejść”.

## Humor krajowy

Kiosk „Ruchu”. Wywieszka: *Zołnierz jest. Życia nie ma. Perspektywy brak. Rzeczpospolita wyprzedana.*

Rozmowa telefoniczna. *Głos:* ta rozmowa jest kontrolowana... *A. mówi do B.:* p..... Jaruzelskiego i całą WRON-ę. *Głos:* ja też, ale rozłączam.

Kobieta podchodzi do patrolu i pyta: — Panie sierżancie, to teraz mamy wojnę? — *A tak, mamy wojnę.* — Czy taką prawdziwą, jak do 45 roku? — *Tak, prawdziwą.* — To jak można pojechać do Niemiec na roboty?

Autentyczne: Znajomi z Warszawy dostali list od znajomych z Krakowa. Było w nim zdanie: „Tomek już siedzi”. Cenzura przekreśliła je i napisała na górze: „Tomek jest internowany”. *Pointa:* Tomek ma pół roku.

Zebrała Zofia HERTZ

## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

W końcu lutego propagandyści sowieccy obchodzili rocznicę „niezapomnianych dni”, radosnych chwil „całej postępowej ludzkości” (*Prawda* z 23. 2. 1982) — XXVI Zjazdu partii. Sowieckie gazety, czasopisma, radio i telewizja jednogłośnie zapewniają: ubiegły rok dowiódł słuszności „naukowej strategii i taktyki KPZS”. Ogromny artykuł w *Prawdzie* z 22. 2. 1982 wylicza główne punkty programu KPZS na „stosunkowo długi okres historyczny”, jakim będzie faza dojrzałego socjalizmu. Zakończenie budowy komunizmu nie zapowiada się na jutro, uprzedza *Prawda*, ale już jutro obywatelom sowieckim będzie bardzo dobrze. Po pierwsze dlatego, że nastąpi „dalsze umocnienie państwa socjalistycznego”. Po drugie dlatego, że KPZS oświadczyła, że „troska o potrzeby i pragnienia ludzi sowieckich jest najważniejszym zadaniem politycznym”. I wreszcie dlatego, że wzmoże się walka z „przeżytkami przeszłości” i wpływami obcych ideologii.

Szczególny charakter programowego oświadczenia *Prawdy* polega na tym, że podkreśla ono niezmienność „jedynej słusznej drogi” i kategorycznie odcina się od jakichkolwiek reform, chociaż przyznaje, że jest jeszcze wiele „nierozwiązanych problemów, niedostatków i niedociągnięć”. Jaki jest stan gospodarki sowieckiej można odgadnąć nawet z oficjalnych cyfr, które przyznają, że plany nie zostały wykonane. Można też oprzeć się na artykule w *Prawdzie* z 3. 2. 1982, w którym ostrzega się kołchoźników, że karmienie bydła chlebem jest przestępstwem, karanym „trzech latami pozbawienia wolności”.

Najpoważniejszym wskaźnikiem trudności gospodarczych, z jakimi boryka się ZSSR, była fala pogłosek, które zalały Moskwę w lutym i marcu. W stolicy realnego socjalizmu, w której na pozór nic się nigdy nie dzieje, posypały się nagle wydarzenia, jedno dziwniejsze od drugiego.

19 stycznia gruchnęła wieść o śmierci wiceprzewodniczącego

KGB generała Cwiguna, liczącego zaledwie 64 lata. Wiadomo było, że generałowie KGB są śmiertelni, ale po generale Cwigunie nikt się tego nie spodziewał. Jeszcze niedawno informował on w piśmie *Komunist* (nr 14/1981) o rozbiciu ruchu dysydencyjnego, całkiem niedawno wydał kolejną powieść, zbiór scenariuszy filmowych. 25 stycznia umarł Michaił Susłow. Lat miał 80, a przez ostatnie 60 na wszystkich fotografiach wyglądał na śmiertelnie chorego. W jego śmierć przestano już w ogóle wierzyć: człowiek, który 30 lat przesiedział w Biurze Politycznym (z wyjątkiem dwóch postalinowskich lat, 1953-1955) wydawał się nieśmiertelny. Zgon Michaiła Susłowa szczególnie zmartwił Zachód, gdzie bardzo żałowano Głównego Ideologa, Głównego Teoretyka i Numer 2 ZSSR. Żałowano go, obawiając się, że reżym straci swą niezwykłą stabilność.

W lutym rozeszły się po Moskwie dziwne wieści. Aresztowano wiceministra kultury, dyrektora cyrków sowieckich Kolebatowa. Fama głosi, że znaleziono w jego mieszkaniu dolary, brylanty itp. kolosalnej wartości. Francuscy dziennikarze, chcąc oszołomić swoich czytelników, obliczyli, że wartość znalezionych u Kolebatowa dolarów i klejnotów odpowiada 600 latom pracy robotnika sowieckiego. Świadczy to tylko o tym, że nie mają pojęcia o płacach robotników sowieckich. Majątek znaleziony u dyrektora cyrków sowieckich odpowiadał, jak mówią, co najmniej zapłacie za 6.000 lat pracy robotnika sowieckiego. Ale nie to nawet zrobiło w Moskwie wrażenie.

Aresztowano też Borię Cygana, przy którym dyrektor Kolebatow wydaje się nędzarzem. Ale i na tym nie koniec: sowieccy obywatele wiedzą, że Galina Breżniewa, córka I sekretarza, od młodych lat lubi cyrk i cyrkowców. Zaczęto ją wiązać z aresztowanymi. Rozeszły się słuchy, że także syn I sekretarza, wiceminister handlu zagranicznego Jurij Breżniew, jest wielbicielem klejnotów, dolarów itd. W związku z tym wszystkim zaczęto szeptać, że Semion Cwigun pokłócił się z Susłowem i zastrzelił się. Powody sporu podawano różne. Jedni twierdzili, że to Cwigun zaczął śledztwo w sprawie cyrku i Galiny. Inni upierali się, że było wręcz przeciwnie, że Cwigun, stary druh i szwagier Breżniewa, starał się przeszkodzić śledztwu.

Ustrój sowiecki opiera się na dozwolonej korupcji. Wszecobecna korupcja istnieje nie tylko dlatego, że uczniwie nie sposób przeżyć, ale i dlatego, że władza pozwala na nią, bo dzięki niej ma każdego w rękach. Do czasu, bratku, do czasu. Śmieszne byłoby sądzić, że wiceminister Kolebatow, który przez długie lata zabierał sowieckim cyrkowcom zarobioną na Zachodzie walutę, dobytek swój ukrywał. Dzielił się z kim trzeba i żył w pełnym komunizmie: pracował wedle możliwości, a dostawał wedle potrzeb. Pytanie, dlaczego go aresztowano w lutym 1982 roku?

Ileokroć sytuacja gospodarcza Związku Sowieckiego szczególnie się pogarsza, zaczyna się demaskowanie „złodziei mienia państwowego”. W gazetach pojawiają się doniesienia o procesach i wyrokach śmierci. Zasięg aresztów zależy od rozmiarów

kryzysu. Jeśli kryzys jest poważny, areszty mogą sięgnąć aż do samego szczytu. W skrajnych przypadkach optuje się za „wariantem kaukaskim”. W 1969 roku, kiedy republika azerbejdżańska zmieniała się w zagon mafii, wśród przywódców której znajdował się i I sekretarz KC, całe kierownictwo partyjne wymieniono na ludzi z aparatu KGB. I sekretarzem KC został szef KGB Gejdar Alijew, członkami Biura Politycznego, KC itd. jego współpracownicy. Mundury zamieniono na garnitury z przydziału. Tę samą procedurę zastosowano w Gruzji w 1972 roku. Minister spraw wewnętrznych Edward Szewardnadze został I sekretarzem KC.

W listopadzie ubiegłego roku Gejdar Alijew udzielił obszernego wywiadu *Literaturnoj Gazecie* (18. 11. 1981). Mówił o etyce socjalistycznej, o walce Dobra ze Złem i o sytuacji w republice. Stary czekista i I sekretarz KC przede wszystkim wyznał, że mocno uderzył w nomenklaturę, zabraniając przyjmowania na wydział prawa uniwersytetu „dzieci pracowników organów administracji”. Odkryliśmy — powiedział Alijew — że „absolutna większość przyjętych na ten wydział studentów to dzieci pracowników milicji, prokuratury, sądów, fakultetów prawa i organów partii”. Chciał przez to powiedzieć, że praca w „aparacie administracji” staje się dziedziczna, bowiem pracownicy „aparatu administracyjnego” — milicji, prokuratury, sądów — żyją lepiej niż ktokolwiek inny. Jest to bardzo interesujące — bo oficjalnie — przyznanie, że w ojczyźnie dojrzałego socjalizmu najbardziej pociągającymi stanowiskami stały się nie funkcje partyjne, a posady administracyjne, bezpośrednio związane z dobrami materialnymi.

Gejdar Alijew oświadczył z dumą, że przedsięwziął „energiczny krok”: „Musieliśmy zabronić kierowniczym kadrom partyjnym i osobom na odpowiedzialnych stanowiskach budowania willi, nabywania prywatnych samochodów, pisania dysertacji celem zdobycia stopni naukowych...”. Rzecz w tym, że „kadry kierownicze” dostają wille, samochody itd. od państwa. W Azerbejdżanie nie wolno im mieć majątków na własność — staliby się zbyt niezależni.

I sekretarz KC azerbejdżańskiej partii komunistycznej nie obiecał „absolutnego zwycięstwa Dobra nad Złem”, ale jako receptę na nie zaproponował swoją metodę.

Recepta ta niewątpliwie przyciąga uwagę przywódców całego Związku Sowieckiego. Plotki o korupcji i bajecznych majątkach rzecz, owszem, ciekawa, ale to tylko słuchy. Potwierdzają je coraz liczniejsze wzmianki w prasie, poświęcone „etyce socjalistycznej”, „osobowości socjalistycznej”, „wychowaniu socjalistycznemu”. W licznych artykułach, wystąpieniach i oświadczeniach znaleźć można aluzje do wszechobecnego, homeryckiego złodziejstwa. Nawet w recenzji z nowych przedstawień w teatrach moskiewskich czytelnik znajduje wzmianki o aktualności sztuki Aleksandra Ostrowskiego „Szalone pieniądze”. Sztuka ta,

napisana 110 lat temu, wystawiona została — jak pisze recenzent — „w chwili, kiedy zaczynamy przypatrywać się pojawiającym się to tu, to tam figurom „energicznych ludzi” i interesować się źródłami ich „szalonych pieniędzy” i ich „umiejętności życia” (*Literaturnaja Gazeta* z 24. 2. 1982).

Aluzje, otwarte oświadczenia kierownictwa i procesy nie mają na celu likwidacji korupcji. Przedstawiają ją jako największe zło, jedyną przyczynę trudności gospodarczych. Co więcej — niezmiennie podkreślają ideolodzy sowieccy — to „dywersanci ideologiczni wszelkiej maści” usiłują narzucić „konsumpcyjny” stosunek do socjalizmu i „państwa ludowego” (*Prawda* z 7. 1. 1982). Walka z korupcją odwraca uwagę, tłumaczy trudności i ponadto dostarcza amunicji do „nasilania walki z dywersantami ideologicznymi”.

Pogłoski, które zaczęły krążyć po Moskwie w lutym br., spełniają tradycyjną rolę „uzasadnienia trudności”. Mają one jednak oczywiście swoją specyfikę, zahaczając bowiem o osobę Wodza. Ponieważ wszystkie pogłoski przygotowywane są centralnie, natychmiast zrodziło się podejrzenie, że mierzą one w Breżniewa.

Podejrzenia te zrodziły się na Zachodzie. W 65 roku władzy sowieckiej Zachód wciąż widzi w Związku Sowieckim państwo podobne do innych. Wedle tej koncepcji śmierć Numeru 2 powinna — a w każdym razie może — zmienić oblicze reżymu, a pogwałcenie prawa ze strony członków rodziny znanego działacza państwowego może rzucić na niego cień.

Dopóki I sekretarz nie popełni przestępstwa przeciw partii — jak na przykład Chruszczow, któremu zamarzyły się zbyt daleko idące reformy — może spać spokojnie i długo. Nawet jeśli jego córka kolekcjonuje brylanty i cyrkowców, a syn dolary i baletnice. I sekretarz KC jest wszechmocny, ale tylko dopóki żyje. Jak na razie żadnemu z wodzów sowieckich nie udało się przekazać władzy wybranemu przez siebie następcy. Nie udało się to Leninowi, nie udało się Stalinowi, który niechętnie (wiedziało, że naprawdę nikt nie zdoła go zastąpić) dał pierwszeństwo Malenkowowi. Malenkow nie chciał oddać władzy Chruszczowowi. Chruszczow nie chciał oddać władzy Breżniewowi.

Moskiewskie plotki świadczą nie o tym, że pozycja Breżniewa osłabła, lecz o tym, że jego zdrowie zaczęło budzić poważny niepokój następców. Sytuacja na Kremlu przypomina sytuację z lat 1922-1923. Sparaliżowany Lenin jeszcze żył, ale władza nad państwem i partią wysliznęła mu się z rąk. Nie mogąc doczekać się jego nieuchronnej śmierci, pretendenci do „kurtki Lenina” rozpoczęli między sobą nieubłaganą walkę.

„Wedle litery prawa” następcą Breżniewa miał być do niedawna Andriej Kirilenko, sekretarz KC i członek Politbiura od 1966 roku. W 1978 roku Breżniew wprowadził do Biura Politycznego swojego starego koleżkę (od 1950 roku) Konstantyna Czernienko. Walka między obu towarzyszami z Biura zaostrzyła się po śmierci Susłowa. Wpływ, ciężar gatunkowy sowieckiego wodza zależy nie od jego cech osobistych, ale od wpływu i wagi

podlegającego mu aparatu. Ustrój sowiecki zbudowany jest na wzór feudalnej struktury suweren-wasal. Znaczenie feudała oceniano według liczby i znaczenia jego wasali. Wasale bez suwerena znaczyli równie mało, co suweren bez wasali.

Śmierć Susłowa pozbawiła suwerena ogromną armię wasali Głównego Ideologa. Osieroceni landsknechtowie propagandy szukają pana. Od ich wyboru będzie w znacznej mierze zależał wynik walki o władzę. Na równi z innymi czynnikami.

3 marca Breżniew i 10 innych członków Biura (nieobecny był tylko A. Kirilenko) przyszło do teatru obejrzeć przedstawienie od tytułem „Tak zwyciężymy!”. Była to jakby msza dla moskiewskich przywódców. MChAT pokazał im sztukę Michaiła Szatrowa o ostatnich dniach Lenina. Dramaturg Michaił Szatrow już od ćwierć wieku fałszuje historię, pisząc seryjnie sztuki o życiu założyciela państwa sowieckiego. Tym razem napisał sztukę o tym, jak znaleziono następcę Lenina. Nikt nie ma wątpliwości, że spektakl jest aktualny. Autor recenzji w *Prawdzie* (12. 1. 1982) zauważył nawet, że szereg wypowiedzi wodza rewolucji październikowej w 1922 roku odnieść można bezpośrednio „do sabatu, jaki za oceanem rozpętano wokół aktualnych wydarzeń w Polsce”.

„Tak zwyciężymy!” to przepis na zwycięstwo, zapowiedź zastąpienia Breżniewa i program jego następcy. Przy czym zarówno przepis, jak model sukcesji i program, napisane są pod wpływem wydarzeń w Polsce. Przed widzem stoi idealny wódz sowiecki. Jego główna cecha? Zdolność do przyznania, że się mylił. „Omyliłem się” — mówi wprost, po bolszewicku, do sekretarza moskiewskiego komitetu partii. Po takim wyznaniu skutków jego pomyłki nie bierze się pod uwagę. Wódz może nawet powiedzieć „nie wiem”, bowiem słowa te wypowiada — jak pisze recenzent *Prawdy* — „z humorem”. Jest to rzeczywiście śmieszne: Lenin wie przecież wszystko, podobnie jak jego kolejni następcy. Niezwykle ważną cechą Lenina jest jego mistrzowskie władanie dialektyką; odróżnia on „przelotne nastroje klasy robotniczej” (mowa o „Solidarności”) od „prawdziwych interesów tejże klasy” (mowa o likwidacji „Solidarności”). Lenin poucza: „O współżyciu z wrogami rewolucji nie może być mowy ani dziś, ani jutro, ani nigdy”.

Najważniejszym składnikiem przepisu na zwycięstwo jest, być może, polityka zagraniczna. W sztuce Szatrowa występuje wiele osób. Jednak tylko dwie noszą prawdziwe nazwiska: Władimir I. Lenin i Armand Hammer. Przyszły miliarder amerykański występuje w roli protagonisty sowieckiego wodza. Recepta jest prosta: „Tak zwyciężymy!”, czyli — zwyciężymy razem, komuniści i dobrzy amerykańscy kapitaliści!

W kilka dni po owej teatralnej mszy sowieccy wodzowie zebrali się na lotnisku, aby przywitać polskiego wodza. Godna uwagi fotografia z lotniska lepiej niż cokolwiek innego odzwierciedla, co dzieje się na Kremlu. Wojciech Jaruzelski symbolizuje na fotografii Polskę. Z obu stron okrążają go gospodarze so-



wieccy. W swych jednakowych paltach i czapkach, równego wzrostu, z identycznym wyrazem twarzy, byliby nie do odróżnienia. Żeby jednak móc rozpoznać, kto jest kto, marszałek Ustinow włożył błękitny mundur z złotymi pagonami, szef KGB Andropow okulary, a Konstanty Czernienko trzyma w dłoni bukiet róż. Nie jest jasne, czy zamierza je wręczyć Jaruzelskiemu, czy też dostał je od niego na znak przyszłej przyjaźni.

Prasa sowiecka przedstawia wizytę Jaruzelskiego w Moskwie jako zakończenie okresu trwogi i zdenerwowania. W Polsce robi się porządek. Coraz mniej pisze się o wydarzeniach w Polsce. Jedyne, co jeszcze się ukazuje, to opowieści o strasznych minionych przestępstwach wrogów socjalizmu, o „życiach, zmarnowanych złą wolą kontrrewolucji” (wywiady sowieckich dziennikarzy z internowanymi, *Literaturnaja Gazeta* z 17. 2. 1982), o prawdziwych komunistach, co teraz wyszli z podziemia, do którego zagnali ich straszni działacze „Solidarności”. *Literaturnaja Gazeta* z zadowoleniem stwierdza (24. 2. 1982), że w RFN ukazał się „uczciwy, obiektywny reportaż” z Polski. Dwaj „uczciwi i obiektywni” dziennikarze zachodnioniemieccy wprawili w zachwyty widzów sowieckich, gdyż udało im się „naocznie pokazać”, że, po pierwsze, „liderzy 'Solidarności' i KSS KOR nie mieli w gruncie rzeczy nic wspólnego z klasą robotniczą”, a po wtóre, że „zachodni wspólnicy polskiej kontrrewolucji” działali z niezwykłą chytryością i wprowadzili w błąd opinię publiczną.

Wzmianka o „obiektywnym reportażu” dziennikarzy zachodnioniemieckich należy do serii licznych materiałów o Polsce, które można by nazwać „bratnimi głosami”. Zachodnioniemieccy dziennikarze po bratersku udzielają rad polskiej klasie robotniczej i w ogóle Polsce. Porady krajów socjalistycznych są jeszcze bardziej uzasadnione. „Jak wszyscy bracia i gorący przyjaciele narodu polskiego, wietnamscy komuniści radzą mu, co i jak robić” (*Prawda* z 24. 2. 1982); *ditto* amerykański komunista Gus Hall (*Prawda* z 10. 3. 1982), czechosłowaccy komuniści itepe itede.

Przy lekturze tych braterskich porad mimo woli przypominają się słowa bohatera opowiadania Szaloma Alejchema: „Mnie dobrze. Jam sierota”.

Adam KRUCZEK

## Kronika niemiecka

W monachijskim Piper Verlag ukazał się czwarty z kolei tom pism zebranych Sławomira Mrożka pt. *Der Dicke, der lachte und andere Erzählungen* (*Gruby co się śmiał i inne opowiadania*). Tłumacze: Witold Kosny, Christa Vogel i Ludwig Zimmerer. ■ Na XXXII Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie Zachodnim film fabularny *Dreszcze*

w reżyserii Wojciecha Marczewskiego otrzymał trzy nagrody i jedno wyróżnienie, m.in. nagrodę specjalną — *Srebrnego Niedźwiedzia*. Zawarta w tym filmie ostra krytyka stalinizmu nie przypadła widocznie do gustu Kazimierzowi Koźniewskiemu, który podjął próbę zadenuncjowania reżysera w rzekomej polemice, ogłoszonej na łamach tygodnika *Polityka*. ■ Zestaw filmów Jana Lenicy prezentowany był na zorganizowanych w Stuttgarcie I Międzynarodowych Dniach Filmu Animowanego. ■ W sowieckim sektorze Berlina władze NRD wzniosły na nowo pomnik Fryderyka Wielkiego, skierowany twarzą na wschód... ■ Waldemar Ziemiński, młody poeta z Gdańska, prowadzi na kolońskiej *Melanchton-Akademie* cykl wykładów z zakresu historii literatury polskiej. ■ W styczniu br. przybyło do RFN 4.411, a w lutym 3.347 przesiedleńców z Polski. ■ Rząd RFN wyasygnował dodatkową kwotę 100 mln marek na doraźną pomoc Polakom i obywatelom innych krajów wschodnioeuropejskich, ofiarom przesiedłowania okresu hitlerowskiego, które ostatnio przybyły do krajów zachodnioeuropejskich (chodzi o osoby nieżydowskiego pochodzenia). Wnioski o odszkodowanie (maksimum 5 tys. marek) należy kierować na adres: Regierungspräsident Köln, Zeughausstrasse 4-8, 5000 Köln 1. ■ Gabinet boński postanowił, że dyplomaci RFN przebywający w Polsce zająć mają „stanowisko nacechowane rezerwą”, jeśli chodzi o oficjalne imprezy rządu PRL. Równocześnie rząd RFN potwierdził swoje poparcie dla wszelkich form pomocy prywatnej, płynącej z Niemiec Zachodnich. ■ Galowe *matinée* znanych niemieckich aktorów (m.in. Heinz Rühmann, Maria Schell i Cornelia Froboess), urządzone w monachijskim *Nationaltheater*, przyniosło czysty dochód w wysokości 80 tys. marek. Suma jest przeznaczona na pomoc polskiemu kolegom z teatrów w Opolu i Jeleniej Górze. ■ 32 polskich naukowców korzystało w 1981 roku ze stypendiów *Alexander von Humboldt-Stiftung* (53000 Bonn 2, Jean-Paul-Strasse 12). ■ Polscy uchodźcy znajdujący się w obozie w miejscowości Neuburg a.d. Donau (Bawaria) wydają pismo pod nazwą *Latarnik*; zawiera głównie porady prawne i inne praktyczne informacje. ■ Reinhold Lehmann, sekretarz generalny zachodnioniemieckiej sekcji ruchu *Pax Christi* w wywiadzie telewizyjnym: „Jeśli dobrze zrozumiałem katolików polskich, z którymi ostatnio miałem kontakty, to oczekują oni czegoś więcej właśnie od RFN — i to z myślą o straszliwej niemieckiej przeszłości; społeczeństwo polskie wdzięczne jest za pomoc żywnościową i za lekarstwa, wskazuje jednak na brak kroków politycznych i oznak poparcia moralnego”. ■ Ekipy polskich *Pracowni Konserwacji Zabytków* odbudowały, względnie odrestaurowały 16 obiektów w RFN, m.in. bramę Isartor w Monachium, zabytki w Kolonii, Düsseldorfie, Brühl i Frankfurtu. ■ *Caritas* nie będzie pomagał w eksporcie polskich towarów. Junta wojskowa w PRL zwróciła się do zachodnioniemieckiego *Caritasu* z propozycją, ażeby ciężarówki wiozące do Polski żywność, odzież i lekarstwa transportowały w drodze powrotnej do RFN polskie towary przeznaczone na eksport do tego kraju. Sufragan archidiecezji w Paderborn, biskup Paul Nordhues, odmówił udzielenia tego rodzaju pomocy PRL-owskiemu centralom handlu zagranicznego. ■ Archidiecezja Paderborn wysłała do Polski w ciągu stycznia i lutego br. różne artykuły pierwszej potrzeby o wartości 8 mln marek. ■ Teresa Pusylewitsch wydała w serii opracowań *Uniwersytetu Kilońskiego* zbiór dokumentów *Rechtsquellen zur gegenwärtigen Situation in Polen* (*Źródła do studiów prawniczych nad aktualną sytuacją w Polsce*). ■ W salach *Franz-Hitze-Haus* w Münster (Westfalia) otwarta była przez miesiąc wystawa polskiej sztuki ludowej o motywach religijnych z regionu Podkarpacia. Wśród eksponatów przeważały rzeźby w drzewie oraz malowidła na szkle. Inicjatorem wystawy był ksiądz Edward Nitka ze wsi Paszyn. ■ W Hanowerze czynna była wystawa prac fotografika Jacka Kulma z Poznania. Tematem wystawy były sceny z przedsta-

wień *Teatru Nowego* z Poznania. ■ W zachodniobrzeńskim *Schlosspark-Theater* odbyła się niemiecka premiera sztuki Sławomira Mrożka — *Ambador*. W rolach głównych: Boy Gobert i Klaus Schwarzkopf. Prasa niemiecka zamieściła wiele bardzo pochlebnych recenzji. ■ Przebywał w Polsce znany przedstawiciel kół gospodarczych RFN, przewodniczący *Fundacji A. Kruppa* — Berthold Beitz. Przeprowadził on szereg rozmów na temat kulejącej współpracy ekonomicznej między Polską a RFN. ■ W periodyku *Zeitschrift für Ostforschung* ukazała się interesująca praca Hansa-Jürgena Karpa — *Germanisierung oder Seelsorge? Zur Tätigkeit reichsdeutscher Priester in den dem Deutschen Reich eingegliederten Gebieten Polens 1939-1945* (*Germanizacja czy duszpasterstwo? O działalności niemieckich księży na polskich terenach włączonych do Rzeszy Niemieckiej w latach 1939-1945*). ■ W wieku 67 lat zmarł w Mülheim (Zagłębie Ruhry) Luejan Kopera, długoletni kierownik *Komisji Skarbu Narodowego R.P. w Niemczech* i działacz PSL. ■ Wanda Wilkomirska, znana polska skrzypaczka, postanowiła osiedlić się na stałe w RFN. ■ Zaplanowana na kwiecień br. premiera sztuki Adama Hanuszkiewicza *Jeder* została skreślona z programu *Teatru Miejskiego* w Münster. Władze PRL nie wydały Hanuszkiewiczowi paszportu. ■ Walther Leisler Kiep, wiceprzewodniczący frakcji CDU/CSU w *Bundestagu*, odmówił złożenia wizyty w Polsce, ponieważ nie uzyskał zgody na odbycie rozmów z działaczami *Solidarności*, m.in. z Lechem Wałęsą. ■ Kapitan Czesław Kudłek i II pilot Andrzej Smielkiewicz uprowadzili do Berlina Zachodniego samolot AN-24. Na pokładzie samolotu znajdowały się rodziny polskich pilotów. Odpowiedzą przed sądem z wolnej stopy za czasowe ograniczenie wolności innych pasażerów. ■ *Theater der Stadt Essen* urządził wieczór pn. *Zur Freiheit geboren — Zum Leiden bestimmt* (*Urodzeni by być wolnymi — skazani na cierpienie*), poświęcony klasykom polskiej literatury. Aktorzy niemieccy czytali przekłady tekstów Mickiewicza, Krasińskiego, Witkiewicza, Miłosza, Andrzejewskiego i Mrożka. Dochód z imprezy został przeznaczony na pomoc Polsce. ■ Z inspiracji ambasady PRL powstał w Düsseldorfie *Klub Inteligencji Polskiej*. Prezesem *Klubu* został dr Zbigniew Jaźwiński. *Klub* ma na celu „upowszechnianie kultury polskiej, kształtowanie pozytywnego obrazu Polski w społeczeństwie RFN”. W związku z rozwojem sytuacji w Polsce działalność *Klubu* zupełnie zamariła. Niektórzy Polacy i Niemcy dowiedzieli się drogą listowną, że znaleźli się w zarządzie *Klubu*. Spodziewane są liczne wystąpienia. ■ Plakaty i rysunki filmowe Jana Lenicy wystawiano w *Katholische Akademie* w Hamburgu, w *Kunstverein Kassel*, w *Galerii Miejskiej* na *Zamku Oberhausen* i w *Muzeum Plakatu Miasta Essen*. Wydany w Berlinie (*Verlag Fröhlich und Kaufmann*) katalog zawiera 185 barwnych reprodukcji. Cena 48 DM. ■ Ilustracje do książek 7 polskich grafików i malarzy można było oglądać w *Galerii Ars Polony* w Düsseldorfie. Polscy artyści nie przybyli na otwarcie wystawy. ■ Ryszard Batory, kierownik działu zagranicznego łódzkiej *Solidarności* (obecnie we *Frankfurcie n/Menem*), oświadczył w wywiadzie udzielonym agencji ASD, że transporty lekarstw i sprzętu medycznego idące z RFN do Polski są rekwirowane przez sowieckich żołnierzy i wysyłane do Moskwy; tylko część lekarstw i aparatów medycznych jest „sprzedawana polskimi szpitalom”. Tego rodzaju wypowiedzi bez pokrycia powinny być napiętnowane z całą stanowczością, ponieważ poważnie utrudniają prowadzoną na szeroką skalę przez Niemców akcję pomocy Polsce. ■ Ambasada PRL w Madrycie i członkowie delegacji PRL na madrycką *Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie* nie przyjęli listy internowanych w Polsce, przywiezionej do Madrytu przez delegację *Międzynarodowego Towarzystwa Obrony Praw Człowieka* z siedzibą we *Frankfurcie*. ■ Prasa zachodniemiecka nie zapomniała o 60-tej rocznicy urodzin Władysława Bartoszewskiego, polskiego historyka

i publicysty katolickiego, uwięzionego obecnie w obozie w Drawsku Pomorskim. „Kiedyś pomagał polskim Żydom, teraz potrzebuje naszej pomocy” — pisze Harald Biskup, kreśląc sylwetkę Bartoszewskiego na łamach *Kölner Stadt-Anzeiger*. Natchmiastowego zwolnienia „działacza katolickiego i zaangażowanego rzecznika pojednania między Polakami i Niemcami” domaga się *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. ■ *Niemiecki Czerwony Krzyż* wysłał do Polski 3 marca br. 28 ciężarówek z ładunkiem lekarstw i sprzętu medycznego o wartości 3,3 mln marek. Pomoc dotarła bez przeszkód do 32 szpitali. W okresie kwiecień 1981 - luty 1982 wartość towarów pierwszej potrzeby, wysłanych do PRL przez *Niemiecki Czerwony Krzyż*, *Caritas* i *Diakonisches Werk* opiewa na sumę 56 mln marek. *Caritas* zwiększył swoją pomoc dla Polski w 1982 roku trzykrotnie. ■ Zachodniobrzeńska sekcja *Niemieckiego Czerwonego Krzyża* (DRK) przeprowadziła w styczniu zbiórkę pieniędzy i darów rzeczowych przeznaczonych na pomoc humanitarną dla Polski. Zebrano ok. 1,2 mln marek. ■ Pomocą dla województwa lubelskiego zajmuje się DRK (sekcja w Nadrenii). Ostatnim transportem zawieziono w Lubelskie 64 tony żywności, odżywek dla dzieci, lekarstw, odzieży i środków higienicznych. Dary o wartości 2,6 mln marek były w dużej części przeznaczone dla uwięzionych w obozach; rozdziałem zajęła się diecezja lubelska. ■ 2,2 mln marek przyniosła kolektka przeprowadzona w kościołach archidiecezji kolońskiej. Suma została przeznaczona na pomoc poszkodowanym przez powódź mieszkańcom diecezji płockiej. ■ Pracownicy *Westdeutscher Rundfunk* (radio i TV) w Kolonii zebrali 56 tys. marek i wysłali najstarszemu uposażonym pracownikom *Polskiego Radia i Telewizji* 10,3 ton żywności i proszków do prania. Akcja pomocy będzie kontynuowana (sugerujemy położenie większego nacisku na proszek do prania... sumień — Red.). ■ Po zniesieniu opłat na paczki wysyłane z RFN do Polski centralna rozdziałnia w Hanowerze ekspediuje do naszego kraju ok. 35 tys. przesyłek dziennie. Gratisowe porto zostało na razie ograniczone do 30 czerwca br., ale prawdopodobnie zostanie przedłużone do końca roku. Poczta zachodniemiecka poniesie w związku z tą operacją straty w wysokości ok. 42,5 mln marek. Poczta NRD-owska pobiera nadal opłaty transportowe, należną część dawnych opłat pobiera także PRL-owska poczta. Z tego widać, że cierpliwość zachodniemieckiego podatnika jest niewzruszona... ■ O prywatnej pomocy społeczeństwa z RFN prasa krajowa stale milczy, ale z małymi wyjątkami. *Życie Warszawy*: „Niemiecka Partia Komunistyczna — DKP, wysłała do Polski transport z darami. Kilka ciężarówek (nie podano, ile — przyp. A. J. Ch.) wiezie cenne lekarstwa oraz odżywki dla dzieci. Jak oświadczył w (...) Bonn przedstawiciel DKP, partia zamierza w ten sposób zmanifestować swoją solidarność z Polską”. ■ Zaniepokojenie organizacji charytatywnych w Niemczech Zachodnich budzi powołanie w Polsce *Rządowo-Spolecznej Komisji do Spraw Koordynacji i Rozdziału Darów z Zagranicy*. Komisja ma „doskonalic system i sposób rozdziału darów napływających do Polski, zwiększenie skuteczności kontroli (...) działalności Polskiego Czerwonego Krzyża w systemie rozdzielnictwa darów. Postanowiono ujednolicić kryteria rozdzielnictwa darów na terenie całego kraju”. W związku z tym bp Czesław Domin, koordynujący akcję kościelnych organizacji rozdzielających dary, stara się stworzyć gęstą sieć placówek polskiego *Caritasu*, które mogłyby sprawnie prowadzić całą akcję. Niektóre niemieckie organizacje kościelne ostrzegły władze PRL, że jakakolwiek próba przejścia przez nie rozdzielnictwa darów może oznaczać zmniejszenie do minimum prywatnej pomocy płynącej z Zachodu. ■ Dziwna wizyta: na cztery dni przyjechał do Polski Herbert Wehner, przewodniczący frakcji SPD w *Bundestagu*. Wehner twierdził, że udał się do Polski z prywatną wizytą. *Życie Warszawy* było natomiast innego zdania i napisało (ogłoszony przedtem obszerny wywiad), że przybył do PRL na zaproszenie prezesa *Klubu*

Poselskiego PZPR w Sejmie Kazimierza Barcikowskiego. Później okazało się, że nie Barcikowski tylko Ryszard Wojna i Józef Cyrankiewicz namawiali usilnie Wehnera do złożenia wizyty w Polsce, zresztą bardzo skrupulatnie przygotowanej przez Karstena D. Voigta, rzeczownika d/s polityki zagranicznej we frakcji SPD w Bundestagu. Kanclerz Schmidt udawał początkowo zaskoczonego podróżą Wehnera do Warszawy a *Auswärtiges Amt* poczuło się nawet obrażone, że Wehner nie przeprowadził w tym urzędzie odpowiednich konsultacji. Chowanie przez polityków SPD i FDP głowy w piasek jest już przysłowiowe; wszyscy zdziwieni, zaskoczeni a prasa niemiecka już tydzień wcześniej pisała o skandalicznym braku lojalności w stosunku do zachodnich sojuszników. „Prywatna wizyta” wyglądała w skrócie następująco: Wehner konferował z gen. Jaruzelskim, Rakowskim, Barcikowskim, Olszowskim i Werblanem. Warto też wymienić niektórych posłów: Kazimierz Morawski (*ChSS*), Janusz Stefanowicz („PAX”), Janusz Zabłocki („ZNAK”), Józef Barecki, Zbigniew Gertych, Janusz Przymanowski, Ryszard Wojna, Stanisław Wroński (5-ciu ostatnich z PZPR) i Wojciech Żukrowski (bezpartyjny). Herbert Wehner spotkał się ponadto z bp. Dąbrowskim. Nie wiadomo tylko, czy widział się z Albinem Siwakiem. Wielu obserwatorów zachodnich wskazuje z racji tej wizyty na neutralistyczne tendencje dochodzące do głosu w polityce rządu koalicyjnego w Bonn oraz, że podróż stanowi istotny wyłom w postawie Zachodu w stosunku do junty wojskowej, pomagając jej w przełamaniu izolacji w jakiej znalazła się po 13 grudnia ub. roku. Ludwig hr. Stauffenberg, poseł z ramienia CSU do Bundestagu, oskarżył Wehnera wręcz o „tajną misję” i forsowanie „ukrytej współpracy rządu federalnego z komunistycznym reżymem wojskowym”. Franz Josef Strauss oświadczył, że Wehner „wyświadczył złą przysługę narodowi polskiemu”. ■ Wielostronicowy polityczny esej Adama Michnika, przemycony z obozu w Białogórze, został opublikowany w hamburskim tygodniku *Der Spiegel*.

Andrzej J. CHILECKI

P.S. Autor *Kroniki* zwrócił się listownie do *Polskiej Misji Katolickiej w Niemczech* z prośbą o udzielenie odpowiedzi na szereg pytań odnośnie działalności *Misji*, które interesują Polaków zamieszkałych w RFN. Ks. prałat Stefan Leciejewski odpowiedział następująco: „Na list z dnia 21 bm. (lutego — przyp. A.J.Ch.) donoszę uprzejmie, że *Misja* nasza wysyła sprawozdania, odbitki itd. tylko do swej Władzy Duchownej”. Czy bp Szczepan Wesoły w Rzymie podziela powyższe stanowisko?

## Kronika ukraińska

Prasa ukraińska w Kanadzie nie tylko zamieszcza sporo informacji z Polski i o Polsce, ale ponadto prawie wszystkie komentarze są zdecydowanie życzliwe i podnoszą znaczenie ruchu wolnościowego i „Solidarności”. Niemal wszystkie organizacje emigracyjne, w jakiejś formie, wyraziły protest z powodu wprowadzenia stanu wojennego oraz uznanie dla narodu polskiego za jego postawę. „Państwowy Ośrodek Ukraińskiej Narodowej Republiki na Emigracji” w związku z wypadkami w Polsce skierował obszerny

apel do społeczności ukraińskiej. Wyraża on pełną solidarność z „Solidarnością” i wzywa organizacje ukraińskie do manifestowania ich solidarności z Polakami w nadziei, że kiedy powstanie niepodległa Ukraina, to na zasadach pełnej równości i sprawiedliwości zostaną załatwione z niezawisłym rządem Polski wszystkie problemy polsko-ukraińskie. Apel podpisali: pp. Mykoła Lewickij — prezes, Mykoła Stepanenko — wiceprezes, Wołodimir Biljajiw — przewodniczący Ukraińskiej Rady Narodowej i Jarosław Rudnykij — szef rządu. ■ Tygodnik *Kanadyjskyj Farmer*, najstarsze pismo w języku ukraińskim, które wychodziło w Winnipegu od 1903 roku, zakończyło samodzielny żywot z końcem 1981 roku i zostało dodatkiem do tygodnika *Ukraińskij Holos*. ■ Ukazało się podstawowe opracowanie statystyczne o Ukraińcach w Kanadzie — *Statistical compendium on the Ukraina in Canada*. Opracowanie ma objętość 834 stron, zostało zredagowane przez Williama Darkovicha i Paula Juzyka, a wydane przez Ottawa University Press. ■ Dr Natalia Aponiuk została mianowana pierwszym dyrektorem Centre for Ukrainian Canadian Studies w St. Andrew's College Uniwersytetu Manitoba w Winnipegu. ■ W skład nowego rządu prowincji Manitoba, utworzonego przez Howarda Pawleya, przywódcę Nowej Partii Demokratycznej (odpowiednik europejskiej partii socjal-demokratycznej), weszło 4 posłów pochodzenia ukraińskiego, którzy objęli następujące resorty: San Uskiw — ministerstwo usług rządowych i dróg, Eugene Kostyza — dwa ministerstwa: spraw konsumentów oraz spraw miejskich i kulturalnych, William Uruski — sprawy gospodarki rolnej, Wilson Parasiak — ministerstwo energetyki i kopalnictwa. Ponadto mandaty zdobyli z ramienia tejże partii trzej dalsi posłowie pochodzenia ukraińskiego. ■ Katedra ukrainoznawstwa Uniwersytetu Toronto, na czele której stoi dr Paul R. Magoesi, wkroczyła w drugi rok działalności. W 1980 roku o obsadę tej katedry toczyła się ostra walka na terenie Uniwersytetu i społeczności ukraińskiej. Komitet profesorski uznał za najlepszą kandydaturę dr. Magoesi, młodego pracownika naukowego Harvard University, co spotkało się z protestem jednego z profesorów pochodzenia ukraińskiego. W następstwie tego kilkunastu profesorów pochodzenia ukraińskiego wystosowało do rektora prof. Hama pismo, a niezależnie od tego studenci ukraińscy organizowali protesty. Dr Magoesi, autor kilku wysoko ocenionych prac historycznych, m.in. obszernego dzieła o Rusi Podkarpackiej, jest wnukiem imigrantów z tego regionu, urodzonym w Stanach Zjednoczonych. Nie identyfikuje się z żadną ukraińską grupą nacjonalistyczną, natomiast wskazuje na pewne odrębności poszczególnych grup, a w szczególności Rusi Podkarpackiej, twierdząc, że są to *Rusyny* a nie *Ukraińcy*. Animozyje tak w gronie profesorskim, jak i w społeczności ukraińskiej zostały szybko przewyciężone, gdyż stwierdzono wysokie kwalifikacje naukowe młodego profesora. Obchód pierwszej rocznicy utworzenia katedry był wielką manifestacją zadowolenia z działalności tej placówki. Prof. Magoesi pracuje obecnie nad podręcznikiem historii Ukrainy i przygotowuje trzytomową pracę o Ukraińcach w Galicji.

B. H.

## Kronika kulturalna

### Nowe zadania poezji polskiej

Poezja polska XX wieku została naznaczona przez traumatyczne doświadczenie lat 1939-1945. W ciągu dziesiątków lat jakie upłynęły od tamtego czasu odbywało się przyswajanie i destylowanie tego doświadczenia, mimo że wyrosły nowe generacje nie obeznane z tamtymi wydarzeniami bezpośrednio. Wskazuje to, jak głęboko zapadły w świadomość zbiorową pewne fakty i jak bardzo obecny w poezji polskiej jest problem terroru, choć może występować w postaci szyfru i kaligraficznego hieroglifu. Wspominam o tym dlatego, że w Polsce, kraju o wyjątkowo żywej pamięci historycznej, wszystko odbywa się nieco inaczej niż gdzie indziej, z czego nie zawsze zdają sobie sprawę i jej przyjaciele i jej wrogowie.

Problem terroru czy problem przegranej. Bo niewątpliwie ważny czytelnik poezji polskiej natrafi w niej na proces wytoczony kulturze europejskiej i pojęciu Europy. Kulturze europejskiej, dlatego że posłużyła za piękną fasadę, za którą monstra przygotowywały się do skoku. Pojęciu Europy, dlatego, że kolonialny handel narodami przeniesiony do jej wnętrza dał w wyniku podział na tak zwane strefy wpływów, najpierw paktem z 23 sierpnia 1939 roku pomiędzy Hitlerem i Stalinem, następnie ugodą w Jałcie. Żeby zrozumieć skąd wzięła się Solidarność, dzieło ludzi młodych, należy sobie uświadomić, że ich rodzice żyli w kraju poniżonym, gdzie slogany nie mogły przesłonić prawdy o dalszym ciągu kłęski 1939 roku, bez chwili zwycięstwa.

W ostatniej dekadzie XIX wieku, kiedy Polska nie istniała

\* Przemówienie Czesława Miłosza w PEN-Klubie francuskim w Paryżu 27 lutego 1982.

na mapie Europy, powstała Polska Partia Socjalistyczna. Jej program łączył rewolucję społeczną z walką o niepodległość kraju. Klasa robotnicza miała stać się spadkobiercą całej tradycji narodowej i przewodzić w walce o wolność. Przewidywania zawarte w tym programie okazały się trafne, ale nie prędko. Dopiero uprzemysłowienie w Polsce Ludowej przeniosło miliony chłopów do miast i stworzyło warunki działania dla licznej ludności miejskiej. Powtórzyła się jakby na większą skalę faza pierwszego uprzemysłowienia w początku stulecia, kiedy robotnicy polscy okazali się w rewolucji 1905 roku szczególnie aktywną siłą występującą przeciwko carskiemu imperium. Teraz jednak nie było już właścicieli majątków ani fabryk, znikł też przedział pomiędzy robotnikami i intelektualistami, bo są to najczęściej synowie i córki tych samych rodzin. Dżinn został wypuszczony z butelki. Robotnicy potwierdzili nadzieje socjalistów z początku stulecia, rzeczywiście przejmując wartości kiedyś podtrzymywane przez inteligencję pochodzenia szlacheckiego, organizując się od dołu i zwracając się przeciwko biurokratycznemu aparatowi. Po raz pierwszy od 1939 roku Polska poczuła się w sierpniu 1980 krajem wolnym.

Trzeba to powiedzieć jasno: Solidarność mogła stać się ruchem masowym dlatego tylko, że aspiracje społeczne połączyły się w niej z aspiracjami narodowymi. Europa XX wieku zna wzór nacjonalizmu umieszczającego się na prawicy. W Solidarności nastąpiło przełamanie tego wzoru i jakby nawiązanie do demokratycznych ruchów epoki romantyzmu albo do wzoru Komuny Paryskiej, która, jak wiadomo, była tyleż rewolucyjna co patriotyczna. Każdy poeta polski, i nie stanowi tu wyjątku, czuł, tak samo jak czuły miliony Polaków, ogromną historyczną wagę odbywających się wydarzeń. Jakikolwiek są w naszym stuleciu definicje poezji, jest pewne, że poezja polska pozostaje uwikłana w spazmatyczną historię jednego kraju, co może być słabością, ale może też być wielką siłą. Pewne daty z historii Polski są kluczowe dla zrozumienia jej poezji. Również teraz istniała u poetów świadomość uczestniczenia w wypadkach, których nic nie zdoła zatrzeć w pamięci pokoleń. Nasuwały się analogie z sejmem uchwalającym w Warszawie konstytucję 3 maja 1791 roku.

Śczęśliwy jest poeta, któremu choć raz w życiu dane było zrzucić brzemień samotnego indywidualizmu i przebywać wśród ludzi jako równy wśród równych. Mam na myśli wewnętrzne przezwyciężenie izolacji, niemożliwe bez poczucia braterstwa, a nawet podziwu i szacunku. Tego szczęścia zaznałem latem 1981 roku podczas wizyty w Polsce. Jeden z moich amerykańskich

kolegów, który odwiedził Polskę w okresie Solidarności, powiedział mi, że zobaczył rzecz niezwykle rzadką: kraj bez alienacji. I nie mylił się. Było to jakby strach został wzięty w nawias — ten strach, który przez dziesiątki lat wznosił przegrody zarówno pomiędzy człowiekiem i człowiekiem, jak pomiędzy człowiekiem i państwem. Miałem też to szczęście, że moja potrzeba uwielbienia, być może jedna z najgłębszych potrzeb poety, znalazła swój przedmiot kiedy spotkałem Lecha Wałęsę. Powiedziałem mu: „Jesteś moim wodzem” i uświadomiłem sobie, że to niemało jeżeli w jakimś kraju robotnik może zostać przywódcą całego narodu.

W ciągu szesnastu miesięcy kiedy działała Solidarność aparat policyjny nadal istniał i przygotowywał swój odwet, uciekając się na razie do lokalnych prowokacji. Ogłoszenie stanu wojennego przez juntę wojskową mogłoby zachować pozory akcji patriotycznych generałów, tak jak chce ich propaganda, tylko w kraju o krótszej pamięci historycznej niż Polska. W istocie data 13 grudnia 1981 roku została natychmiast zrównana przez opinię publiczną z innymi datami klęski i podboju przez obce wojska. Z jednej strony jest to na przykład data Targowicy, 1792, kiedy to kilku arystokratów dało się użyć za instrument Katarzynie Wielkiej i jej armii. Nazwiska ich są dotychczas w języku polskim synonimem zdrady i nazwiska obecnych wielkorządców zdają się być uzupełnieniem listy. Z drugiej strony, urazowe przeżycie okupacji niemieckiej 1939–1945 tak mocno tkwi w świadomości zbiorowej, że następuje automatyczny niemal powrót do postaw ruchu oporu.

W ciągu XIX wieku Rosja próbowała różnych rozwiązań „sprawy polskiej”, wykazując przy tym i ogromną przebiegłość i zupełne niezrozumienie tych historycznych determinant, które uodporniały Polaków na wszelkie próby ich wchłonięcia przez — jak to nazywał Puszkina — „słowiańskie morze”. Tę samą mieszaninę przebiegłości i ślepoty obserwujemy dzisiaj. Już inwazja Czechosłowacji w 1968 roku była, jeżeli oceniać ją z dalszej perspektywy, błędem. Czesi, do tej chwili tradycyjnie prorosyjscy, nagle i na pewno na długo schronili się w ukrywaną nienawiść do najeźdźców ogłaszających swoje dekrety z wierzyczki czołgu. Co będzie miało konsekwencje w przyszłości. W wypadku Polski, pomysł rządu 36-milionowym narodem z całkowitym lekceważeniem jego jasno wyrażonej woli może być określony tylko jako szalenstwo. Ustrój importowany do Polski wykazał swoje czysto faszystowskie cechy. Dla poezji polskiej zaczął się nowy okres, zapewne podobny do okresu okupacji niemieckiej. Przez kilka dziesiątków lat po wojnie ta poezja

doskonaliła język ezopowy, omijający zakazy cenzury. Tym razem stanęła wobec nagich faktów nie przesłoniętych przez żadną doktrynę.

Czesław MIŁOSZ

## Śmierć Szałamowa

Los był dla Warłama Szałamowa do końca bez litości. Umarł 17 stycznia 1982, nie wiedząc być może, że „Opowiadania kołymskie”, książka jego życia, opublikowana po rosyjsku w Londynie\*, ukazuje się w trzyltomowym wydaniu po francusku, a w dwutomowym po angielsku. Ale wiedział, że umiera za Słowo. Wiedział, że zabijają go za Słowo. Śmierć siedemdziesięcioletniego pisarza była morderstwem. Ostatnie lata Warłam Szałamow spędził w domu starców, głuchy, prawie ślepy. W październiku-listopadzie 1980 roku podyktował piętnaście krótkich wierszy. Opublikowano je w Paryżu w 133 numerze *Więsnika Russkowo Christianskowo Dwiżenija*. Kiedy numer dotarł do Moskwy, władze zwołały lekarzy, którzy zdecydowali, że Szałamowa należy przetransportować do szpitala psychiatrycznego. Szałamow stawiał opór — w miarę swoich sił — przekonany, że znowu go wiozą do więzienia. W szpitalu psychiatrycznym umarł.

Szałamow zaczął swą drogę przez mękę w 1929 roku, kiedy go jako dwudziestodwuletniego studenta Uniwersytetu Moskiewskiego aresztowano i skazano na pięć lat obozu. W 1937 roku aresztowano go ponownie i „niezgodnie z prawem represjonowano”, jak delikatnie wyraża się „Mała encyklopedia literatury”; w 1942 przedłożono mu wyrok „do końca wojny”, a w 1943 otwarto nowe śledztwo w sprawie „oszczerczego twierdzenia”, jakoby Bunin był klasykiem literatury rosyjskiej. Szałamow skazany został na 10 lat łagru.

Koniec wyroku zbiegł się ze śmiercią Stalina. Szałamow musiał jednak jeszcze kilka lat walczyć o prawo powrotu do „macierzy” z Kołymy, na której spędził większą część wyroku. Powrót do Moskwy pięćdziesięcioletniego pisarza, który połowę życia spędził w łagrach, nie przyniósł mu samych radości. Więzy rodzinne nie wytrzymały wieloletniej rozłąki. Wiersze Szałamowa publikowano skąpo, opowiadania po prostu odrzucano.

\* Warłam Szałamow, *Kołymskie rasskazy*, Overseas Publications, Londyn 1978. W 1981 Szałamow dostał za tę książkę nagrodę francuskiego PEN-Clubu.

Los gotował mu kolejne ciosy. W latach sześćdziesiątych, w okresie rozkwitu samizdatu, jego opowiadania przedostały się na Zachód, publikowano je jednak po jednym-dwa, to tu, to tam. Wyobraźmy sobie, że odnaleziony na jakimś strychu obraz Rembrandta pocięto by na małe kawałeczki, które by wystawiono jako zbiór skrawków. Można by się było domyślać, że chodzi o wielkie dzieło, ale obrazu by nie było. Mało tego. W 1972 roku Borys Polewoj, prawdziwy sowiecki pisarz i człowiek, redaktor *Junosti*, w której drukowano niekiedy wiersze Szałamowa, zażądał od niego, aby wyrzekł się „Opowiadań kołymskich”. Chory, umęczony pisarz podpisuje papierek, w którym oświadcza, że „życie odebrało problematyce 'Opowiadań kołymskich' aktualność”. W ten sposób w redakcji moskiewskiego czasopisma *Junost'* Kołyma doznała swego wiecznego aresztanta, ofiarę, która wymknęła jej się z rąk.

Warłam Szałamow wypowiedział się o swojej książce wierszem:

*Jestem jak te skamieliny  
Co pojawiają się przypadkiem  
By pokazać światu całość  
Geologicznej tajemnicy.*

Wszystko w tym czterowierszu jest prawdą: Szałamow ocalał przypadkiem i do końca obnażył tajemnicę. Ale opowiadania jego nie były tylko „ujawnieniem tajemnicy” kołymskich obozów. Nie były tylko świadectwem. „Opowiadania kołymskie” to nie literatura obozowa — to literatura: obraz człowieka „na dzień zezwierżenia i rozpaczy” (A. Sołżenicyn). Autor „Opowiadań kołymskich” powiada o swej książce: jest to „obraz tego, co widziałem w krzywym zwierciadle podziemnego świata”, i dodaje — „wracałem z piekła”.

Już po przeczytaniu pierwszych opowiadań odnosi się wrażenie, że inaczej trudno powiedzieć: piekło, ostatnie kręgi piekła. Bo wydaje się, że nie ma nic gorszego niż piekło. Ale Kołyma nie była piekłem, przynajmniej nie w jego religijnym rozumieniu. Piekłem karze się grzeszników; w piekle męczą się winni. Piekło to triumf sprawiedliwości. Kołyma to triumf zła absolutnego. Kołyma nie była piekłem, była sowieckim przedsiębiorstwem, z którego kraj czerpał złoto, węgiel, ołów i uran, za które płacił trupami.

Kołyma to brat bliźniak hitlerowskich obozów śmierci. Ale i od nich się różni. Nie tym oczywiście, że w Oświęcimiu i Treblince ludzie palono w komorach gazowych, a na dalekiej sowieckiej północy, na kole polarnym, umieszczano ich w brezentowych dziurawych namiotach. Różnica polega na tym, że w hitlerowskich obozach zagłady ofiary wiedziały dlaczego giną. Ludzie mordowani przez hitlerowców wiedzieli, że umierają dlatego, że są przeciwnikami ustroju faszystowskiego, polskimi patriotami albo Żydami, albo rosyjskimi jeńcami wojennymi. Ten, kto ginął

w kołymskich i innych obozach sowieckich umierał, *nie wiedząc dlaczego*.

Nigdy jeszcze w dziejach literatury światowej pisarze nie zetknęli się z niczym takim, jak masowa zagłada ludzi, nie wiedzących dlaczego się ich zabija, wycisnąwszy z nich uprzednio wszystkie soki. „Temat niewyobrażalny a przecież realny, istniejący naprawdę, żyjący obok nas” — pisał Szałamow. Ale jak pisać o człowieku w łagrze, człowieku, który wykroczył poza ramy człowieczeństwa? Jakimi cechami powinien się odznaczać pisarz, który zdecydował się ze śmierci i życia w łagrze zrobić przedmiot literatury?

Zinajda Gippius wątpi w możliwość takiej literatury. Oto jej wiersz „Ostatni krąg”:

*Szczęśliwys, Dante, że za sprawą druha,  
w siedzibie zmarłych nie wszystko widziałeś,  
że cię przewodnik odwiódł od kręgu  
Ostatniego — że go nie poznałeś.  
Jeśli byś nawet nie umarł ze zgrozy —  
I tak byś o nim nam nie opowiedział.*

Pisarz, który odkrywa „geologiczną tajemnicę”, tajemnicę oporu jaki stawiał sowiecki materiał poddany naciskowi nie do wytrzymania, musi przede wszystkim odznaczać się nieustraszoną odwagą. Nic prostszego jak opowiedzieć o zgrozie. Ale to nie cała prawda. To dopiero opowieść o katach i ofiarach. Zaś prawda o człowieku w łagrze, ta prawda, którą obnaża Szałamow, to to, że ofiara nierzadko staje się katem, a człowiek łatwo godzi się na byt niewolnika, bo z człowiekiem można zrobić wszystko. Pisarz, który poznał dno Hadesu, głosi straszną prawdę: „Łagier był wielką próbą moralnych sił człowieka, zwykłej etyki ludzkiej, i dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi próby tej nie wytrzymało”.

Nieustraszona odwaga Szałamowa wyraża się w tym, że pytanie o sens istnienia ludzkiego stawia on w jego obnażonej, obozowej formie: dlaczego ludzie dalej żyją w obozie, w którym życie nie jest możliwe? Dlaczego nie popełniają samobójstwa? Pisarz odpowiada: bardzo nielicznych podtrzymywała wiara w Boga — ale podkreśla: wiara, pozwalająca znieść cierpienia, była na Kołymie zjawiskiem nieczęstym. Przeważająca większość więźniów żyje — bo ma nadzieję. Warłam Szałamow nadzieję odrzuca, widzi w niej zło: „Nadzieja to dla więźnia zawsze kajdany. Nadzieja — to zawsze niewola”.

Opowiadanie o więźniu żyjącym nadzieją i wytrzymującym nieopisane cierpienia staje się opowieścią o sowieckim człowieku, którego wychowanie opiera się na wierze w szczęśliwe jutro. Zaraz po rewolucji w miastach młodej republiki sowieckiej wypisywano na ścianach hasło: „Bądź bezlitosny, aby dzieciom twoim uśmiechnęło się złote słońce komunizmu”. W polarnej twoim uśmiechnęło się złote słońce wspomina nadzieję na „złote słońce kołymskiej nocy Szałamow

komunizmu". Odrzucając złudne nadzieje, pisarz przeciwstawia im wolę wolności. O głównym bohaterze „Opowiadań kołym-skich”, który nazywa się różnie — Andriejew, Gołubiew, Krist, Szałamow — ale zawsze wyraża myśli autora, dowiadujemy się: „Nigdy nie byłem na wolności, a wolny byłem przez wszystkie dorosłe lata mego życia”.

Tajemnica prawdziwej sztuki jest nie do wyjaśnienia. Odwa-ga stanowi jej niezbędny element. Poza tym jednak trzeba umieć przekazać wiarę w uczciwość, dobroć i godność ludzką. Przeciawiający setki losów ludzkich, Szałamow uważnie wydobywa z wiecznych lodów złości, nienawiści, okrucieństwa i obojętności złote ziarenka dobroci, ludzkich uczuć, miłości. Pisarz docenia, zapamiętuje i przenosi na stronie książki każdy przejaw do-broci nie tylko dlatego, że były one rzadkie, ale i dlatego, że były wyzwaniem rzuconym katom. Dobroć była buntem. Szczególnie miejsce zajmuje w książce opowiadanie „Ostatni bój ma-jora Pugaczowa”. Bohaterem jego jest człowiek, który porzucił tchórzliwą nadzieję i zdecydował się umrzeć z bronią w rękę, jak wolny człowiek. Major Pugaczow i jego jedenastu towarzy-szy znalazło w sobie siły na wiarę w wyższą wartość wolności: uciekli z obozu i zginęli w walce, szczęśliwi i wolni.

„Opowiadania kołymskie” to zwierciadło, w którym odbija się dno Hadesu. Ale świat obozowy jest odbiciem życia w „większej zonie”. Jest przedłużeniem ustroju sowieckiego, skoncentrowaną esencją społeczeństwa sowieckiego.

Warłam Szałamow napisał książkę straszną. Stała się ona wielką literaturą, bowiem pisał ją poeta. Człowiek, którego opuściły wszelkie uczucia, człowiek na samym dnie nadal dostrzegał przyrodę — niebo, śnieg, niezmordowane karłowate krzaczki sy-birskie, kwiaty i trawy krótkiego i bujnego polarnego lata. War-lam Szałamow opisał, jak łatwo i jak trudno zabić człowieka. Przechował pamięć o tym, co w człowieku najstraszniejsze i naj-lepsze. Los był dla niego bez litości, ale pozwolił mu napisać książkę, która zostanie w literaturze najokrutniejszym pomni-kiem XX wieku.

Michał HELLER

## O poezji polskiej w Paryżu

W sobotę 27 lutego, Francuski PEN-Klub zorganizował przy współdziałaniu Stowarzyszenia Francuskich Pisarzy (Société des Gens de Lettres de France) i francuskiego radia (Radio-France), w Hotel de Massa (siedzibie S.G.L.F.) zebranie poświęcone polskiej poezji. Na zebranie to przyjechał ze Stanów Zjednoczo-

nych specjalnie zaproszony przez Francuski PEN-Klub Czesław Miłosz, którego przemówienie zamieszczamy powyżej (pełny tekst francuski tego przemówienia ogłosił *Le Monde* z 2 marca 1982 na pierwszej i drugiej stronie).

Zebranie otworzył René Tavernier, Prezes Francuskiego PEN-Klubu (pisarz i publicysta, podczas ostatniej wojny założyciel i redaktor najlepszego pisma literackiego francuskiego Ruchu Oporu, *Fontaine*) i François Billetdoux, prezes Stowarzyszenia Francuskich Pisarzy (jeden z czołowych dramaturgów francuskich). Tavernier powiadomił zebranych o kooptacji przez Fran-cuski PEN-Klub, w charakterze członków zagranicznych, nastę-pujących pisarzy polskich: Artur Międzyrzecki (wiceprezes Pol-skiego PEN-Klubu), Władysław Bartoszewski (sekretarz generalny Polskiego PEN-Klubu), Bronisław Geremek, Julia Hartwig, Jan Józef Lipski, Adam Michnik, Krzysztof Pomian. „Postawie-nie dzisiejszego zebrania pod znakiem poezji, a więc najwyższej formy języka, tak odmiennej od żargonu, którym posługuje się władza — ciągnął Tavernier — sprawia, że obecny jest dziś wśród nas sam duch narodu polskiego. Poezja polska głosi od wieków słowo niezachwianej nadziei. W naszej epoce, gdy tak często bierze górę to co najgorsze, nadzieja ta jest gwaran-tem honoru ludzkości i stałym napomnieniem, że obowiązkiem naszym jest opór przeciw wszelkiej opresji”.

W słowie wstępnym, poprzedzającym właściwe przemówienie, Czesław Miłosz wyraził w imieniu zmuszonych do milczenia pi-sarzy polskich wdzięczność za wyjątkowo żywą solidarność oka-zaną przez naród francuski narodowi polskiemu „w narzuconej mu na nowo ciężkiej próbie”. Miłosz przypomniał następnie, że najwyższe dzieła polskiej poezji powstały w ubiegłym wieku na emigracji — a zwłaszcza w Paryżu — i oświadczył: „Myślę, że byłoby zgodne z powołaniem i tradycją Francji okazać dziś po-moc kulturze, a zwłaszcza literaturze polskiej, która nie będzie mogła przez pewien czas swobodnie się rozwijać w Kraju. Fran-cja winna stanowić azyl dla polskiej twórczości literackiej w czasie burzy”.

Po Miłoszu przemawiali kolejno: Pierre Emmanuel (poeta, były prezes PEN-Klubu Francuskiego i Międzynarodowego), Claude Roy (pisarz i krytyk, członek redakcji lewicowego tygod-nika *Le Nouvel Observateur*) i Józef Czapski. Na koniec zabrał głos Jean Blot, francuski powieściopisarz i krytyk, sekretarz Międzynarodowego PEN-Klubu, oznajmiając, że w związku z wy-padkami polskimi Międzynarodowy PEN-Klub powołał do życia specjalny ośrodek w Genewie, który będzie się zajmował spra-wami pisarzy na uchodźstwie<sup>1</sup>.

Przemówienia były przeplatane recytacją wierszy polskich we francuskim tłumaczeniu (a niektórych również w oryginale) —

1. Francuski PEN-Klub wyda broszurę zawierającą wszystkie te wypo-wiedzi. Zamówienia należy kierować do PEN-Club Français, 6, rue Fran-çois-Miron, 75004 Paris.

od Norwida poprzez Miłosza, Ważyka, Gałczyńskiego, Wojtyłę, Julię Hartwig, Herberta do Barańczaka, Krynickiego, Zagajewskiego. Wiersze recytowali: wybitna aktorka francuska Susanne Flon oraz trzej Polacy — Daniel Olbrychski, Roman Polański i Andrzej Seweryn. Komentował je K. A. Jeleński, przedstawiając francuskim słuchaczom w kilku słowach poetów, którzy je napisali.

Ze względu na niewielkie rozmiary sali w pałacyku de Massa, wstęp był ograniczony do osób zaproszonych imiennie. W wypełnionej sali zebrało się przeszło 300 słuchaczy, w tym 250 pisarzy francuskich. Zebranie zostało w całości nagrane przez Radio-France, które poświęciło mu specjalny, półtoragodzinny program w piątek 5 marca. Długi wywiad z Czesławem Miłoszem stanowił poza tym ostatni numer niezmiernie popularnej *Radioscopie*, programu prowadzonego od czternastu lat przez Jacques Chancel. Oba programy zostaną wydane przez Radio-France w postaci taśm dźwiękowych, które można zamawiać w Radio-France, Maison de la Radio, Quai du President Kennedy, 75016 Paris.

Jack Lang, francuski minister kultury, nie mógł uczestniczyć w zebraniu, gdyż towarzyszył Prezydentowi Mitterrandowi w jego podróży do Rzymu, ale prosił Miłosza o złożenie mu wizyty, co Miłosz uczynił w poniedziałek 1 marca.

### POLSKI NUMER „LA QUINZAINÉ LITTÉRAIRE”

*La Quinzaine Littéraire*, dwutygodnik literacki redagowany przez Maurice Nadeau, pierwszego francuskiego wydawcę Gombrowicza i Schulza, poświęca specjalny numer (1-15 marca 1982) „Żywym Siłom” w Polsce.

Nadeau pisze w słowie wstępnym:

„A więc, przeciw Polakom, wojna została wypowiedziana: przez ich własny rząd... Ale trudno będzie powalić na kolana naród, który — zwłaszcza w ciągu ostatnich 18 miesięcy — nauczył się oddychać swobodnie, stać na własnych nogach, projektować społeczeństwo, w stosunku do którego słowo „socjalizm” nie byłoby prowokacyjną parodią”.

Redaktor tego numeru, Jean Chesnaux, doskonale wywiązał się z trudnego zadania: na 16 stronach potrafił skondensować informacje o różnorodnych źródłach polskiej Odnowy. Chesnaux umie słuchać, dowodzi tego jego zbiorowy wywiad z Agnieszką Holland, Jackiem Kaczmarskim, Andrzejem Sewerynem, Jackiem Trznadłem (któremu zawdzięczamy również ważki artykuł o polskiej poezji, podczas gdy o filmie pisze Agnieszka Holland). Najciekawszy bodaj dla Francuzów będzie rozdział z „Przygód z Historią” Mariana Brandysa, zawierający żywe portrety Jana Lityńskiego, Anki Kowalskiej, Mirosława Chojeckiego, w tłumaczeniu Dominique Sila, której zawdzięczamy, również w tym samym numerze, dobre tłumaczenie wierszy Herberta i Barańczaka.

Na okładce (biało-czerwonej) — Solidarność w postaci Guliwera, zrywającego więzy na oczach otaczających go przerażonych karłów — biurkratów (rysunek Andrzeja Krauze).

ka

### NORWESKIE WYRÓZNIENIE DLA LECHA WAŁĘSY

Pan Lech Wałęsa

Drogi Panie Wałęsa,

Norweska fundacja FRITT ORD (Wolne Słowo) przyznaje corocznie nagrodę osobistości, która prowadziła wybijającą się działalność w obronie wolności słowa. Zarząd fundacji zdecydował przyznać Panu tegoroczną nagrodę. W uzasadnieniu tego wyboru zarząd oświadczył:

„Fritt Ord zasadniczo nadaje swoją nagrodę norweskim obywatelom za specjalne zasługi w obronie wolnego słowa w Norwegii. Są jednak wyjątkowe sytuacje, w których *Fritt Ord* pragnie przyznać nagrodę cudzoziemcowi za osiągnięcia niezwyklej rozmiarów, mające znaczenie również i dla nas.

Lech Wałęsa jest osobistością w pełni odpowiadającą tym warunkom.

Będąc czołowym rzecznikiem „Solidarności” w Polsce, powstałym z szeregow, Lech Wałęsa okazał największą odwagę i siłę charakteru, bez względu na osobiste ryzyko posługując się wolnym słowem przeciw totalitarnemu reżymowi, by głosić protest przeciw zniewoleniu, przemocy i bezprawiu, celem wywalczenia choćby minimalnej wolności i sprawiedliwości dla narodu polskiego. W natężonej walce Lech Wałęsa potrafił utrzymać poczucie umiaru i odpowiedzialności za utrzymanie równowagi w rozwoju sytuacji. Znalazszy się w niewoli, zachował swoją godność.

*Fritt Ord* uważa za szczególnie wskazane nadać swoją nagrodę Lechowi Wałęsie i okazać mu moralną podporę w chwili, gdy znajduje się on, być może, w najcięższym okresie swojej walki”.

Symbolami nagrody są: mała statuetka oraz suma pieniężna, w tym roku ustalona w wysokości koron 100.000 (około 16.800 dolarów amerykańskich).

Przesyłając Panu zawiadomienie o nadaniu nagrody, proszę w imieniu zarządu przyjąć nasze najserdeczniejsze gratulacje i wyrazy prawdziwego uznania.

Mamy nadzieję, że wkrótce otrzyma Pan statuetkę. Suma pieniężna nagrody znajduje się do Pańskiej dyspozycji na naszym koncie bankowym w Oslo.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania,

Preben MUNTHE  
Przewodniczący zarządu FRITT ORD



## KRAJ — BLOK WSCHODNI

**18-2-82**

Zmarł w Warszawie w wieku 73 lat Witold Trąmpeżyński, b. minister Handlu Zagranicznego PRL i ambasador PRL w Stanach Zjednoczonych w latach 1971-1977.

**21-2-82**

W siedzibie ZBOWiD-u miało miejsce wręczenie medalu „Warszawski Krzyż Powstańczy 1944” około 130 b. żołnierzom AK. Odznaczenie wręczyli: Włodzimierz Sokorski i Jan Mazurkiewicz (pseudo Radosław) — bardzo odpowiedni ludzie!

**23-2-82**

W Warszawie odbyło się posiedzenie prezydium zarządu Stowarzyszenia PAX. Prezydium zawiesiło w prawach członków Stowarzyszenia na okres pół roku 21 osób, w tym Eugeniusza Aleksandrowicza, Leona Brodowskiego, Piotra Gołębińskiego, Przemysława Hniedziewicza, Jana Króla, Ryszarda Reiffa, Mikołaja Rostworowskiego, Jerzego Ślaskiego, Wiktora Szezechowicza, Ryszarda Skwarskiego. Pacyfikacja PAX'u!

**27-2-82**

Zmarła w Warszawie w wieku 86 lat Maria Kownacka, nestorka polskiej literatury dla dzieci.

**12-3-82**

Do Krakowa przybył z Heidelbergu największy transport żywności jaki to miasto dotąd otrzymało. Zawierał 90 ton żywności wartości 300.000 DM, zebranych ze składek ludności z inicjatywy parafii heidelbergskich.

**13-3-82**

Dla podkreślenia daty upływu trzech miesięcy od wprowadzenia stanu wojennego, w Operze Warszawskiej grupa około stu osób związanych z „Solidarnością” zerwała przedstawienie *Il Trovatore*, uniemożliwiając występ śpiewakowi Leonardowi Mrozowi, którego piętkuje się za udział w koncercie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Sowieckiej w zeszłym miesiącu. Po kilku nieudanych próbach „przebić się” przez hałas na sali dyrygent Aleksander Tracz wstrzymał orkiestrę i odłożył pałeczkę. W podobny sposób uniemożliwiono wcześniej występ teatralne aktorowi Januszowi Kosińskiemu, który w jednym z programów telewizyjnych wyraził poparcie dla WRON-y. Trwa akcja przeciw Żukrowskiemu i Koźniewskiemu: ludzie znoszą ich książki do domów, w których mieszkają i rzucają je na schody.

**19-3-82**

Władze rozwiązały Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**15-1-82**

Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie w Londynie zorganizowało wieczór autorski z powodu 80-lecia dr. Jana Ostrowskiego, długoletniego sekretarza Towarzystwa.

**21-1-82**

Zmarł w Holandii Bogumił Strenk, długoletni redaktor *Kombatanta Polskiego w Beneluxie*.

**23-1-82**

Przewodniczącym nowego zarządu POSK-u w Londynie został p. Czesław Woyno, a sekretarzem Edward Mier-Jędrzejowicz. Preliminarz budżetowy POSK-u na rok 1982 przewiduje wpływy (w tysiącach funtów) — 253,3, a po stronie wydatków — 285,7; przewidziany deficyt — 29,4.

**2-2-82**

Włoskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uznało Polski Komitet Emigracyjny PAIRC jako pełnoprawny komitet do spraw emigracji z Włoch polskich uchodźców. PAIRC przyjmuje zainteresowanych w swoich biurach: LATINA -CAPS (Centro Assistenza Profughi Stranieri) Centrum Opieki nad Uchodźcami — via XXIV Maggio 3 (poniedziałki, wtorki i środy w godzinach biurowych) oraz RZYM — Via Licia 19 int. 9 — tel. 75 55 030 (czwartki, piątki i soboty). Dyrektorem PAIRC na Włochy jest p. Witold Zahorski.

**19-2-82**

Szwajcaria zdecydowała przyjąć tysiąc uchodźców polskich i w tym celu delegacja Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża i Caritasu udała się do Austrii. Jak dotąd Caritas i inne organizacje społeczne zebrały 7,3 mln franków szwajcarskich na pomoc dla Polski. Wysłano ponad 16 tysięcy paczek żywnościowych. ■ W Genewie zostało założone stowarzyszenie pod nazwą „Pro Polonia”. Zadaniem tego stowarzyszenia jest wzmacnianie więzi między Szwajcarią a Polską. Najbliższą jego akcją jest zorganizowanie transportu żywności i odzieży dla Polski. W zarządzie są panie Maria Estreicher i Wanda Brysz. ■ Zmarła w Londynie Aleksandra Stypułkowska, adwokat, znana publicystka, wieloletnia i popularna współpracownica Radio Wolna Europa, występująca jako Jadwiga Mieczkowska.

**6-3-82**

W Sztokholmie odbyło się spotkanie zorganizowane przez T-wo Przyjaciół Paryskiej Kultury z dr. Zdzisławem Najderem.

**15-3-82**

Jak wiadomo Komisja Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej zdecydowała nadwyżki żywnościowe, przeznaczone dla Polski przekazać bezpośrednio na pomoc humanitarną dla społeczeństwa, a nie władzom PRL. Powszechne zdumienie wywołało więc pojawienie się w Brukseli pp. Janusza Zablockiego i Wiesława Myślika, upoważnionych przedstawicieli prymasa Glempa do rokowań w tej sprawie i przywożących szereg sugestii. Przeszłość tych panów, a specjalnie W. Myślika jest chyba wystarczająco znana, by przypisać to nieorientowaniu Prymasa. Czy to nie za daleko posunięta chęć szukania za wszelką cenę kompromisu z juntą Jaruzelskiego?

**15-3-82**

Korespondent *Figaro* w Warszawie, Bernard Margueritte, podaje że przewodniczący Radia i Telewizji warszawskiej Loranc oświadczył, że 513 dziennikarzy radia i telewizji zostało usuniętych — w tym 299 w Warszawie. Ponad 100 dziennikarzy w Warszawie otrzymało „urlop okolicznościowy” ze zredukowaniem pborów do 75%. Bardzo znany dziennikarz, Jacek Maziarowski, który obecnie jest kierowcą taksówki, zamieścił w *Życiu Warszawy* ogłoszenie, iż szuka „uczciwej pracy”.

17-3-82

Zmarł w Londynie w wieku 87 lat Eugeniusz Lubomirski, adiutant i zaufany współpracownik gen. Andersa, b. czynny społecznie, m.in. prezes londyńskiego „Ogniska”.

17-3-82

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało w Bibliotece Polskiej w Paryżu zebranie z odczytem dr. Jerzego Monda na temat problemów nowej emigracji i działalności Wspólnoty Polsko-Francuskiej. Towarzystwo Historyczno-Literackie zorganizowało ponadto szereg odczytów: 24. 3. br. prof. Jan Marczewski mówił o ekonomicznych przyczynach polskiego kryzysu; 2. 4. br. miał miejsce wieczór poświęcony twórczości Stanisława Vincenza z udziałem J. Czapskiego, K. A. Jeleńskiego i Andrzeja Vincenza; 21. 4. br. ma odbyć się wieczór poświęcony Bronisławowi Przyłuskiemu.

25-3-82

Centre du Dialogue w Paryżu zorganizował trzy wieczory rekolacyjne z mszą św. koncelebrowaną, konferencją i półgodzinną lekturą tekstów literackich.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

22 lutego br. w jednej z sal biblioteki publicznej w Nowym Jorku odbyła się dyskusja pod ogólnym tytułem: „Czy Solidarność nie poszła w swych żądaniach za daleko?”. Zebraniu przewodniczyła Frances Fitzgerald, pisarka. Uczestnikami panelu, którzy wymieniali między sobą poglądy na sprawę Polski, rolę Sowietów w świecie i położenie Ameryki, byli m.in. prof. Leszek Kołakowski oraz p. Jeri Laber, dyrektor Komitetu Dozorującego (Obsługującego) wykonanie Układu w Helsinkach z ramienia Stanów Zjednoczonych. Uczestnicy zebrania nie mieli prawa do udziału w dyskusji. Dozwolono im jedynie na stawianie pytań. Ani dyskusja między uczestnikami panelu ani pytania kierowane ze strony publiczności nie obfitowały w żadne interesujące momenty. ■ 6 lutego br. odbyło się w tzw. „Town Hall” (nie mającym nic wspólnego z ratuszem) zebranie pod hasłem pomocy „Solidarności”, zwołane przez rozmaite grupy lewicowe, które na ogół nie starają się „Solidarności” pomóc, ale raczej zaszkodzić. Zebranie miało charakter burzliwy ze względu na bardzo mozaikowy skład uczestników. Poza wieloma mówcami, którzy wskazywali na niebezpieczeństwo amerykańskiego imperializmu, dawali o sobie znać mówcy, którzy ukazywali również groźbę imperializmu sowieckiego. Poeta rosyjski Brodski, będący od kilku lat w Ameryce, oświadczył, że to „nie tanki zdruzgotają Polskę, ale — banki”. Ponieważ powiedzenie to rymuje się zarówno po polsku jak i po angielsku (*banks — tanks*), zyskało sobie aprobatę większej części zebranych. Choć banki zachodnie zaangażowały się finansowo w ryzykowne przedsięwzięcia PRL i były zainteresowane w stabilizacji politycznej Polski na gruncie istniejącego systemu, nie miały one jednak głosu decydującego, jeśli chodzi o losy Polski. Przypisywanie im więc wyłącznej odpowiedzialności za wydarzenia w Polsce może być rozumiane jako próba ekspiacji Sowietów i roli jaką odegrały w narzuceniu Polsce dyktatorskiego reżymu. Z ramienia organizacji „Solidarity International” wystąpił p. Sava Małachowski z krótkim przemówieniem, przypominającym uczestnikom zebrania, że winę za mord dokonywany na Polsce ponoszą Sowietzi, będące groźbą dla całego świata. Największą sensacją zebrania było jednak wystą-

pienie Susan Sontag, pisarki i publicystki od wielu lat zaangażowanej w ruch lewicowy. Należała ona do tych osób, które w okresie wojny wietnamskiej odwiedzały Hanoi, obwieszczając światu o społeczno-wyzwoleńczej roli południowo-azjatyckich ruchów komunistycznych. „Muszę wypowiedzieć najtrudniejsze zdanie jakie istnieje w języku angielskim — powiedziała Susan Sontag — *I was wrong* (nie miałam racji). Komunizm jest faszyzmem”. Dalszy ciąg jej przemówienia był wysoce emocjonalną samokrytyką jej dotychczasowych poglądów, a zarazem niezmiernie ostrym atakiem przeciwko komunizmowi jako ideologii jak i imperializmowi sowieckiemu. W ciągu następujących dni prasa amerykańska poświęciła wiele wzmianek wystąpieniu Susan Sontag. ■ 3 marca br. w ratuszu nowojorskim odbyło się spotkanie „Komitetu Pomocy Solidarności”, organizacji „Solidarity International” i Niezależnego Związku Studenckiego z burmistrzem Nowego Jorku — Edwardem Kochem. W spotkaniu uczestniczył p. Bolesław Wierzbiański — redaktor naczelny nowojorskiego *Nowego Dziennika*. ■ 26 lutego br. Amerykańska Akademia Filmowa odrzuciła oficjalne polskie żądanie skreślenia *Człowieka z żelaza* Wajdy z listy kandydatów do Oscara w dziale filmów zagranicznych. ■ 30 stycznia br. zmarł gen. brygady pilot Stanisław Karpiński. ■ Staraniem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Stanach Zjednoczonych ma się ukazać popularna biografia Józefa Piłsudskiego w opracowaniu Wacława Jędrzejewicza. Broszura ukaze się w Stanach Zjednoczonych w języku angielskim, a w Londynie w języku polskim. ■ 25 lutego br. Wybrano czterestu nowych członków *American Academy and Institute of Arts and Letters*, wśród nich Czesława Miłozza. ■ Kongresman Mario Biaggi i senator Pat Moynihan wnieśli 28 stycznia projekt ustawy, która ma umożliwić wjazd do Stanów uchodźcom polskim świeżej daty, znosząc dotychczasowe ograniczenia. Biaggi wyjaśnił: „Według obowiązującego obecnie prawa tylko 5.000 polskich uchodźców może wjechać do Stanów z kwoty 1982, która wynosi 9.000 dla całej wschodniej Europy. A przecież w ciągu sześciu tygodni od ogłoszenia w Polsce stanu wojennego 1.000 obywateli polskich poprosiło o azyl w Stanach. Oznacza to, według kalkulacji rocznej, że od 6.000 do 8.500 poprosi o status uchodźczy w Stanach — grubo więcej zatem niż przewiduje tegoroczny limit”. Biaggi dodał, że na wniesienie projektu ustawy wpłynęły stałe raporty o kandydatach na emigrację do Stanów wśród około 50.000 polskich uchodźców przebywających w Austrii i w RFN. Inicjatywa projektu ustawy wyszła od Harrisona Goldina, *comptrollera* (miejskiego ministra skarbu) Nowego Jorku. Podsunęła mu tę myśl polsko-amerykańska grupa doradcza, w której skład wchodzi przedstawiciele „Pomocy”, nowojorskiego oddziału Kongresu Polonii, Polskiego Instytutu Naukowego, Fundacji Kościuszkowskiej, Polskiego Ośrodka Słowistycznego w Greenpoint, Słowiańsko-Amerykańskiego Stowarzyszenia Kulturalnego.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA

W odpowiedzi na ograniczenie wprowadzone w Polsce na czas obowiązywania stanu wojennego dotyczące poruszania się australijskich dyplomatów na terenie Polski australijski Rząd Federalny, korzystając z prawa retorsji, zarządził ograniczenie poruszania się po terenie Australii przedstawicieli dyplomatycznych PRL. ■ Australia była jednym z krajów, które bezpośrednio transmitowały amerykański program telewizyjny „Aby Polska była Polska”. ■ W związku z ogłoszonym przez prezydenta Reagana międzynarodowym dniem solidarności z narodem polskim, w ogólnaustralijskim dzienniku *The Australian* ukazało się na całej stronie oświadczenie

popierające zmagania polskiego narodu w walce o prawa człowieka i wolność. Oświadczenie to podpisało ponad 400 osobistości (m.in. premier Australii — Fraser) ze świata politycznego, religijnego, naukowego, kulturalnego i społecznego Australii. Koszty publikacji tego oświadczenia zostały pokryte przez osoby, które to oświadczenie podpisały (składka wynosiła po \$ A.20,00). ■ W Dniu Solidarności odbyły się manifestacje, zorganizowane przez polskie organizacje. Najliczniejsze miały miejsce w Sydney, inne w Hobart (Tasmania), Brisbane (Queensland) i Adelaide (Południowa Australia). ■ W lutym br. rząd australijski zwiększył o tysiąc kwotę polskich imigrantów i obecnie wynosi ona 6 tys. w skali rocznej. Starania o dalsze jej podwyższenie prowadzone są nadal przez Radę Naczelną Polskich Organizacji w Australii i Federację Polskich Organizacji w Wiktorii. ■ Polskie statki opuściło w Australii ogółem 35 osób (członkowie załóg i ich rodziny), z których 25 pozostało w Melbourne. Dużej pomocy udzieliła im Federacja Polskich Organizacji w Wiktorii. ■ Z okazji święta — Dnia Australii — prezes Związku Polaków w Ballarat (Victoria), Marian Bureoń, otrzymał Medal of the Order of Australia za działalność społeczną wśród imigrantów. ■ Ukazała się nowa książka dr. Jerzego Smolicza, dziekana Wydziału Pedagogicznego w Adelaide (napisana wspólnie z Margaret Secombe) pt. „Australijska szkoła widziana oczami dzieci” — podtytuł: Polsko-australijski punkt widzenia. ■ Ukazał się drugi zbiór satyr, poezji, felietonów i tłumaczeń z literatury australijskiej Andrzeja Gawrońskiego pt. „Do góry nogami”, wydany w Melbourne drogą subskrypcji. Pierwszy zbiór, już wyczerpany, wydany był pt. „Z kangurem pod rękę”. ■ Doroczne polonijne olimpiady sportowe, urządzone przez Federację Polskich Organizacji w Wiktorii, są prawdopodobnie największymi tego rodzaju imprezami na emigracji. Tegoroczne XVIII Święto Sportowe miało miejsce w Lara (Victoria) pod patronatem premiera stanowego oraz Rady Naczelnej Polskiej Organizacji w Australii. W rozgrywkach sportowych wzięło udział około 650 zawodników spośród młodzieży polonijnej. Święto to zgromadziło około 5 tys. osób. ■ W styczniu br., w sali kinowej słynnej Opery Sydneyjskiej, odbyła się australijska premiera dawno oczekiwanego filmu Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza” (film zakupiła polska firma Contal Co.). Dochód z premiery, którą zainaugurował burmistrz Sydney, Contal przekazał na fundusz Ogólnoaustrijskiego Komitetu Pomocy dla Polski.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

## KRONIKA AUSTRIACKA

Radca rządu Werner Roskar, radca dworu Neururer i szef Urzędu Pracy oświadczyli, iż w Austrii odczuwa się tak wielki brak fachowców we wszystkich dziedzinach gospodarki, że musiano „pożyczyć” z Polski 100 specjalistów-spawaczy jedynie dla Vorarlbergu (najbardziej na zachód wysuniętej dzielnicy Austrii, graniczącej z Włochami, Szwajcarią i Republiką Federalną Niemiec). Ponadto brak w Austrii blacharzy budowlanych, stolarzy, kamieniarzy, betoniarzy, monterów, kelnerów, kucharzy, pomocy kuchennych i domowych, krawcowych, kapeluszników, tapeciaryzy. Stwarza to dla Polaków olbrzymie możliwości zatrudnienia, o ile spełniają warunki zwykłe. Zapytani o przyczyny takiego stanu wyżej wymienieni oświadczyli: „no, cóż..., nasi ludzie wolą wyjeżdżać do Libii... lub nie chcą wykonywać pewnych zawodów”. ■ Burmistrz Wiednia i radca Hofman w wywiadzie prasowym oświadczyli: Wiedeń miał w 1915 roku największą ilość mieszkańców, gdyż już wtedy setki tysięcy Polaków uciekało przed Rosjanami. Dzisiaj, w normalnych warunkach, mielibyśmy także daleko więcej osiadłych

w Wiedniu Polaków, Węgrów czy Czechów, gdyby nie żelazna kurtyna. Dyskusja miała miejsce w związku z faktem, że Austria jest krajem ludzi starych, krajem wymierającym: Wiedeń liczył w 1900 roku 2.100.000 mieszkańców, dzisiaj ma ich zaledwie 1.515.666 (w tym 113.000 uchodźców i pracowników sezonowych), a według danych Urzędu Statystycznego Austrii za lat trzydzieści będzie miał tylko 1.270.000. W samym Wiedniu jest 70.000 wolnych mieszkań. Jak z tego widać, Polacy są w Austrii pożądani i to z wielu przyczyn! W 1978 roku deficyt urodzin w stosunku do zgonów wynosił 9.215 osób. W tych warunkach Austriacy powinni być zadowoleni, że tylu uchodźców chce mieszkać w Wiedniu. ■ W Austrii przebywa obecnie 22.000 Polaków zarejestrowanych w obozach dla uchodźców i w pensjonatach, 7.000 mieszka legalnie u krewnych, znajomych czy przyjaciół, a około 10.000 jest niezameldowanych, bez ważnych dokumentów, bez stałych mieszkań i bez zasiłku z Komitetu Pomocy; żyją oni często w warunkach urągających godności człowieka, ukrywając się, płacąc za łóżko w 10-osobowym pokoju po 1.500 szylingów na miesiąc u ludzi zerujących na sytuacji przymusowej. Tym Polakom rząd austriacki chce ułatwić unormowanie warunków życiowych i statusu prawnego. Z końcem marca i początkiem kwietnia policja austriacka rozpocznie działania w tym celu. Zostanie wyznaczony termin zgłaszania się w komisariatach miejskich i wiejskich dla uregulowania sprawy pobytu. Oczywiście zgłoszenie się w podanym terminie będzie przyjmowane jako normalne, obowiązujące przy wjeździe do kraju i nie pociągnie za sobą skutków administracyjnych czy karnych za dotychczasowy pobyt „na czarno”. ■ Jak podaje centrala Caritas, od lutego 1981 roku przesłano do Polski z ramienia tej tylko organizacji 100 transportów żywnościowych wagi 2.000 ton i wartości 25 milionów szylingów. Paczki są przeznaczone dla rodzin wielodzietnych, ludzi zaawansowanych wiekiem i dla chorych. Rozdziałem paczek w Polsce zajmuje się Komisja Charytatywna Konferencji Biskupów Polskich. Od 1 marca Caritas będzie przekazywała miesięcznie 500 samochodów ciężarowych (TIR-y z przyczepami). ■ Stan napięcia w stosunkach Kardynał König - Kanclerz Kreisky, wywołany niewłaściwą krytyką duchowieństwa polskiego w kraju, uległ rozładowaniu. Kanclerz wyjaśnił Kardynałowi, że jego wypowiedź nie była krytyką duchowieństwa Polski, a jedynie omówieniem obecnej sytuacji w Polsce. Zdecydowana postawa Kardynała Königa i partii opozycyjnej doprowadziła do normalizacji stosunków Kościół - Państwo. ■ Polonia austriacka poniosła 20 lutego br. bolesną stratę. Wieloletni Prezes i Założyciel Związku Polaków w Górnej Austrii (ZPGA), wiceprezes Rady Koordynacyjnej Polonii w Austrii i Stowarzyszenia Polskiej Kultury w Linzu Witold Poszytek, zmarł na zawał serca. ■ W Linzu odbył się „Marsz Pokoju” z udziałem 16.000 Austriaków i Polaków. Z trzech punktów miasta ruszyły tłumy w kierunku katedry w Linzu. Na czele pochodu niesiono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej jako symbol Polski. Uczestnicy zgromadzili się we wzorowym porządku w katedrze i przed świątynią, a nowowyświęcony biskup odprawił mszę św. na intencję Polski i Polaków. Była to ostatnia manifestacja współorganizowana przez zmarłego Witolda Poszytkę. ■ W ramach pracy duszpasterskiej w okresie wielkiego postu księża polscy w Austrii rozpoczęli działalność rekolekcyjną, odwiedzając skupiska Polaków w 630 pensjonatach rozsiansych po całej Austrii. Zmartwychwstańcy z Wiednia z poświęceniem prowadzą pracę duszpasterską wśród potrzebujących wsparcia duchowego. ■ Urząd Statystyczny Austrii podał do wiadomości, że skutkiem ogłoszonego w Polsce stanu wojennego obroty handlowe Austria - Polska spadły o 41 % (przyjmując rok 1980 za 100 % obrotów). ■ Polska zapowiedziała Austrii, że jest w stanie nie tylko całkowicie wykonać, ale nawet zwiększyć dostawy węgla przewidziane umowami bilateralnymi. Niestety Austria w związku z niewy-

wiązywaniem się Polski z dostaw węgla zawarła już umowy o węgiel ze Stanami Zjednoczonymi i krajami europejskimi. ■ Australia skróciła procedurę wyjazdową dla Polaków z Austrii. Przybyły z Australii lekarz urzędowy bada na miejscu kandydatów (nie trzeba wysyłać wyników do Australii) kwalifikując zainteresowanych na miejscu. Ponadto dwa wywiady z kandydatami odbywają się tego samego dnia; w sumie skraca to oczekiwanie o 2 miesiące. Transporty do Australii odchodzą dwa razy w tygodniu. Lotniska docelowe: Melbourne, Perth, Adelaida, Sydney. ■ Landeshauptmann (odpowiednik wojewody w Polsce) Kreiner ze Styrii oświadczył, iż zorganizowany przez niego Komitet Pomocy Polakom przekazał Caritasowi kwotę 1,5 miliona szylingów — tj. 100.000 dolarów USA. ■ Parlamentarzyści Austrii, Hochmeir i Schnell, którzy byli w Polsce, oświadczyli, iż należy spodziewać się obniżenia stopy życiowej w Polsce o 30-40%. Widmo głodu Polsce nie zagraża, ale są konieczne potrzebne odżywki dla dzieci oraz lekarstwa i środki higieniczne. ■ Polska gala w Volkstheater z benefisowym programem dla Polaków stała się pełnym sukcesem, dochód wyniósł 200.000 szylingów, podwojonych do wysokości 400.000. Na widowni był prezydent Austrii dr Kirchschräger, wicekanclerz Sinowatz, prezydent Rady Narodowej Benya, minister Firnberg, wiceburmistrz Wiednia Busek (opozycja) i Monsignore Ungar z Caritasu jako zastępca kardynała Königa. Wielkie wrażenie wywarł sędziwy Atilla Hörbiger, który przerwał swój występ i odczytał suchą notatkę prasową o podwyżce ceny chleba w Polsce. Dorota Neff, Elfriede Ott i prof. Muliar byli gwiazdami wieczoru. Gdy Muliar powiedział po polsku „Boże chroń Polskę”, zapanowała cisza, która po sekundzie zamieniła się w burzę oklasków trwającą przez wiele minut.

Marian GOMUŁKA

## KRONIKA DUŃSKA

Po raz pierwszy w dziejach Królestwa Duńskiego król przekazał dotację na cele dobroczynne poza granicę kraju. Wyłom w tej „tradycji” duńskiego dworu uczyniła obecna Królowa Małgorzata, asygnując z własnych funduszy „określoną sumę” (jak to podała duńska prasa) na pomoc dla Polski, włączając się w ten sposób do ogólnokrajowej akcji niesienia pomocy Polsce. Akcja ta rozpoczęła się spontanicznie w kilka dni po ogłoszeniu stanu wojennego. W pierwszej fazie wiele instytucji społecznych i osób prywatnych przygotowało do wysyłki dziesiątki ton żywności, odzieży, lekarstw i środków higieny osobistej. Wobec tego, że połączenie promowe między Szwajcarią a Kopenhagą zostało natychmiast przerwane, transporty szły okrężną drogą: ciężarówki przeprawiano promem do Malmö, stamtąd do niezbyt odległego Ystad, skąd szwedzkim promem docierały do Szwajcarii. Tą drogą dotarło do Szczecina kilka transportów zorganizowanych przez młode małżeństwo Barbare i Poula Jacobsen z Roskilde. Burmistrz jednej z dzielnic Kopenhagi — Gladsaxe zorganizował podobną pomoc, skierowaną do Koszalin. W innej dzielnicy Kopenhagi — Østebro powstał obywatelski komitet „Dan-Pol”. Za pośrednictwem tego właśnie komitetu firma Nyrop & Maag wysłała do polskich szpitali wyposażenie wartości 250 tys. koron duńskich (około 35 tys. dolarów). Jest to tylko kilka przykładów jakże szerokiej akcji. ■ Na ulicach Kopenhagi rzucają się w oczy dziesiątki plakatów i duże napisy na autobusach *Solidarit med Solidaritet* oraz *Hjelp Polen — en nabo i nod* (Solidarność z Solidarnością i Pomóż Polsce — sąsiad w potrzebie). Pierwsze hasło wydrukowała powstała tutaj organizacja o tej samej nazwie, skupiająca działaczy miejscowej Polonii, przedstawicieli różnych ugrupowań politycznych oraz wielu człon-

ków Folketingu (duńskiego parlamentu); drugie — z podaniem konta bankowego — ogłosiły wspólnie duńskie organizacje charytatywne: *Pomoc w Potrzebie Kościoła Narodowego*, *Caritas* i *Duński Czerwony Krzyż*. Dotychczasowy wynik zbiórki na pomoc Polsce jest imponujący — ponad 4 mln koron. ■ Tak żywe zainteresowanie Danii sprawami polskimi jest w dużym stopniu zasługą duńskiej telewizji. Nie tylko informuje ona na bieżąco o wypadkach w Polsce, ale przygotowała kilka programów, w tym jeden trzygodzinny nadany 24. 1. br. Był to zestaw historycznych i współczesnych wiadomości o Polsce, ilustrowany reportażami, fragmentami filmów A. Wajdy, wywiadami oraz poezją i muzyką polską. Poczynając od 12. 2. br. DTV rozpoczęła nadawanie 6-odcinkowego cyklu pt. „Punkt zapalny — Polska”. ■ Nienajlepiej jednak przedstawia się pomoc rządu duńskiego Polakom, których stan wojenny w Polsce zaskoczył w Danii. Jest ich sporo. *Berlingske Tidende*, jeden z najpoważniejszych dzienników w Kopenhadze, zamieścił 14. 3. br. alarmujący artykuł pt. „2.000 Polaków przebywa w Danii bez pomocy”. Było tam wiele gorzkich słów pod adresem Ministerstwa Sprawiedliwości, które nie uczyniło nic, aby tym ludziom zagwarantować przynajmniej prawo długotrwałego pobytu i wiążącej się z tym pomocy finansowej i opieki lekarskiej. W tych sprawach interweniował u ministra Sprawiedliwości grono działaczy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Władze duńskie ograniczają się na razie tylko do przedłużania Polakom wiz turystycznych. Członek Parlamentu z partii radykałów, Bernhard Baunsgaard, zwrócił się oficjalnie w tej sprawie do ministra Sprawiedliwości i można mieć nadzieję, że rozpatrzy ją Folketing — oby z dobrym skutkiem.

Andrzej RYŚ

## KRONIKA KANADYJSKA

Minister imigracji Lloyd Axworthy podał do wiadomości, iż rząd zrewidował stanowisko odnośnie klasyfikacji terminu „uchodźca” a co za tym idzie obowiązujące przepisy dotyczące tej grupy osób. Obecna sytuacja międzynarodowa narzuciła niejako potrzebę bardziej liberalnego i humanitarnego interpretowania norm międzynarodowej konwencji. W związku z tym min. Axworthy wydał dyrektywy, które pozwolą z jednej strony urzędnikom imigracyjnym kwalifikować jako uchodźców osoby, które opuściły swój kraj nie tylko z powodu zagrożenia politycznego czy prześladowań religijnych, ale i z różnych innych uzasadnionych powodów, a z drugiej wyeliminować szereg biurokratycznych barier, co spowoduje przyspieszenie procesu załatwiania aplikacji uchodźców. Oświadczenie to ma wybitnie polityczny charakter i zostało niewątpliwie wywołane problemem uchodźców polskich. Należy oczywiście zaznaczyć, że Kanada kilkakrotnie w okresie powojennym otworzyła bramy dla uchodźców z różnych krajów, zawieszając okresowo postanowienia ustawy imigracyjnej i stosując wobec owych uchodźców specjalne przywileje. Kanada przyjęła i nadal przyjmuje emigrantów i uchodźców badając je w wszystkich krajów. Życzliwe ustosunkowanie się do problemu uchodźców z Polski wynika nie tylko z przesłanek humanitarnych, ale również politycznych. I ten właśnie aspekt wywołał reakcję części opinii publicznej, jak o tym świadczą głosy w prasie i innych środkach masowego przekazu. Dlaczego tylko uchodźcy z Polski a nie San Salwadoru, Chile, Gwatemali, itp.? Oficjalnie nie ogłoszono jeszcze liczby Polaków przybyłych w ostatnich miesiącach na podstawie rozluźnionych przepisów imigracyjnych i dodatkowych przepisów wykonawczych. Szacuje się iż w ramach akcji rządowej przybyło około 5.000, że rodziny i bliscy sprowadzili około 2.000, natomiast tylko około 300 osób przybyło na podstawie gwarancji

organizacji polonijnych. Minister Axworthy nie omieszkał wyrazić zdumienia z tego powodu. Zaskoczony jest brakiem — poza rodzinami — sponsorów polonijnych a także i kanadyjskich. Czynniki polonijne wskazują m.in. na fakt, że przybywający w ramach akcji rządowej otrzymują pomoc finansową na komorne, na zakup niezbędnych przedmiotów użytku codziennego oraz na utrzymanie, a ponadto korzystają z bezpłatnych kursów języka angielskiego względnie francuskiego w prowincji Quebec, podczas gdy za innych imigrantów odpowiedzialni są ich gwaranci, tj. rodzina, osoby i organizacje, które wniosły o udzielenie im wiz imigracyjnych. W lutym wzmożła się jednak akcja organizacyjnego sponsorowania zarówno przez parafie polskie jak i organizacje kanadyjskie. ■ Prowadzona przez Kongres zbiórka w ramach akcji pomocy dla Polski według oficjalnych danych przekroczyła do połowy lutego \$1.300.000. Ponadto Czerwony Krzyż otrzymał od kanadyjskiego rządu federalnego \$500.000 a od rządu prowincji Ontario — \$100.000. Niezależnie od tego składają donacje różne instytucje, organizacje i przedsiębiorstwa kanadyjskie, ale dotychczas nie ogłoszono jeszcze sprawozdań. Oddzielnie prowadzona jest zbiórka na pomoc dla rodzin aresztowanych, której nie patronuje Kongres. ■ Kongres Polonii Kanadyjskiej wysłał do Polski żywność, leki oraz inne towary wartości \$c. 1.197.000. W końcu stycznia br. Komisja Charytatywna Episkopatu Polskiego zawiadomiła Kongres, że gotowa jest podjąć się rozprowadzania przesyłek. 4 lutego bież. roku wysłano transport o wadze 177 ton (obok żywności i leków było w nim obuwie i ubranie, dary firm kanadyjskich wartości \$c. 150.000). ■ Żywą akcję informacyjno-polityczną rozwijają Zygmunt Przetakiewicz, kierownik biura informacyjnego „Solidarności” na Kanadzie i członkowie Grupy „Solidarność i Niepodległość”. Główny wysiłek skierowany jest na społeczeństwo kanadyjskie. Organizuje się spotkania, zebrania, prelekcje, udziela się wyjaśnień i informacji prasie, radio i telewizji. Na terenie uniwersytetu torontońskiego odbył się cykl 6 prelekcji — pierwsza odbyła się 23 lutego br. — na temat „Solidarność”. Wygłosili je pp. dr Jan Fedorowicz, profesor Western Ontario University, Zygmunt Przetakiewicz, Danny Drache, z York University, Marek Łukasiewicz, współpracownik dziennika *Globe & Mail* i Henryk Flakierski profesor York University. ■ Katedra Ukrainoznawstwa i Stowarzyszenie Ukraińskich Profesjonalistów zaprosiły na dwa wykłady w ramach „William Kurelek Memorial Lectures” profesor Teresę Rakowską-Harmstone. Pierwszy referat pt. „Polska — niedokończona rewolucja” wygłoszony został 1 marca a następny „Wpływ Związku Sowieckiego na wydarzenia w Polsce” — 2 marca. ■ Dnia 5 marca w Toronto na zaproszenie Stowarzyszenia Techników Polskich w Kanadzie wygłosił odczyt Jan Nowak na temat „Polska 1982 — co było, co będzie”. ■ Centralny Komitet Organizacji Weterańskich w Toronto ogłosił bojkot występów zespołu „Słask”, rozpoczynających się 7 marca. Miesięczny program pobytu tego zespołu w Kanadzie przewiduje występy w 10 miejscowościach w Ontario i Quebec. Apel do społeczności polonijnej głosi, iż nie chodzi o bojkot zespołu, ale jego mocodawców. Wysyłając „Słask” władzom PRL nie chodzi o cele artystyczne, ale polityczne, propagandowe. Jaki będzie efekt tego apelu zobaczymy po zakończeniu objazdu tj. po 4 kwietnia. ■ Fundusz Wieczysty Millennium Polski Chrześcijańskiej, który rozpoczął działalność w 1966 roku osiągnął w ostatnim roku sprawozdawczym, zamykającym się 6 marca br., kapitał w wysokości \$1.036.948,34. W ciągu roku sprawozdawczego kapitał wzrósł o \$78.959,62. Z ogłoszonego sprawozdania wynika, że z procentów od kapitału Fundusz wydał m.in. na szkolnictwo — \$27.850 (w tym na polonistykę Uniwersytetu Toronto — \$7.000, Uniwersytetu w Winnipegu — \$5.000, na Związek Nauczycielstwa — \$2.500, na 29 szkółek i kursów języka polskiego — \$8.850 oraz na podręczniki szkolne —

\$2.500). Organizacje i zespoły młodzieżowe otrzymały — \$17.150 (w tym najwyższą dotację w wysokości \$5.000 otrzymało harcerstwo), różne organizacje społeczne, biblioteki polonijne, polonijne programy radiowe itp. otrzymały — \$21.300. Na stypendia indywidualne wydano — \$8.000, stypendysta KUL-u otrzymał \$4.000 a na stypendia harcerskie — \$5.000. Ogółem więc na stypendia wydano \$17.000. Do rozprowadzenia pozostało w tym roku sprawozdawczym jeszcze \$9.000. Fundusz Wieczysty postanowił przeznaczyć \$40.000 na fundusz gwarancyjny dla sprowadzania uchodźców polskich. ■ Dnia 29 stycznia zmarł w Montrealu przeżywszy lat 90 jeden z najwybitniejszych członków społeczności polonijnej profesor dr inż. Józef Pawlikowski. Odegrał wielką rolę w latach wojennych i w następnym okresie. ■ W ostatnich wyborach prowincjonalnych w Manitobie Partia Nowodemokratyczna zdobyła przynajmniej większość mandatów. W szeregach partii rządzącej znajduje się jedyny Polak — ks. Senior Donald M. Malinowski. Jest to jego czwarta kadencja parlamentarna. ■ Liczba osób przybywających z obozów w Austrii wzrasta. Władze kanadyjskie starają się możliwie szybko załatwiać wszelkie formalności, ale wobec wielkiej ilości zgłoszeń i niedostatecznej ilości personelu załatwianie spraw trwa od dwóch do sześciu miesięcy. Pierwszeństwo mają osoby sponsorowane przez rodzinę, organizacje lub pracodawców. Według wstępnych obliczeń do Kanady przybyło w ciągu ostatnich kilku miesięcy 5 tysięcy polskich imigrantów, około 2 tysięcy Polaków, którzy znaleźli się w Kanadzie jako turyści, przybyli na jakiś czas, zeszli ze statków itp. Otrzymali oni czasowe prawo pobytu na okres jednego roku i prawo pracy. Po tym terminie, jeśli zechcą, będą mogli ubiegać się o stały pobyt.

B. H.

## DALSZY CIĄG WPŁAT

K. Piotrowski, Kopenhaga .....	F. 115,83
Od Przyjaciół w Kalifornii (nadesłał Józef Kunc, Long Beach, CA) na fundusz samopomocy społecznej — po raz drugi i trzeci po \$50,00 — \$100,00 .....	F. 600,00
Kazimierz A. Rożankowski, Ocean Grove, N.J. (USA) — na pomoc więźniom politycznym w Kraju — \$25,00 ....	F. 150,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — zamiast życzeń świątecznych — Krs 100,00 .....	F. 105,00
Krystyna i Kazimierz Styś, Ottawa — na pomoc dla aresztowanych i ich rodzin — \$c. 100,00 .....	F. 500,00
Piotr Styś, Ottawa — na pomoc dla aresztowanych i ich rodzin — \$c. 100,00 .....	F. 500,00
Hanna Tomaszewska, Paryż .....	F. 100,00
Dary wpłacono za pośrednictwem <i>Wiadomości Polskich</i> w Sydney: W. Laguna, Lindfield, NSW — \$A. 20,00; W. Łopaciński, Greenwich, NSW — \$A. 20,00; A. Syriatowicz, Fairfield — \$A. 5,00 — razem: \$A. 45,00 .....	F. 293,00

## WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Stefan Cichoradzki, Caen (Francja) .....	F. 120,00
Koledzy Romana Szczurkowskiego z Laboratorium Fromageries des Causses et d'Auvergne — kwotę przeznaczoną początkowo na prezent dla R. Szczurkowskiego, odchodzącego na wcześniejszą emeryturę .....	F. 800,00
Prof. dr Th. Van Tijn, Utrecht (Holandia) .....	F. 200,00
◆	
Tadeusz Brzostek, Paryż — dla rodzin uwieczonych z K.P.N.	F. 200,00

## Listy do Redakcji

Berkeley, marzec 1982.

Do czytelników *Kultury*.

### DWA WYJAŚNIENIA

Otrzymuję zapytania dotyczące mego trzeciego tomu *Pozji* wydanego jako część „Dzieł Zbiorowych” przez Instytut Literacki. Mianowicie nabywcy tej książki chcieliby wiedzieć skąd są zaczerpnięte wiersze wchodzące w jego skład. Otóż wyjaśniam, że całość tomu stanowi osobną książkę przygotowaną do druku pod tytułem *Hymn o perle*, która tylko przez pomyłkę drukarni została od razu włączona do „Dzieł Zbiorowych” z pominięciem jej tytułu.

Do drugiego wyjaśnienia czuję się zmuszony przez liczne wiersze krążące podziemnie w Polsce, mnie przypisywane, choć jako żywo nie jestem ich autorem. Przypuszczalnie ci, którzy zaopatrują je moim imieniem i nazwiskiem chcą w ten sposób przysłużyć się sprawie, jakkolwiek na ogół są to utwory niezbyt udane. Oświadczam tedy, że choć czuję się jak najmocniej solidarny z Solidarnością, żadnych wierszy na temat ostatnich wydarzeń nie publikowałem, natomiast wiersze z lat 1939-1945, jeżeli nie pochodzą z moich wydań książkowych, nie są mego pióra.

Czesław MIŁOSZ

Toronto, marzec 1982.

Szanowna Redakcjo!

Wyjaśnienie, które pragnę złożyć dotyczy informacji i komentarzy zawartych w „Kronice amerykańskiej” w sprawie polityki AFL-CIO wobec „Solidarności” oraz działalności Biura Informacyjnego „Solidarności” w Nowym Jorku.

Czynię to niechętnie z uwagi na sytuację jaka zaistniała w naszym Kraju po 13 grudnia 1981. Wyjaśnienie jednak złożyć muszę, gdyż nieprawdziwe informacje i, moim zdaniem, niesłuszne opinie zawarte w „Kronice amerykańskiej” w numerach *Kultury* 410, 411 i 412 nie ułatwiają, a wręcz przeciwnie, utrudniają organizowanie poparcia na rzecz „Solidarności”.

Po pierwsze — mandat zorganizowania Biura Informacyjnego „Solidarności” w Nowym Jorku nie był „niewyraźnie sprecyzowany”. Na dowód załączam kopie upoważnienia jakie otrzymałem od rzecznika prasowego „Solidarności” Janusza Onyszkiewicza, który *nota bene* w wywiadzie dla *Niezależności*, dziennika „Solidarności” Regionu Mazowsze, stwierdził: „na temat założenia w USA punktu informacyjnego rozmawiałem z Wałęsą i uzyskałem jego zgodę”. Dodam, iż w tej rozmowie również uczestniczyłem.

Po drugie — zorganizowanie tego Biura nie wynikało z „nieporozumień w głównej kwaterze ‘Solidarności’ w Gdańsku” lecz z potrzeby przeciwstawienia się komunistycznej akcji propagandowej oczerniającej nasz

Związek, potrzeby rzetelnego informowania na miejscu tj. w Ameryce o tym co się dzieje w Polsce. Główną przyczyną zamknięcia Biura był zmasowany atak Sowietów i reżymu warszawskiego na kierownictwo „Solidarności”, dla których Biuro było (szczególnie teraz to można zrozumieć) szalenie niewygodne. W strategii „Solidarności” dążenia do kompromisu i negocjacji zamknięcie Biura było dla większości kierownictwa określoną koniecznością, choć teraz zapewne inną można mieć opinię na ten temat.

Po trzecie — jest nieprawdą, iż w dniu 20 września „kroczyłem w Paradyzie Solidarności razem z Albertem Shankerem” w Waszyngtonie. Prawdą jest natomiast, iż miałem tę przyjemność 7 września w Nowym Jorku podczas *Labour Day Parade*, czyli amerykańskiego „pierwszego Maja”. Jest nieporozumieniem, jeśli moja obecność w obchodach Święta pracy jest oceniana jako „włączanie się do akcji przeciw Reaganowi” oraz jako „złe zrozumienie wdzięczność za udzieloną pomoc”. Jeśli już idzie o wdzięczność, to jakakolwiek pomoc udzielana „Solidarności” powoduje we mnie to uczucie i jest to chyba zrozumiałe, zresztą bez względu na to skąd pochodzi i z jakich powodów ma miejsce. Mam przy tym nadzieję, iż również autor „Kroniki” przez wdzięczność rozumie uczucie wyższego rzędu, powyżej poziomu kupieckiej mentalności „odpłacania” na targowisku.

Po czwarte — z kilkumiesięcznej praktyki kontaktów z AFL-CIO nie wyniosłem wrażeń, iż amerykańska centrala związkowa „wykorzystuje sztyld Solidarności do antyreaganowskiej propagandy”. Autor „Kroniki” Zb. B. jest odmiennego zdania i przytacza następujące argumenty:

1. — zaproszenie Lecha Wałęsy na Kongres AFL-CIO;
2. — „zaanektowanie” mojej osoby wraz z Biurem i „wciąganie do rozprawy z prezydentem Reaganem”.

Rzeczywiście Lech Wałęsa miał uczestniczyć w Kongresie AFL-CIO i jest to normalna praktyka współpracy międzyzwiązkowej. Znając kierownictwo AFL-CIO oraz program planowanego udziału Wałęsy w Kongresie chcę stanowczo zaprzeczyć, iż noszono się z zamiarem „wciągnięcia” Wałęsy do rozgrywek wewnątrzamerykańskich. Również jeśli idzie o mój udział w „Solidarity Day” w Waszyngtonie 20 września, kierownictwo AFL-CIO nie zapraszało mnie do udziału w tej demonstracji — wyjaśniono mi, iż ma ona charakter wewnątrzamerykański.

Chcę również stanowczo zaprotestować przeciwko twierdzeniu, iż Biuro było „zaanektowane” przez AFL-CIO (reżymowa propaganda określała to „na obcym garnuszku”). Biuro w Nowym Jorku było całkowicie niezależne, nie miały miejsca żadne naciski czy propozycje. I myślę, iż właśnie związki zawodowe były i są najlepszą bazą dla naszej zagranicznej działalności, znacznie chyba lepszą niż korzystanie z pomocy np. rządów państw zachodnich. Dowodem tego niech będzie słuszna i suwerenna decyzja „Solidarności” podjęta na spotkaniu w Zurychu 18/19 grudnia 1981, oparcia działalności na rzecz „Solidarności” w Kraju na pomocy materialnej związków zawodowych. Zarówno wówczas w Nowym Jorku jak i teraz w Kanadzie związki zawodowe popierają nas moralnie i materialnie i nie żądają za to żadnej „zapłaty” i nie próbują wpływać na naszą działalność.

Równie słuszna jest decyzja zachowania przez nas „neutralności” Biura Informacyjnych „Solidarności” i niemieszania się w sprawy wewnętrzne krajów w których przebywamy. Zasady tej dałem już zresztą wyraz w wywiadzie dla *New York Times*'a w dniu 7 września, oraz w wielu wywiadach dla kanadyjskich środków przekazu.

Z wyrazami szacunku i poważania,

Zygmunt PRZETAKIEWICZ

Nowy Jork, 5 marca 1982.

Szanowny Panie Redaktorze!

Akt terroru dokonany w dniu 13 grudnia 1981 roku w Polsce, czy ściślej mówiąc, na Polsee, ma — prócz innych — jeden aspekt o znaczeniu historycznym. Oto na oczach całego świata reżym „chłopów i robotników” napadł na bezbronny i pokojowy w swych działaniach związek robotniczy. Dla marksizmu-leninizmu nie jest to zwycięstwo lecz klęska, która mieć będzie zasadniczy wpływ na dalsze losy tego reżymu.

Dzień 13 grudnia 1981 roku jest i pozostanie czarnym dniem dla ludzi dobrej woli na całym świecie. Jego następstwa szczególnie boleśnie odczuwa społeczeństwo ukraińskie. Mamy jednak tę świadomość, iż terazniejsze wspólne cierpienie wzmocni i przyspieszy nasze wspólne dążenia do niezależności naszych narodów.

Z wyrazami głębokiego szacunku,

Wasył WYTWYCKYJ

### ODPOWIEDZI REDAKCJI

- M. M. Szwecja: — Wiersze Pana nie nadają się niestety do druku.  
 W. J. Z., RFN: — Z wierszy nie skorzystamy; reakcje niemieckie na pucz Jaruzelskiego omówił już w *Kulturze* Leopold Unger.  
 J. Z. W., Nigeria: — Wiersze Pana wydają nam się bardzo słabe.  
 W. L. M., RFN: — „Myślom” Pana brak, jak sądzimy, wyrazu w formie poetyckiej; może spróbuje Pan formułować je wprost.  
 E. S., Dania: — Wiersze Pani nie wychodzą poza „poetyczną” banalność.  
 H. S., USA: — Pana opowiadanie jest nie tyle opowiadaniem, co brulionową notatką do artykułu.  
 A. S., Szwecja: — Naiwne jest Pana poetyckie wyzwanie rzucone Nomenklaturze.  
 J. K., RFN: — Dziękujemy za niemiecki egzemplarz Pana książki; trudno nam powiedzieć, czy istnieje szansa wydania jej po polsku i po angielsku.

### SPROSTOWANIA

W Apelu „Médecins du Monde”, zamieszczonym w *Kulturze* (Nry styczeń/luty i marzec 1982 r.) informacja o ewakuacji szpitali w Polsce na polecenie władz wojskowych jest stwierdzeniem Redakcji *Kultury* a nie wymienionej instytucji.

Na skutek niedopatrzania na okładce marcowej *Kultury* wydrukowano jako kolejny numer pisma 1/414. Naturalnie powinno być 3/414. Prosimy naszych Czytelników o poprawienie.

REDAKCJA

## Dokumenty

### WYWIAD ZE ZBIGNIEWEM BUJAKIEM I WIKTOREM KULERSKIM

(„TYGODNIK MAZOWSZE” nr 2\*)

REDAKCJA: — *Jak oceniacie obecną sytuację? Jakie szanse ma „Solidarność”?*

Z. BUJAK: — Nie da się teraz dokonać oceny, z której można by wyciągnąć proste wnioski dla naszego działania. Nie wiemy jeszcze, czy trzeba się nastawić na kilka lat, czy też już za trzy miesiące będzie możliwa akcja, która zmusi WRON-ę do ustępstw.

W. KULERSKI: — Dopóki nie jest wyjaśniona sytuacja Wałęsy, Komisji Krajowej, całej „Solidarności”, nie możemy przyjąć żadnej koncepcji działania, musimy wypracować koncepcje alternatywne. Nie wiadomo przecież, czy WRON-a zdecyduje się zniszczyć „Solidarność” lub utworzyć na jej miejsce jakąś atrapę w rodzaju nowej CRZZ, czy też pozwoli na istnienie Związku w postaci kadłubowej, z pewną, choć ograniczoną, swobodą działania.

Jeśli WRON-a pójdzie na wznowienie — nawet w ograniczonym zakresie — działalności Związku, to trzeba walczyć przede wszystkim o to, by pozostali w nim ludzie sprawdzeni i aby margines wolności był jak największy. Na wypadek gdyby okazało się to niemożliwe, należy już teraz tworzyć drugą strukturę związkową, nieformalną i zdecentralizowaną, a więc niewidoczną i nieuchwytną.

Z.B.: — Jeśli byłaby szansa na Związek w jego dotychczasowej postaci, ze strukturą terytorialno-branżową, z niezmiennymi władzami — to warto się o to bić. Nawet przy ograniczeniu zadań do czysto związkowych (bhp, płace), nawet przy ograniczeniu prawa do strajku. Warto zatem bić się o „Solidarność” z niezmiennym statutem, strukturą i władzami. Nawet przy ograniczeniu jej pola działania.

W.K.: — W jakiegokolwiek postaci Związek by nie istniał — najważniejsi są ludzie. Gdyby miały to być marionetki — należy zrezygnować. Gdyby natomiast Związek mógł być prowadzony

\* „Tygodnik Mazowsze” zaczął ukazywać się od nr. 2. Pierwszy numer przygotowywany był od 5 listopada. Ogłoszenie stanu wojennego i tragiczna śmierć Jerzego Zielińskiego — redaktora naczelnego i organizatora pisma — uniemożliwiły wydanie pierwszego numeru.

przez ludzi niezależnych, z autorytetem — to może stać się ostoją dla całego społeczeństwa.

RED.: — *Czy i jak możemy zmusić władzę do przywrócenia Związku w postaci, na którą będziemy się mogli zgodzić?*

W.K.: — To, na jakie ustępstwa władza gotowa jest pójść, zależy od aktywności społeczeństwa. Dlatego trzeba od zaraz budować drugą strukturę związkową: tworzyć jej podstawowe ogniwa, organizować przepływ informacji, nieoficjalne wydawnictwa, łączność. I to jest najlepsza forma nacisku. Władzy bardziej się będzie opłacało zezwolić na oficjalnie działającą „Solidarność”, z pewnym marginesem niezależności, niż dopuścić do wykształcenia się drugiej struktury nie mającej nic do stracenia.

RED.: — *Dlaczego w naszym regionie nie istnieją podziemne władze Związku na wzór wrocławskiego Regionalnego Komitetu Strajkowego, czy łódzkiego Międzyzakładowego Komitetu „Solidarności”?*

Z.B.: — Powołanie teraz władz regionalnych czy krajowych przez ukrywających się przywódców miałyby sens jedynie wówczas, gdyby nie było żadnych szans na powrót do legalnej działalności związkowej. Ale dopóki walczymy o przywrócenie „Solidarności”, to nie można powoływać żadnych ciał, które — gdyby doszło do zmiany sytuacji — mogłyby wejść w konflikt z władzami pochodzącymi z wyboru. Niestatutowe ciała nie powinny powstawać i uzurpować sobie władzy.

RED.: — *Nikt nie mówił o uzurpacji, za dolnośląski RKS podpisuje się kilku wybranych członków zarządu z przewodniczącym W. Frasyniukiem, a w każdym numerze ich biuletynu jest nagłówek „Żądamy uwolnienia przewodniczącego NSZZ 'Solidarność' Lecha Wałęsy”.*

W.K.: — Ukrywający się przywódcy, jeśli cieszą się uznaniem i autorytetem, mogą i powinni funkcjonować nie anonimowo, ale jawnie, jako tymczasowe władze związkowe. Obowiązku tego nikt z nas nie zdejmie. Jednak jest to realne tylko o tyle, o ile znajdują oparcie w strukturze organizacyjnej zdolnej do działania w obecnych warunkach.

Z.B.: — Występuję przeciwko tworzeniu anonimowych RKS-ów czy MKS-ów, ponieważ jestem przeciwny tworzeniu fikcji. Nie wiadomo, kto do takiego Komitetu wchodzi. Ci co mogą — niech podpisują się jako osoby. Władzą związkową mogą być tylko ciała o określonym i znanym składzie oraz określonym i znanym trybie powoływania.

W.K.: — Tworzenia ciał o niewiadomym składzie, anonimowych — jest bardzo ryzykowne. Otwiera to drogę nie tylko fikcjom, ale i prowokacjom.

RED.: — *Jakie są zatem możliwości stworzenia ogólnopolskich władz Związku?*

Z.B.: — Jeżeli porozumiemy się z Frasyniukiem, Lisem i działaczami innych regionów, którzy prowadzą działalność związkową — to wejdziemy z nimi w ogólnokrajowe porozumienie. Jeśli będzie ono miało jakąś władzę, to tylko dzięki autorytetowi, jaki sobie zdobędzie, a nie z racji ogłoszenia się władzą.

RED.: — *Jak sobie wyobrażacie kierowanie regionem bez powoływania podziemnego zarządu?*

W.K.: — Przed 13-tym grudnia w Związku występowały silne tendencje centralistyczne, coraz więcej decyzji podejmowano na szczeblu regionalnym i krajowym. Warunki obecne wymagają czegoś wręcz przeciwnego: podejmowania decyzji na stosunkowo niskim szczeblu, np. zakładowym lub niżej. Ważnym wymogiem chwili jest decentralizacja: struktura składająca się z samodzielnych ogniw zakładowych lub terenowych zbudowanych z niewielkich grup, których członków łączą więzy sąsiedzkie, towarzyskie czy zawodowe. To chroni przed infiltracją, zmniejsza rozległość strat w razie wpadki, utrudnia sparaliżowanie naszej działalności. Ośrodek regionalny czy krajowy wytycza tylko kierunki, daje oceny sytuacji, zalecenia, przeciwwskazania, proponuje akcje, służy instruktazem, informacją, wydawnictwami, ale w żadnym wypadku nie jest centralnym ośrodkiem dyspozycyjnym.

RED.: — *Z naszych kontaktów z zakładami pracy wynika, że ludzie potrzebują takiego aktywnego centrum regionu, które powiedziałoby co i jak robić.*

W.K.: — Kasprzak robi sam, Świerczewski robi sam. To jest wspaniałe. Tym ludziom trzeba tylko pomagać, a nie kierować czy zarządzać. Teraz region nie obsługuje związkowców centralnie. Nie zapewni wszystkim informacji, każdy zakład powinien mieć własne możliwości powielania materiałów, biuletynów i kaset. Jeśli zaspokojone są potrzeby własne, to trzeba pytać sąsiednie zakłady, czy potrzebują pomocy.

Z.B.: — To oczekiwanie bierze się z chęci zdjęcia z siebie odpowiedzialności za organizowanie się i walkę na najniższych szczeblach.

RED.: — *To niesprawiedliwe, ludzie są bardzo aktywni, organizują się, zbierają składki, pytają się na co — poza pomocą represjonowanym — mają je przeznaczyć. Zwracają się do regionu nie tylko po to, żeby wiedzieć, co robić, ale przede wszystkim dlatego, że potrzebna jest im świadomość, że region istnieje, że są nadal razem, że są dalej członkami milionowego Związku. Związek w normalnej sytuacji zająłby stanowisko w różnych sprawach: podwyżki, wybory do rad narodowych...*



W.K.: — Ale sytuacja wcale nie jest normalna. Wiadomo, jakie warunki „Solidarność” wiązała z podwyżką (konsultacja, reforma). Podwyżka została przeprowadzona jednostronnie i to jasne, że Związek jej nie akceptuje, ale nie ma możliwości przeciwdziałania jej. W tej sytuacji po co jeszcze raz zajmować stanowisko. Ludzie czekają nie na oświadczenia, ale na wydawnictwa, na gazetki, drukarenki, instruktaż, szkolenie, metody organizacji.

Z.B.: — W sprawie podwyżek nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Co byśmy tu nie zrobili, będzie nieskuteczne. A takie nieskuteczne akcje — wiele ich było przed grudniem — zmęczyły ludzi i kiedy przyszedł czas na strajk generalny po wprowadzeniu stanu wojennego, to nie wyszło. Dziś nie ma sensu prowadzić skazanej na porażkę walki z podwyżką. Dziś przede wszystkim trzeba walczyć o odwołanie stanu wojennego, o istnienie Związku. Trzeba czekać na moment, kiedy można będzie walczyć o to bez ryzyka, że poleje się krew.

RED.: — *Ale często dochodzą do nas takie głosy, że ludzie nie chcą czekać, że chcieliby przyspieszyć moment tego generalnego rozstrzygnięcia.*

Z.B.: — Ja się pytam, czy każdy większy zakład ma powielarnię, wystarczający i ciągły dopływ informacji bieżącej, łączność z innymi zakładami, czy jest przygotowany na to, aby nie dopuścić do opanowania struktury związkowej przez ludzi służących władzy?

W.K.: — Związek to był kolos na glinianych nogach. To widać było najlepiej w nocy z 12 na 13 grudnia. Pomimo pogotowia strajkowego w większości KZ-ów nikogo nie było, nikt nie zareagował. A wcześniej, jak łatwo udało się część ludzi odciągnąć od „Solidarności”, jak łatwo im było doprowadzić do podziałów w Związku. Jest mnóstwo roboty. Te półtora roku „Solidarności” to było jedno z naszych wielkich powstań narodowych, powstanie bezkrwawe. Aktywność narodu to także te okresy międzypowstaniowe, długie okresy działań pozytywistycznych. Nie strajki, nie wychodzenie na ulicę, ale szkolenie ludzi w umiejętności współdziałania i nawiązywania współpracy, podnoszenie świadomości społecznej i narodowej, przeciwdziałanie propagandzie, odkrywanie prawdy.

RED.: — *Mówisz tak, jakby się zanosilo na długie lata, a przecież sami uważacie, że jest szansa na wznowienie działalności Związku, na jakieś porozumienia. Czy nie są więc potrzebne jakieś wielkie, efektowne akcje, które by zwiększyły naszą siłę przetargową w rozmowach z WRON-ą? Nie mówiąc już o tym, że takie akcje jak wrocławskie dają ludziom poczucie siły i solidarności.*

Z.B.: — Przed 13 grudnia było mnóstwo takich udanych akcji, a skończyły się na stanie wojennym. Strajk wrocławski 29 stycznia udał się przynajmniej w niektórych zakładach. A jakie konkretne ustępstwo osiągnięto — żadnego, a jakie straty — jeszcze nie wiemy. Skutecznym argumentem byłaby co najwyżej ogólnopolska akcja protestacyjna.

RED.: — *Jakie są szanse na zorganizowanie takiej akcji?*

Z.B.: — Widzę taką perspektywę, ale nie w chwili obecnej. Za 2-3 miesiące, kiedy okaże się, w którą stronę zmiierzamy. Wtedy właśnie będzie się rozstrzygać walka o Związek, o to, czy i w jakim kształcie się odrodzi. Trzeba będzie zmusić władze do zajęcia korzystnego dla nas stanowiska, np. przez 15-minutowy ostrzegawczy strajk ogólnopolski.

W.K.: — Akcje spektakularne, obliczone na efekt, mają dziś dużo mniejsze znaczenie, niż masowy, codzienny opór społeczeństwa. Właśnie to jest dla władzy sygnałem, że ze społeczeństwem trzeba się liczyć, że jest ono zdolne do wspólnego działania.

RED.: — *Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że władza zauważa tylko to, co najlepiej widoczne — strajki, manifestacje, palenie świeczek. Nie wychwytuje nastrojów społecznych, nie otrzymuje prawdziwych informacji od SB i aparatu partyjnego. Dowiódł tego Sierpień.*

Z.B.: — Jeszcze raz powtarzam, że przegraliśmy stan wojenny, bo było za dużo akcji. Ludzie byli tym zmęczeni. Z tego doświadczenia trzeba wyciągnąć wnioski. Jeżeli akcje — to tylko takie, które przynoszą natychmiastowe, konkretne skutki. Jeżeli „Ursus” jest w stanie za pomocą strajku wymusić na władzy, żeby nie pokazywała w telewizji jakichś ludzi, którzy nie wypowiadają się w imieniu całej załogi — niech zrobi taką akcję. Jeżeli zakład jest na tyle silny, żeby wymóc wypuszczenie swoich internowanych — to powinien o to walczyć.

RED.: — *A jakie jest Wasze stanowisko wobec tak licznych teraz niezależnych pism, grup oporu, inicjatyw? Proponują one różne sposoby działania, czasem oczekują pomocy od regionu.*

W.K.: — Nadzwyczajne jest to, że rodzi się tyle społecznych inicjatyw, że tak wiele krąży wydawnictw, że tak szybko i sprawnie zorganizowano pomoc dla uwięzionych i ich rodzin. No i oczywiście dla nas — bez tego przecież nie przetrwalibyśmy tych dwóch miesięcy w ukryciu. Patrząc na to mnożenie się przejawów społecznej aktywności, mam tylko jedną obawę. Oby nie było wśród nich takich, które okażą się zarażone metodami i środkami działania używanymi dotychczas przez przeciwnika. Musimy wykluczyć jakikolwiek przymus, gwałt, uzurpację wła-

dzy. Autentyczne wydają się te inicjatywy, które są w stanie utrzymać się samodzielnie, przynajmniej przez jakiś czas. Świadczy to bowiem o tym, że mają rzeczywiste zaplecze społeczne. Pomocy możemy, w miarę możliwości, udzielać tym inicjatywom, które są zbieżne z duchem i założeniami programu „Solidarności” uchwalonego na I Krajowym Zjeździe Delegatów.

RED.: — Jeszcze jedno pytanie: Wasz stosunek do sankcji gospodarczych stosowanych przez Zachód?

Z.B.: — Najpierw trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy rzeczywiście — jak to sugeruje się w TV — sankcje uderzają w społeczeństwo. A więc czy to, co otrzymalibyśmy z Zachodu przeznaczono by na poprawę sytuacji materialnej i żywnościowej. Tu odpowiedź nie budzi żadnych wątpliwości. Tylko znikoma część pomocy poszłaby na te cele. Reszta służyłaby realizacji politycznych, wielkomocarstwowych interesów bloku, w których społeczeństwa i narody są przedmiotem, a nie podmiotem działania państwa.

Zresztą wydaje mi się, że nasze zdanie nie ma tu znaczenia: Zachód kieruje się własnymi interesami i może się co najwyżej podierać opiniami „Solidarności”, kiedy jest mu to na rękę.

RED.: — Na koniec: Jaki jest status tygodnika „Mazowsze”?

Z.B.: — Decyzja o powołaniu regionalnego tygodnika „Mazowsze” została podjęta przez Zarząd 5 listopada. Ogłoszenie stanu wojennego i tragiczna śmierć Jerzego Zieleniewskiego uniemożliwiły wydanie pierwszego numeru. Obecna sytuacja stwarza ogromną potrzebę istnienia pisma Regionu. Razem z Wiktorem Kulerskim podjęliśmy decyzję wydawania „Mazowsza”. Otrzymałście polecenie stworzenia redakcji, zabezpieczenia druku w stałym nakładzie i, jak rozumiem, zamykacie pierwszy numer. Wydajecie więc oficjalny tygodnik regionu Mazowsze. Jesteście samodzielną redakcją mogącą przedstawiać własną opinię, a zarazem macie obowiązek przedstawiania w piśmie stanowiska działającej reprezentacji naszego regionu. Jako przewodniczący uznaję prawo redakcji do krytykowania naszych działań.

(wywiad autoryzowany)

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 2<sup>e</sup> trim. 1982.

Imprimé en France

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, Tel. 212-2013 .....	\$A. 4,50	\$A. 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23 .....	F.B. 225,00	F.B. 1200,00	F.B. 2350,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176 .....	Fl h 12,00	Fl h 60,00	Fl h 110,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Kruski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man R2V 2P2, Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszczański, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W. Toronto 145 Ont. Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowlec », 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 .....	\$ Can. 6,00	\$ Can. 35,00	\$ Can. 60,00
NIEMCY: St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM 12,00	DM 60,00	DM 110,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ..	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 25,00	K.S. 135,00	K.S. 260,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009, Tel. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17-th St., N.W., Washington D C 20009; M Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, Il. 60618, Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Cal., 94306, Tel. (415) 327-5590 & 851-0748. ....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD. Tel. (01) 370 2210 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.260; półroczna — F.135.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F.3,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 347 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: Henryka Józewskiego — *Zamiast pamiętnika* (K.N. III. — Dwudziestolecie. — Myśli o Józefie Piłsudskim. — Wojna. — Okupacja. — Wyzwolenie rosyjsko-sowieckie. — Więzienie); W. Sukiennickiego — *Akcja interwencyjna ambasady R.P. w ZSSR*; J. Karskiego — *Przywódcy wolnego świata wiedzieli o zagładzie w 1943 roku*; J. Ciechanowskiego — *Józef Retinger (1888-1957) w świetle raportów brytyjskiego wywiadu z lat 1913 do 1941*; oraz POLEMIKI i RECENZJE.

Str. 240.

Cena F. 50,00.



TOM 348 — ADAM CZERNIAWSKI

### WIEK ZŁOTY

1969-1981

Nowy tom wierszy

Str. 64.

Cena F. 25,00.



TOM 349 — ZDZISŁAW NAJDER

### ILE JEST DROG ?

Wybór esejów społeczno-politycznych w większości publikowanych w latach 1975-1982 pod pseudonimami: SOCJUSZ, Bronisław ŁASOCKI i Marian KOWALSKI: O potrzebie programu. — Polityczne działania i programy. — Dialog z Michnikiem. — Źródła i tama. — Ile jest dróg? — Teorie, wytyczne i spory. — Polskie kwadratury koła. — Gesty i praca. — Spółka Scylla i Charybda. — Teoria i polska jedyność. — Solidarność. — Myśli o programie „Solidarności”. — Rozwiązania trwałe a rozwiązania możliwe. — Autoperswazja jako reakcja na intelektualistów na przemoc. — Przy zasadach stojmy.

Str. 196.

Cena F. 60,00.